

poprzedni nr - 221/830

101X

opr. 101X, udo



siostra:
Bogumila Zawacka - Kryje

81-825 Sopot
kolega szkol.
Stefan Quosinski

86-300 Gwddz

poza Pom.
Warszawa
AK
PSZ Zach.

++ Zawacki Leonard Teodor
ps. "Zawieja" "Solus"

M-221/830 Pom.

SPIS ZAWARTOŚCI
TECZKI

Zawacki Leonard Teodor

J: M-221/830 Pom.

poza Pom. Warszawa AK
PS&Łach.

I./1. Relacja k. 49 s. 1-49

I./2. Dokumenty (sensu stricto) dotyczące relatora k. 1 s. 1

I./3. Inne materiały dokumentacyjne dotyczące relatora k. 3 s. 1-4

II. Materiały uzupełniające relację k. 27 s. 1-52 : k. 13 s. 1-15

III./1. Materiały dotyczące rodziny relatora —

III./2. Materiały dotyczące ogólnie okresu sprzed 1939 r. —

III./3. Materiały dotyczące ogólnie okresu okupacji (1939-1945) k. 2 s. 1-4

III./4. Materiały dotyczące ogólnie okresu po 1945 —

III./5. Inne ...

IV. Korespondencja

1) biuroce k. 9 s. 1-12

2) uzupeł. relacji k. 3 s. 1-3

V. Nazwiskowe karty informacyjne k. 8

VI. Fotografie dwa i monografie

1/1. Delavija - Zawacki Leonard Teodor:

1. Delavija z 1989 z listem przewodnim do E. Zawackiej, mpis orig. i kserokop. k. 3 s. 1-3
kser. orig.
2. Wazny mpis, list przeprosanej religii (poz. 1), orig. wraz z kopie, k. 4 s. 4-7
3. Delavija w j. angielskim z 11.03.1991(?) mpis orig. wraz z oświadczeniem z 28.09.1990, mpis orig. k. 385. 8-45
4. Delavija własna II z 11.03.1991, mpis orig. k. 2 s. 46-47
5. Czesław Opalka, Leonard Teodor Zawacki, mpis z 2003 k. 2 s. 48-49

L. T. Zawacki
2007 Tamarack Pl.
Ashland, OR 97520 USA

21/10/89 1/1/1
93/Pryw.

Droga Elżbieto,

Wierzę, że dopiero teraz przesyłam
bardzo krótką historię moich przeżyć
wojennych. Wiesz zapewne, że niedługo
jest, koracąc do tych karmazynych czasów
Oświęcimskich a wrzucić to będzie
płace za to bessenymu nocami.

Wkrótce mam zamiar kupić komputer (PC)
WORD-PROCESSER i wtedy opiszę obszerniej o
swoich przeżyciach, będzie to jednak po
angielsku.

Brata Twego w Oświęcimiu niespłakaniem,
a szkoda, które listy mogli sobie wspólnie
pamóc.

Bardzo chętnie chciałbym się dowiedzieć
więcej o Tobie i Bracie, proszę napisać.

Teżdecne pozdrowienia od mamy i
odemnie
Zasyda Leonard



Wychodził w czasie wojny, służył w Armii
 w Działach, a później w Kucharskiej. Na
 wojnę chwycił się w tej chwili komunisty z miotłem
 się walczył o kantonat, potem organizacja
 Związku Pracujących, potem artyleria francu-
 jenne. W czasie batalii podharajem w 44 pp.
 Chwałki, w czasie strzelania 13 tego września
 pod Mielnicami, Marszałkiem. Później w obronie
 Warszawy, a w czasie bitwy z Niemcami
 do umiaru, w czasie ataku na się od,
 transportu z pułkiem do Głubczycy. Odwieś
 do polskiego pułku, w 1947 r. zastąpił w Warszawie
 przy Selbstschutz i kierownicy do staraniach
 w sprawie zastąpienia. Zwołany do drugiej
 sekcji, listopada i wysiedlenia do Generalnej
 Gubernacji.

W Warszawie był w czasie wojny w ZWR. Areszto-
 wany przez Gestapo w Berlinie do rano 31-go
 października 1940, zastąpił w Warszawie na
 Ławacka. Władze hitlerowskie na Smoleńcu. 4-tego
 kwietnia 1941 w wylociu. W Oświęcimiu, No. 13390.

1/1/3 ②

W Oświęcimiu na początku pracowałem przy wykopaliskach pod fundamenty nowych budynków. Po odejściu kolegi, przybyłego do Oświęcimia wkrótce transportem, udało mi się z jego pośrednictwem dostać pod dach, do Stolarza. Zniżył język niemiecki, jako Stolarz zatrudnił mnie do kłód. Po okresie „uwolnienia” na główne piśmie warsztatów i jeszcze później w „Super” piśmie z „Siebnickiej” do „Zentral-Badleitungs”.

Wierzyłem, że mój pobyt, tak na Powiatu jak i w Oświęcimiu myślałem o ucieczce. Po długich i starannych przygotowaniach udało mi się razem z 5-ciu kolegami - towarzyszącymi dnia 28 września 1944 w formie ucieki i przyjęcia do rodziny partyzanckiego AK w Borkowie, zachodnim. Ucieczka ta jest opisana przez Tomasza Solińskiego (byłego Oświęcimianina i uciekacza) w książce pod tytułem „Ucieczki Oświęcimskie” - rozdział „Wybieżeli do Betlejem” wydana przez Wydziałowe Ministerstwo Obrony Narodowej.

W sierpniu 1945 wyjechałem z Polski na zachód, we Włoszech wstąpiłem do 2-go Korpusu gen. Andersa jako pod. W 1946 przybyłem do Anglii a w 1951 wyjechałem do Stanów Zjed., gdzie obecnie mieszkam.

Wybuch wojny zastał mnie na dworcu w Działdowie w drodze do Rembertowa. Na rozkaz Dowództwa 16-tej Dywizji Pomorskiej miałem się udać do Rembertowa, celem organizowania zmotoryzowanych jednostek artylerii przeciwpancernej. Byłem wtedy podchorążym rezerwy 64 pp. Chrzest bojowy otrzymałem 13 września pod Mińskiem Mazowieckim. Byłem w obronie Warszawy do 27 września, kiedy nas wzięto do niewoli. W Toruniu odłączyłem się od transportu i przybyłem do Grudziądza. Gdzieś w połowie października zostałem aresztowany przez "Selbstschutz" i internowany. Po staraniach rodziny zostałem zwolniony w drugiej połowie listopada i wysiedlony do Generalnej Guberni.

W Warszawie byłem czynny w ZWZ. Aresztowany przez gestapo w domu, w nocy 31-go października 1940. Zostałem uwięziony na Pawiaku. Przesłuchiwany na Szucha. 4-tego kwietnia 1941 wywieziony do Oświęcimia, Ne 13390.

W Oświęcimiu na początku pracowałem przy wykopach pod fundamenty nowych budowli. Po spotkaniu kolegi, przybyłego do Oświęcimia wcześniejszym transportem, udało mi się z jego pośrednictwem dostać pod dach, do stolarni. Znając język niemiecki capo stolarni zatrudnił mnie w biurze. Po czasie "awansowałem" na głównego pisarza warsztatów i jeszcze później na "super" pisarza z siedzibą w "Zentral-Bauleitungu".

Przez cały czas mego pobytu, tak na Pawiaku, jak i w Oświęcimiu myślałem o ucieczce. Po długich i starannych przygotowaniach udało mi się razem z 5-cioma kolegami - współwięźniami, dnia 28 września 44 w południe uciec i przyłączyć do oddziału partyzanckiego AK w Beskidzie Zachodnim.

Ucieczka ta jest opisana przez Tomasza Sobańskiego /byłego Oświęcimianina i uciekiniera/ w książce pod tytułem "Ucieczki Oświęcimskie" - rozdział "Przybieżeli do Betlejem" - wydanej w 1966 r. przez Wydawnictwo Obrony Narodowej.

W sierpniu 1945 wyjechałem z Polski na Zachód. We Włoszech 7

wstąpiłem do 2-go Korpusu gen. Andersa jako ppor. W 1946 przybyłem do Angli, a w 1951 wyjechałem do Stanów Zjedn., gdzie obecnie mieszkam.

(Zawacki R.)
R.



3/1/6

Wybuch wojny zastał mnie na dworcu w Działdowie w drodze do Rembertowa. Na rozkaz Dowództwa 16-tej Dywizji Pomorskiej miałem się udać do Rembertowa, celem organizowania smeteryzowanych jednostek artylerji przeciwpancernej. Byłem wtedy podchorążym rezerwy 64 pp. Chrzest bojowy otrzymałem 13 września pod Mińskiem Mazowieckim. Byłem w obronie Warszawy do 27 września, kiedy nas wzięto do niewoli. W Teruniu odłączyłem się od transportu i przybyłem do Grudziądza. Gdzieś w połowie października zostałem aresztowany przez "Sollschutz" i internowany. Po staraniach rodziny zostałem zwolniony w drugiej połowie listopada i wysiedlony do Generalnej Guberni.

W Warszawie byłem czynny w ZWZ. Aresztowany przez gestapo w domu, w nocy 31-go października 1940. Zostałem uwięziony na Pawiaku. Przesłuchiwany na Ssucha. 4-tego kwietnia 1941 wywieziony do Oświęcimia, Nr 13390.

W Oświęcimiu na początku pracowałem przy wykopach pod fundamenty nowych budowli. Po spotkaniu kolegi, przybyłego do Oświęcimia wcześniejszym transportem, udało mi się z jego pośrednictwem dostać pod dach, do stelarni. Znając język niemiecki capo stelarni zatrudnił mnie w biurze. Po czasie "awansowałem" na głównego pisarza warsztatów i jeszcze później na "super" pisarza z siedzibą w "Zentral-Bauleitungu".

Przez cały czas mego pobytu, tak na Pawiaku, jak i w Oświęcimiu myślałem o ucieczce. Po długich i starannych przygotowaniach udało mi się razem z 5-ciu kolegami - współwięźniami, dnia 28 września 44 w południe uciec i przyłączyć do oddziału partyzanckiego AK w Beskidzie Zachodnim.

Ucieczka ta jest opisana przez Tomasza Sebańskiego /byłego Oświęcimianka i uciekiniera/ w książce pod tytułem "Ucieczki Oświęcimskie" - rozdział "Przybieżeli do Betlejem" - wydanej w 1966 r. przez Wydawnictwo Obrony Narodowej.

W sierpniu 1945 wyjechałem z Polki na Zachód. We Włoszech

3/1/7

wstąpiłem do 2-go Korpusu gen. Andersa jako ppor. W 1946 przybyłem do Angli, a w 1951 wyjechałem do Stanów Zjedn., gdzie obecnie mieszkam.

(Ławacki L.)
L



7/11/8

OSWIADCZENIE

Ja, Leonard T. Zawacki, przekazuje w darze do zbiorow Fundacji Archiwum Pomorskiej Armii Krajowej w Toruniu zalaczone wspomnienia, napisane w roku 1990 w jezyku angielskim, liczace 37 stron maszynopisu.

Do wspomien tych zalocze krotki zyciorys napisany po polsku wedlug dostarczonego mi kwestjonarjusza a takze..... zdjecia z okresu lat 1939-1946.

Torun, dnia 28-go wrzesnia 1990 r.

Leonard T. Zawacki 13390

Byly wiezien Oswicimia nr. 13390
Leonard T. Zawacki
2007 Tamarack Place
Ashland, Oregon 97520
U. S. A.

Wskazanie do
metalowej oprawy
r/r.

1/11/9

MEMOIRS

Outbreak of World War II

At the outbreak of war I found myself with a small detachment of soldiers at the railroad junction of Dzialdowo, which was right on the former Polish - East Prussian border. I was at that time a Reserve Cadet Officer with orders from the divisional headquarters of the 16th Pomeranian Division to report to the army camp in Rembertow, south-east of Warsaw in order to help organize and assemble motorized units of antitank artillery. As we arrived at Dzialdowo, we were told that we would not be able to continue on to our destination as the junction was mined and could be blown up at a moment's notice. It was now early morning, to be exact it was 4:30 September 1, 1939 when we heard machine-gun fire and a reconnaissance plane with German markings was circling the railroad station. World War II had begun.

I went at once to the station master and told him that I had orders to report to Rembertow without delay. Since it was impossible to continue through the Dzialdowo junction, he suggested that I go back to Brodnica and via Sierpc - Nasielsk go to Warsaw. He further suggested that my soldiers and I go west of the main station where he would assemble a locomotive and a car to take us back to Brodnica. The reason he wanted us to go far away from the main station was his fear that once the civil population would see us board a train they would all like to leave. Despite all these precautions taken by the station master, the population followed us and the station master had to attach several more cars to accommodate all the people who wanted to leave. Eventually we moved towards Brodnica. The station in Brodnica was already bombed; we were, however, able to proceed to Warsaw. We arrived at the Warsaw Central Station on the afternoon of September 2, 1939 after being bombed and machinegunned by planes. There were many casualties. Fortunately none of my soldiers nor I were stricken. There was no transportation available to take us to Rembertow, we walked across the heavily bomb damaged Poniatowski bridge and in late afternoon reached Rembertow. We were extremely tired and after a hearty meal we were permitted to rest. We fell asleep at once, since for the past 6 days we were on constant move from one part of the country to the other.

1/11/10

- 2 -

Next morning we reported for duty. However, by this time most of the units were assembled, organized and sent to the front. Only the organizational staff was left, consisting of several officers, NCO's, cadet officers and soldiers. Also left were three trucks, two antitank guns, a lot of ammunition and three drums of gasoline. We also had plenty of provisions and so equipped we were ordered to take positions east of Warsaw. I was put in charge of one of the trucks and guns. Not until the 13th of September did we see action near the town of Minsk Mazowiecki. The pressure there on us by the Germans was so severe that we had to withdraw to Warsaw and take up new positions there. Our forces, in the battles around Minsk Mazowiecki, took great losses and I in my truck, carted wounded soldiers to the nearest provisional first aid stations. Many of them died on the way.

Warsaw was preparing itself for defence, since it now was being surrounded by the German forces. I was given different positions with my gun in several places in the city while the town was constantly bombarded and shelled. Civilian population was being killed by the thousands, houses were crumbling under the heavy bombardment or burned by incendiary bombs. There was very little food [people were eating horse meat from the many dead horses], there was no water or plumbing, the situation was becoming hopeless. The 25th of September was the most terrifying day of all for Warsaw. From early morning till dusk there were waves after waves, non-stop, of bombers dropping tons of bombs all over the city. There were thousands of dead and it was feared that an epidemic of some kind could result, because of the inability to bury them all. On the 27th of September we received orders that Warsaw was surrendering, since it could not any longer meaningfully defend itself and were thanked by our High Command for our gallant stand.

On the 17th of September, 1939 the Russians occupied Eastern Poland.

I would like to mention here an incident which happened to me while taking part in the defence of Warsaw. One day I was either asked or ordered, today I do not remember which, to go to a certain private house somewhere in Warsaw and check on some person. We arrived at the house and parked our truck in the driveway. The driver and I went inside the house. There was nobody in. It all took less than a minute, when we come back to the truck we noticed that the windshield was shattered. As I opened the door of the cabin I saw that the back of my seat was crushed by a big chunk of an artillery shell.

1/11/11

Prisoner of War

On the morning of the 28th of September we were ordered to deposit our arms in prescribed locations and in columns we marched west of Warsaw to the vicinity of Pruszkow. There, on vast meadows we were surrounded by German guards and kept under the open sky for 7 days. The weather had changed from sunny, warm days to cold and rain. There were no shelters, we slept on the wet ground, the only food we got was bread. The officers were separated from the soldiers [cadet officers were not considered officers by the Germans]. On October 5th we were told to form 4 groups, facing north, south, east and west, according to one's place of domicile. I attached to group north and soon afterwards we were taken to a railroad siding and loaded onto cattle cars to take us north. I do not remember how many of us were loaded to a car, but I know there was standing room only. After being transported the whole night, we arrived at Podgorz, a suburb of Torun, in the early afternoon of the following day. Podgorz is on the left bank of the Vistula. The train stopped at an unloading ramp. It was surrounded by German guards at once. I was standing at one of the two little windows of the cattle car when a German guard came and asked me if I was an officer, I said no, to which he replied, "well you look like one". At that time many Polish women were gathering there with food for us. The German guards did not object and allowed them to hand it over to us. The guard who thought I was an officer motioned one of the women to give me food through the little window at which I stood. Then the Germans announced that anybody who felt to be a Volksdeutscher [of German nationality] could step out. Quite a few of the "Polish" soldiers did. They were given special passes and set free. After that, the rest of us were moved out off the train and marched to the Vistula. The two bridges across the Vistula were destroyed, although one was passable for pedestrians walking in single file. We started walking over the collapsed spans of the bridge to the other side, where we again were assembled and surrounded by German guards. We were now in Torun proper at the railroad station called Torun City. Here, I went to the guard, who happened to be the same one who thought I was an officer, and asked his permission to go to the toilet in the nearby station. He agreed, and on my way back from the toilet instead of rejoining the formation I walked in the opposite direction. Again, the same guard called me back and asked where I thought I was going, with great assurance I told

5/11/12

- 4 -

him that my formations are assembling at the next station called Torun Mokre and I had to join them there. I am very sure that he knew that I was running away but nevertheless did not raise any objection. He must have been a decent sort of a fellow. I also urged some of my cadet officer friends to join me in escaping, but none did. They spent the rest of the war as prisoners. They were taken to the citadel of Torun.

Torun Mokre was the station from which trains were leaving to my hometown Grudziadz, approximately 40 miles further north. As I entered the station I met my cousin Stach Srodzinski. To my surprise he was in an army uniform although to my knowledge he never served in the armed forces. He explained that he volunteered to fight the Germans and was outfitted with a uniform. Somehow he was also in possession of blank forms of passes which were given to those who declared themselves to be Volksdeutschers. We filled out two blanks with our names and signed them with some German officers' names. Of course, we had no official stamps to be affixed to these passes. So equipped, we were allowed to board the train to our hometown. It was now late evening and when we arrived in Grudziadz it was approximately midnight. At the exit in Grudziadz everybody's papers were checked by the German authorities. When I showed my pass the SA man told me to step aside and wait. The same happened to my cousin and a few others, all told probably 11 of us. After everybody had left we were put into a formation and with guards marched out off the station. My cousin and I were in the last row. Next to us was the SA man who was in charge. We started talking with him. He told us that we are going to the citadel for the night and would be released in the morning. Of course, we knew better than that. What it really meant was that we would spend the rest of the war in a PW camp. My cousin was an owner of a lumber yard and wood processing plant and as we walked from the station we had to pass the yard. A big sign displaying his name was clearly visible. He pointed the sign to the SA man in charge and asked him if he could not go home to his family instead of going to the citadel for the "night". After little hesitation the SA man agreed and let him go. Now I spoke to the SA man and asked him if I could not join my cousin. To this he replied "get lost". I spent the night at my cousin's. The next morning I went home to a joyous reunion.

1/11/93

- 5 -

First Arrest

Before the war Grudziadz was a town of approximately 60,000 inhabitants; in addition it also had a quite large garrison. There was a substantial German minority which was well organized and yearning to be united with the German Reich. By and large, however, we all lived in harmony; it was a peaceful but lively community. Now, since the Germans occupied it, it became a sorry place to live in. The local Polish population had to live under the terror of the "Fifth Column", the former German minority. At once they formed so-called "Selbstschutz", or "Selfprotection" units, which were the law unto themselves. They wore black uniforms with a green armbands on which in black letters the word "Selbstschutz" was written. Mostly all of them were future candidates for the SS or the Gestapo (SS stood for Schutzstaffeln or Security Detachments and Gestapo for Geheime Staats Polizei or Secret State Police). From lists prepared in advance they rounded-up people inconvenient to them and murdered them in the nearby forests, among them some of my relatives and acquaintances. My sister, who was married to a district judge, who no doubt handled some of the German minority cases, was also on such a list. The young Volksdeutch Nawrocki, who came to arrest her was the son of a local jeweller known to my sister. In the course of the conversation with the young man he found out that they had some mutual acquaintances. After that, Nawrocki told my sister that he would cross her name of the list and that she would not be bothered again. And so she was saved. Her husband, who was called up to the army, spent the whole war in an officer PW camp.

The universities and gymnasiums (high schools) were closed to Poles. There was no work. My friends and I did not know what to do. One day, near the end of October 1939, a few of us met at a friend's house to discuss our situation. As we broke up our gathering and walked out of the apartment we were met by two Selbstschutz men in the hall of the house. They promptly arrested us and took us to a place called Internat Kresowy, which before the war served as a dormitory for students, mostly orphans of parents who used to live in the eastern parts of Poland. Now this place was converted to a

1/1/14

- 6 -

prison; the Germans called it an internment camp. No reason was given for our arrest, we were hostages. The camp commandant was a fellow by the name of Goetze, who matriculated some years before me from the same Polish gymnasium. He served in the Reserve Artillery Cadet Officers School in Wlodzimierz, eastern Poland, now USSR. One could see him parading in his smart cadet officers uniform when on leave in Grudziadz. He was a handsome but despicable character.

In the internment camp we were put into a large room with over a hundred prisoners already there. There were no beds except loose straw around the edges of the floor. We did not have anything with us, not even a tooth brush. However, we were later permitted to contact our parents to be supplied with the necessary things, we were also allowed to receive food from home daily. Almost every night the Germans were conducting interrogations, the screams of the beaten and tortured prisoners kept us awake sometimes till dawn. On the 29th of October, 1939 they called out names of ten prisoners, all known to me, who that afternoon were publicly executed by a Volksdeutch firing squad in town. The reason; they were Poles.

My parents tried to get me released but their efforts were not successful. One day my parents and my sister got in touch with our mutual friend Brunon Szymanski. He in turn approached his German friend named Joseph Luckau, who at that time was visiting his parents. He was a native of Grudziadz and went to the Polish gymnasium, later switched and matriculated from the German gymnasium, after which he studied journalism in Berlin. To my knowledge he was supposed to work in Goebbel's propaganda ministry. I knew him only by sight, he was older than I. In the middle of one night, in the second part of November 1939 I was awakened, told to get dressed and was taken upstairs for interrogation. I was led to a small room in which two people were sitting at a desk and standing next to the desk was Luckau. The one man sitting at the desk was known to me by sight and by reputation. His name was Gramse, a veterinary doctor and a fierce and dedicated German. The other man was unknown to me. After rough questioning I was told by Dr Gramse that they would release me under the condition that I leave that territory and move to General Government. General Government was the central part of Poland which was not incorporated into the German Reich and which was governed by Governor-General Hans Frank, defendant at the

1/1/15

famous Nuremberg Trial, were he was found guilty of crimes against the Polish nation and hung. Dr Gramse asked me how much time I needed to liquidate my affairs in Grudziadz before I left for General Government. I told him 3 weeks, to which he replied that I am crazy, that one week is enough. I politely agreed, thanked him and left the room. Behind me came Luckau and started telling me in Polish, that the verdict to leave for General Government was only a formality and that I could safely remain in Grudziadz. I thanked him and said I would consider it. Of course, I had already made up my mind that I leave this terror-stricken land as soon as possible.

General Government

It was now the early part of December 1939. My cousin, Stach Srodzinski, whom I mentioned earlier and whose business was now confiscated and a German Treuhander (Trustee) put in charge of it, was also thinking of leaving voluntarily before he would be forced to, with God knows what consequences. We both packed our bags and were on our way to Warsaw. We did not know what to expect or what we were going to do in Warsaw. On arrival, we settled in a third-rate hotel and tried to contact our friends. Stach, being a businessman with money and older than I soon got things moving. He started trading in whatever was available, I remember that at one point he bought, for speculation, a whole batch of mens suit cloth and crammed our small hotel room up to the ceiling with it. Stach also kept in touch with Grudziadz and through his connections there tried to recover his business. He eventually succeeded and after things quieted down there, went back.

I was on my own now. The winter of 1939 was very severe, I spent Christmas by myself. I had to look for new accommodation, as I could not afford even the cheap hotel room. Many times I wandered aimlessly around Warsaw not knowing what to do. As many at that time, I tried to serve as an intermediary between those who wanted to sell and those who wanted to buy and got commission for it. Things indeed, were very bad for me and not only me but the whole population of Warsaw was suffering terrible hardship. I ate, when I could afford it, in private dining places which

3/11/16

- 8 -

sprung up all over Warsaw. Housewives, not able to make ends meet, started such "restaurants" to keep afloat. Meals there were reasonably inexpensive and quite good.

Sometime in early 1940 I accidentally met a fellow cadet officer friend of mine with whom I attended the Reserve Officer School. He too was expelled from the incorporated territories, from the port city of Gdynia and landed in Warsaw. His name was Edward Kleina and he ran a family printing business in Gdynia before the war. He like me was looking for something to do. We found out that there was a complete lack of lemons in Warsaw and he, Kleina through his family connections in Gdynia was able to secure a couple of hundred pounds of them there. He, being well known in Gdynia, was afraid to travel there in order to bring the lemons to Warsaw, so he asked me if I would do it for a 50% profit. I agreed. I obtained a pass and traveled to Gdynia. In Gdynia with the help of his family I was able to load the lemons in the cargo car and off I went to Warsaw. With the help of the railroad men, whom I had to pay off, the lemons and I arrived safely in Warsaw. We made a handsome profit on this transaction. We also found out that there was a great demand for herrings. Again, through his connections in the sea port city he was able to obtain two barrels of herring. Again I travelled to Gdynia and stayed overnight at Edward's sister's apartment. At dawn there was a tremendous banging at the door of the apartment. When the landlady opened the door a voice said that everybody in the apartment was under arrest and to be ready in 5 minutes to walk out and leave the apartment as is. I got dressed in a hurry. I looked out of the window and saw that whole Swietojanska Street was crawling with SS men. I gathered my belongings, said good-bye to Ed's sister and went on to the roof of the apartment building and waited there until everything was clear. When it seemed to be safe, I walked down the stairs, got hold of the two barrels of herring, had them loaded on the train and went off to Warsaw. At the General Government- German Reich border in Zychlin the German customs officer questioned the shipment of the herrings and would not allow them through. And that was the end of that escapade.

By this time it was spring of 1940. Edward found new accommodation in an apartment owned by journalist Mieczyslaw Kral at 13 Smulikowskiego Street. We had at our disposal two rooms and the use of the kitchen.

1/1/17

The apartment house and the apartment itself were very up-to-date for those days. However, we now had to find another way to make a living. It came to our knowledge that candies in Cracow were twice as expensive as in Warsaw. So, we found a candy source of supply and in suitcases were hauling them to Cracow. Finding buyers was easy, since the demand there was very great. The two of us were rotating our trips to Cracow, but then one day we could not get further supplies of sweets and that was the end of it.

My friend Edward fell in love with the girl next door to us and took up residence with her somewhere else. They got married later on.

It was now summer. The terror and brutality of the German occupation had not abated; on the contrary it increased. There were almost daily round-ups of people in the streets. Most of the people captured were immediately shipped to Auschwitz or other concentration camps. Those suspected of belonging to the resistance were either taken to the Gestapo headquarters or locked-up in the Pawiak prison. There were daily executions carried out in Warsaw itself and in the surrounding forests. A walled-in ghetto was established and all Jews had to live there.

I joined the resistance. I was sworn into the ZWZ (Związek Walki Zbrojnej - Union of Armed Struggle) by a professional officer of the Polish Army with the rank of captain by the name of Wojciszewski. I doubt very much that it was his real name. Everybody in the resistance had a pseudonym, mine was Zawieja. I was not assigned any specific task at this time. I was introduced to Captain Wojciszewski by my friend from Grudziadz, Jan Cybulski. Jan had to flee Grudziadz as he was involved in an underground affair there. The young student, named Kaube, who was the head of this underground organization had been arrested and the Gestapo was in hot pursuit of its members, whose names it apparently knew.

One sunny summer day as I was standing at the entrance to my apartment house a gentleman twirling his walking stick accidentally struck the window-sill of first floor apartment and walked into the house. A man came to the open window and in an excited voice, in German asked, what is the idea of banging on my window-sill. He thought that I was the culprit, as

1/11/18

there was nobody else around. I explained in German what had happened and that was the end of the conversation.

I found out later that he was a German lawyer from Breslau (Wroclaw), his name was Eitner and he was a doctor of jurisprudence. He had his office on the first floor facing the street as well as his residence in the back of the apartment. He was a married man with two children but his wife and children had not joined him in Warsaw. It was rumoured that the marriage was falling apart. He was a man in his late thirties or early forties. He was well educated, knew Polish literature and was learning to speak Polish. It was also said that Dr Eitner was an Abwehr (German Military Intelligence) man.

After my first short conversation with Dr Eitner I met him one day in the hall of our apartment building. He stopped me and asked how it was, that I spoke such good German? I replied that I learned it in school and also on my visits to Danzig (Gdansk) and Ostpreussen (East Prussia) before the war. Then he asked me whether I had a job, I said " no ". It was not easy to find a job in those days. Would I like to work, he asked? Of course, was my reply. " Come and see me in my office tomorrow ", he said. I thanked him and said I would be there.

Next day I went to see him. He told me that the German authorities asked him to administer six apartment houses, five including ours on Smulikowskiego Street and one somewhere else in Warsaw. All of these houses were confiscated Jewish property. He said, his professional work would not allow him to take on this additional burden. His remuneration for administering this property, the German authorities told him would be 10% of the total collected rent and he would give me half of it (5%), if I was agreeable to accept the job. Think it over and let me know your decision soon, he told me. I thanked him for the opportunity. An income of 5% of the collected rent represented quite a sum to me and it certainly would end my constant struggle for survival. Before I accepted the job however, I got in touch with my underground superiors and asked their consent. There were no objections. I accepted Dr Eitner's offer.

It was an easy job and I had plenty of time on my hands. Tenants did not complain too much in those days. I collected the rent, deposited the money into the bank, kept the books and contracted craftsman for any jobs that had to be done.

1/1/19

One day Dr Eitner asked me to come to his office. His office was now in the Prudential Building on Narutowicza Place. He still had his apartment at 13 Smulikowskiego Str. but on a higher floor. He told me that the German authorities had asked him if he would consider taking all the confiscated Jewish apartment houses in Warsaw, totaling some ten thousand, under his administration and what did I think of it. It occurred to me right away that this would mean jobs for a few hundred Poles and suggested that he should take it. He was concerned about getting suitable help but again I said there would not be any problem. I suggested that he advertise in the Warsaw newspapers and most likely he would have more applicants than he could employ. Warsaw at that time was swollen with people evicted from the Polish western territories now incorporated into the German Reich. And so he agreed to accept it. It meant a tremendous amount of money to him. He at once hired a Polish, German speaking lawyer evicted from Poznan named Koniarek, a few secretaries and went to work. As predicted, he received so many applications, that it was impossible to fill them all. I myself was not involved in the organization and hirings for the venture. However, some of my brother-in-law's lawyer friends, who knew me, asked my help in obtaining these jobs. Which of course I did.

The Underground was still in the process of organization and consolidation. There were so many different secret organizations that they had to be sorted out. There were communist sponsored organizations as well as organizations affiliated with the legitimate Polish Government in exile in London, England. Each organization was issuing its own literature and Warsaw was inundated with secret leaflets. I thought it very irresponsible and made it a point never to have a leaflet on me or in my apartment. (By now I had a small bachelor apartment of my own in the same house).

ZWZ now assigned me a task of locating and collecting arms from hiding places on the outskirts of Warsaw and transporting them to hiding places in the center of the city. It was a dangerous assignment, however, before proceeding with the transportation I had to find the places for the arms caches.

In the meantime Brunon Szymanski, who was instrumental in getting me released from the internment camp in Grudziadz, showed up at my

T/11/20

- 12 -

apartment together with his fiancée Alicja. After remaining in Grudziadz he was later sent to a labor camp in the vicinity. With the help of Alicja he was able to escape and come to Warsaw. I provided them with accommodation.

Second Arrest

Fall was approaching fast. The terror of the occupation was still in full force, people were being arrested and sent to prisons and concentration camps, there were executions and round-ups. If anything, the brutality of the German authorities increased. Hans Frank, the Governor - General was having a field day.

I was carrying on with my work, meeting some of my fellow conspirators and sometimes receiving friends at my apartment. I felt content and seemingly safe.

It was October 31, 1940. The previous evening, as it was the end of the month, I worked late to close the books and went to bed around midnight. Suddenly, in the middle of night I was awakened by heavy blows at my entrance door. Half asleep I went to the door and looked through the peephole. There were three men standing in front of the door, one in a Gestapo uniform and two civilians. All of them were kicking and shouting for me to open the door. I was terrified. I opened the door and the three of them with drawn guns burst into my apartment, pushing me aside. One went to the kitchen, one to the bathroom and the third to the bed-living room turning everything upside down. They were looking for arms and leaflets; they did not find either. Then one of them asked me if I knew Stefan Przybylski, I said "No" and was promptly hit in the face. I fell to the floor and they immediately started kicking me and telling that he visited me only the previous day. I said, that the only person who visited me that day was my colleague, Jan Cybulski. "Do you know where he lives" they asked, I said "No". (Jan had assumed the name of Stefan Przybylski and failed to tell me this). After hearing that name they stopped beating me and after a short whispered conference among themselves, they told me to get dressed. Then the two civilians, each holding me by the sleeve cuffs of my jacket led me down the stairs to the car waiting in the street. The Gestapo man in the uniform, with his gun drawn walked behind us telling me not to try to escape.

7/11/21

- 13 -

When one of the Gestapo man opened the door of the car and told me to get in I noticed that seated in the back of the car was my colleague Zdzislaw Zajaczkowski from Grudziadz. The Gestapo man seeing the surprised look on my face said; "Ah, you know each other". "Yes" , I said. They drove us to the Pawiak prison and left us there with the prison authorities. We were registered and our personal belongings were taken away from us. I was taken by a prison guard to the cellar and put in a solitary cell there. I did not see Zajaczkowski till over five months later in the Auschwitz Concentration Camp.

Pawiak Prison.

I felt devastated. The cell I was in had no windows, no furniture, with the exception of a pail serving as a toilet, the walls were dripping with water and it had a dirt floor, it was a dungeon. I was pondering what happened, what went wrong, who betrayed me, was it Zajaczkowski? I did not know and to this day I still do not know. Luckily they did not keep me in the cellar for too long. After disinfection and shower I was taken to the second floor and put in a cell with nine other prisoners. The cell was not more than 10 feet long and 7 feet wide, it had one small screened in window, one bare low voltage bulb, a few straw mattresses, one stool and a bucket, which served as a toilet. The nine prisoners already in the cell, as any other prisoners were always suspicious of a newcomer. Nobody talked to me. They had to check me out first and they had ways to do it. When I received clearance, they all came and asked me questions about the outside world. They were all political prisoners and hungry for news, some of them were already locked-up for several months. The days were passing very slowly, the food was inadequate and poor and everybody was longing for their loved one's left behind.

Early one morning I was called out of my cell, loaded on a truck together with other prisoners and taken to the Gestapo Headquarters in Aleja Szucha for interrogation. Every prisoner dreaded this call. The building at Szucha, which the Gestapo now occupied, was the former Polish Ministry of Education. One basement wing of the building was converted to a prison with several isolation and four collective cells where prisoners coming from

1/1/22

- 14 -

Pawiak for interrogation were put in. These cells were called by prisoners "trams", they were narrow with single seats on both sides of the aisle facing a blank wall. As one was sitting in this "tram", one was not allowed to talk, sleep or turn around, just wait patiently to be called for the dreaded interrogation, which could take hours and sometimes days. We were not fed either.

In the afternoon my name was called and a guard took me upstairs to a room where a Gestapo officer, an interpreter and a secretary-typist were present. I was told to sit in front of the desk. The officer rudely dismissed the interpreter telling him, "We do not need you here, he speaks German". Now the questioning began. The officer, a rough looking individual, the same who hit me in the face and kicked me when arresting me, and who at that time wore civilian clothes, started his interrogation. He really had nothing to go by, he repeated his question asking whether I knew Cybulski and Zajaczkowski, to which I answered affirmatively and I denied belonging to any illegal organizations. The secretary was typing my answers. Contrary to my expectations the questioning went on calmly although with visible contempt on the part of the officer. At the end I was given the statement to read and I signed it. I was taken back to the "tram" and later in the evening to the Pawiak prison and my cell. My cell mates, of course, wanted to know everything about the interrogation.

One day the guards brought to our cell a new inmate named Richard Maczynski. He was a Volksdeutscher, a confidante of and an informer for the Gestapo. We had been warned of this through the prison grapevine so we had to be very careful in his presence.

Another time the Polish guard Aleksander Biesiadecki came to the cell and called me out to his small office on the floor. Somehow he found out that I spoke German and asked me to write a petition to the German housing authorities to request, not only not to increase his rent for the apartment he occupied in the confiscated Jewish house but if possible to get a reduction of the present rent since he could not afford paying it on the salary he was getting. I wrote the petition and addressed it to Dr Eitner. In few weeks he received a positive reply. He was very pleased and asked me what he could do for me. I said, "Please get me out of this cramped cell". He promised to do something about it.

1/1/23

- 15 -

Next thing I knew I was taken out of my present cell and put in a cell with three other prisoners in another section of the prison. The cell was not locked and I could move freely in the corridor, serving as an interpreter to the German guards. I also did not have to sleep on the floor any more, I had a narrow bed. One of the occupants of the cell was a student of Physical Education who in the prison yard conducted daily exercises with the prisoners. The other two worked in the prison kitchen and almost every evening they brought a jug of very, very sweet coffee and sometimes something to eat. We were not allowed to receive food or any other parcels from the outside, however, some were smuggled in by the Polish guards, I received two from my girlfriend.

One night I was awakened by the German guards and told to interpret for the Gestapo butchers. It was the 11th of March, 1941. They came with a list of some twenty prisoners. They went from one cell to another and I had to call the prisoner's name from the list and tell him to come out onto the corridor leaving all his belongings in the cell. They knew what that meant and behaved with extreme dignity, except one, he was a criminal, a murderer who fell to the Gestapo man's feet, kissing his boots and begging to be spared. Of course, he was not. They were all taken to the Palmiry forest and shot in retaliation for the killing of Igo Sym, the actor, a Volksdeutscher who was collaborating with the Gestapo and the German propaganda authorities.

In the afternoon of April 5th, 1941 almost all prisoners were called out of their cells into the prison yard and lined up in rows. Uniformed Gestapo men with lists were calling out names and anybody whose name was called had to go to a designated part of the yard and wait there. Altogether there were some thousand names called. The word was that the Germans were preparing a transport to a concentration camp. To which camp nobody knew, although some were guessing that it was going to Auschwitz. Auschwitz was a dreaded word to every prisoner; we already had information about the notoriety of this place. We were given bread, and when it got dark were loaded, with shouts and beatings, on trucks or municipal buses and taken to Warsaw's west railway station. There again the unloading and loading onto the cattle cars was carried out with extreme brutality by the SS. We were at least 80 prisoners to a car, there was scarcely any room to move around, there was a metal drum to serve as a toilet. The doors were closed and with the escort of SS guards the train moved forward around midnight. Inside the car there was no seating and we could talk only in whispers, if the guards

1/11/24

heard any noises coming from inside they shot into the car without any warning, killing a few of us. In the midmorning of the next day the train came to a stop. We could hear dogs barking and loud voices on the outside, but we still did not know where we were. The doors of the train cars were opened and with shouts of " Polish swine ", curses and beatings we were driven out of the cars and put in formations of five to a row and marched ahead.

Auschwitz Concentration Camp

As we marched for several minutes surrounded by SS guards with dogs, we eventually arrived at a gate at which top there was a sign saying in German *Arbeit Macht Frei*, " Work will make you free " and at the side a sign KL Auschwitz. Now we knew where we were; in the Extermination Camp Auschwitz, and we were frightened.

As we marched through the gate we were taken over by some sinister looking characters in navy blue jackets and caps and blue and white striped trousers. One of them, who wore high boots, was a big man with a swarthy complexion and black eyes looked intimidating. On his left sleeve he wore a yellow armband with black lettering which said, *Lageraltester No 1*, "Camp Senior No. 1". On the left side of his jacket and the right side of his trousers he had a green triangle with No. One printed on a piece of white cloth. His name, as I later learned, was Bruno Brodniewitsch, a German criminal and a brute. Another one who stood out in the crowd of the German criminals surrounding us was an even bigger and more menacing-looking man than the Number 1 prisoner, was Leo Wietschorek, his number was 30 and he was Camp Senior No.2. The rest of the criminals were either Block Seniors or Capos.

We were marched further to the reception building. Here we had to strip, leaving our clothes in a pile in front of us. Then we had to face the barbers, who were mostly Polish political prisoners, and get shaved all over our bodies. The barbers were old prisoners, and seeing fear in our faces, made fun of us. After being completely shaved we had to submerge ourselves in a disinfectant which was held in a huge vat and then get showered. After the shower we were issued the prison garb, consisting of long blue and white

1/1/25

- 17 -

narrow striped cotton underwear and a jacket, with trousers with 1 inch wide blue and white stripes and a striped cap. We were also issued 2 red cloth triangles and 2 white rectangular pieces of cloth with a printed number on it. Mine was 13390, it was later tattooed on my left forearm, and that is what I was known by to the German authorities for the duration of my stay in Auschwitz. Our civilian clothes were put in a paper bag and stored in a warehouse. Then we were assigned to different block-quarters. I with several others was assigned to block No. 7 and the Block Senior was waiting to receive us.

He marched our group to the block and here he assigned us to one of the four rooms of his block. The Block Senior was gaunt looking individual, he wore a red triangle, indicating that he was a political prisoner, but, as we later found out, behaved worse than many of the criminals, the word was that he was a German communist. His first name was Alois, but he was better known by his nickname Bloody Alois because of his exceptional brutality.

The room I was put in was run by a Polish Room Senior, today I do not remember his name, but I remember that he was well trained by Bloody Alois and sometimes beat us for no reason at all, just to please the Block Senior. He was taken in a roundup in Warsaw and by trade was a butcher. Once in the room we were given a needle and thread and we had to sew on the triangles and the numbers on our jackets and trousers. After that we were taken to the photographer and had our pictures taken in three positions, front, profile and with the caps on.

Back at block the drill started. We were taught to stand to attention, how to take our caps off and to put them on, how to address and report to the SS men and to the Camp and Block Seniors and Capos. To address any of these we had to stand at attention take off our caps smartly and recite: "Prisoner number such and such obediently reports as ordered" or similar phrases. It was not difficult for those who spoke some German but for those who did not it was a torture and they were beaten mercilessly if they made a mistake or forgot the phrase.

1/1/26

Next morning all the newcomers were taken out to work. There was a pile of earth at the side of our block which had to be removed. We were given shovels and we had to move it onto prisoner-pulled wagons. All the time the Block Senior was watching us; it was hard work. I tried to be as productive as I could and put all my strength into it. Suddenly, I saw the Block Senior walking towards me, I was convinced that I was doing something wrong and he was going to beat me or even worse. To my surprise he told me that if I continued working the way I did I would kill myself in no time. He took my shovel and showed me how I should do it. I thanked him very much, not understanding very well what I was doing wrong, except that from now on I would slow down a little.

In the afternoon of the same day all the newcomers (over a thousand) from all the blocks of the camp were assembled in front of the prison kitchen and the *Lagerfurer* - Camp Leader, *SS-Hauptsturmfurer* - Captain Karl Fritsch, surrounded by his underlings, made a speech. Among other things the translator told us that we were there for the rest of our lives and the only way out of there was with the smoke through the chimney of the crematorium. After that we all fell into a deep depression with a sense of utter hopelessness.

The following morning we were assigned to different Work Commandos, of course, the newcomers were given the most difficult and strenuous jobs. I was attached to a wood chopping unit, we had to cut logs of wood to a certain size and then chop them for burning purposes. We worked under the open sky, rain or shine. My next assignment was work at the excavation for foundations for a new block being built. I had to push, on the double, a wheelbarrow full of dirt some three hundred yards away and dump it, being cursed at and beaten on the way. It was an exhausting work and I did not know how long I could last doing that kind of labour.

Perhaps this is right place to describe the workings of the Camp itself. The camp was administered by the SS with its headquarters in Berlin. The highest authority in Auschwitz, at the time of my arrival, was the *Lagerkommandant*, Camp Commandant, *SS-Sturmbannfurer*, Major Rudolf Hoess. He was later promoted to *SS-Obersturmbannfurer*, Lieutenant-Colonel. After the war, hiding in the British Occupation Zone under an assumed name of Franz Lang he was arrested by the British in 1946, handed over to the

1/1/27

Polish authorities, tried, sentenced to death and hung at Auschwitz, where he himself ordered many prisoners to be hung.

I had the doubtful distinction to meet Hoess one day in his garden. The Capo of the carpentry ordered me to deliver a carved wooden plate to the Commandant's house. The shortest and most direct way there was through his garden. As I entered the garden and made my way toward the house I was confronted by the Commandant himself. He stopped me and asked, what I was doing there. I replied that the Capo sent me to deliver the carved plate to his house. He nodded his head and let me proceed. I handed the plate to Frau Hoess and she in turn gave me a pack of cigarettes, which I gave to the Capo.

Auschwitz actually consisted of two Camps and later a third was added.

- KL Auschwitz I - *Stammlager*, Main Camp
- KL Auschwitz II - *Birkenau*
- KL Auschwitz III - *Monowitz*

KL (*Konzentrationslager*) Auschwitz I, was the first to be put into operation. Auschwitz, the Polish name Oswiecim, was located in south-western part of pre-World War II Poland. This part of Poland was incorporated into the German Reich. The actual location of the camp was in the pre-war barracks of a Polish horse artillery unit. The villagers from the surrounding communities of the camp were evicted at a moment's notice. The camp occupied a huge territory and it was almost self-sufficient. There were farms growing all kinds of crops and vegetables, there were cattle ranches and pig breeding pens, there were fish hatcheries, there was a slaughterhouse and a meat processing plant, there was a dairy and a bakery. There were all kinds of workshops, factories and offices, all staffed by prisoners. There was also a lot of human misery. There were five (5) gas chambers and crematoria, (1 in the Main Camp and 4 in Birkenau), where people, mostly Jews, were gassed by the thousands a day. That was Auschwitz, the pride of Himmler, who it was said, intended to rename it Himmlerstadt, as a monument to his and Germany's atrocities.

Auschwitz was " opened for business " in May of 1940, and the first prisoner-trustees were 30 German criminals brought in from Sachsen-

T/1/28

hausen Concentration Camp by the first *Rapportfuhrer*, Rollcall- Leader, *SS-Hauptscharfuhrer*, Staff-sergeant Gerhard Palitzsch. The first Polish prisoners arrived from the prison in Tarnow on June 14, 1940 and were mostly young students trying to cross the border to Slovakia and then Hungary in order to join the Polish Armed Forces being formed in France, and after the fall of France in England. The first registered prisoner was a Pole by the name of Stanislaw Ryniak and his number was 31.

There were six main categories of prisoners distinguished by:

- Red triangle - Political Prisoners
- Red triangle on top of a reversed yellow triangle forming a star of David - Jews
- Green triangle - Criminals
- Black triangle - Antisocial Element (Pimps, Prostitutes)
- Pink triangle - Homosexuals
- Violet triangle - Bible Students (Pacifists)

At the time of my arrival at Auschwitz the predominance of registered prisoners were political Poles, later on the balance changed in " favor " of the Jews, especially at Birkenau.

In the majority the camp was ran by prisoners under the supervision of the SS and the strictest of discipline. There was a Punishment Company where prisoners were sent for the slightest infraction and from which they seldom came out alive. There was the Death Block and the Death Wall where prisoners were tortured in the most vicious, sadistic and cruel ways to be eventually killed by the SS or starved to death. We all lived under constant fear and terror and one never knew whether one would see the next day alive. Such was the life in the camp.

Our rations were very meager, one was hungry day after day after day, there was no end to it. Our most popular and masochistic pleasure was talking about food, we could talk about it for hours, when we had time.

Our rations were as follows:

- Breakfast - Half a liter of a substitute of coffee or tea and sometimes a thin soup called Avo, made from flour of ground bones.

1/1/39

- Lunch - One liter of thin soup made of sauerkraut or turnip or similar vegetables. Seldom one found potatoes in it, not to mention meat.
- Supper - One third of a loaf of dark bread, one third of an inch thick slice of poor quality sausage, a small square (1" x 1" x 1/4") of margarine and a teaspoonful of substitute marmalade.

We were allowed to write two letters a month home in German. These letters were heavily censored and sometimes only fragments arrived at our homes as I later found out. We were also allowed to receive money from home for which we were presumably able to buy nonexistent food in the camp canteen. The money disappeared in the SS coffers.

Our Sundays, which were free from work, we spent on washing, shaving our heads, writing when permitted and looking for and killing lice and fleas.

When I arrived at Auschwitz we had three rollcalls a day except Sundays, when we had none. The first was early in the morning, before marching out to work. The second one was at noontime, when we were marched from our work-places back to the camp and counted. The third one was in the evening, after work and it could last from an hour to several hours, or as in one case the whole night till noon the next day. Almost all the time we had to stand at attention without drink or food. These long rollcalls were mostly due to the fact that a prisoner or prisoners were missing or a mistake was made in counting. Every prisoner dead or alive had to be accounted for. We had to stand ten in a row and the dead were laid out on the ground at the end of the column. The noontime rollcall was later abandoned by the Germans, because they came to the conclusion that too much work time was wasted.

The confines of the camp where we went for the night were not too large, they consisted of 28 three story blocks (buildings) located in three rows with a capacity of over a thousand prisoners to a block; all together, approximately 30,000 prisoners. That was Auschwitz I; Auschwitz II - Birkenau had a capacity of 200,000 prisoners. We were surrounded by two rows of high electrified barbed wire fences, one low warning fence, a high concrete wall from the side of the main road and guard towers manned by the SS with machine-guns.

1/1/30

We marched out of the main gate every morning to work to the various working places, to the tune of the prisoners' marching band. The SS manned then a much larger chain of guard towers, within which some of us could move freely. To work beyond the larger chain of guards the prisoners had to be accompanied by SS guards. The ratio of guards to prisoners working outside the larger guard chain was as follows: One to two prisoners - one SS guard, three to four prisoners - two SS guards, and so on. To keep check on the prisoners as well as on the SS guards working outside, were roving SS patrols. These patrols checked the guards' passes, the colors of which were changed every day as to whether the names of the guards and the numbers of the prisoners entered on the pass corresponded to the IDs of the guards and the numbers of the prisoners.

As I already have mentioned, the camp was spread over a vast territory, approximately 25 to 27 square miles. The total camp population, Auschwitz I & II, at its height was approximately 200,000. This figure, of course, could change very rapidly, according to the requirements of the SS- authorities. If they needed space for newcomers, the feeble and emaciated, called *Mussulmen*, prisoners who had lost the will to live, would be taken to the gas chambers and liquidated.

At Auschwitz II - Birkenau was a vast women's camp; most of the inmates were Jewish and their living conditions were appalling. I once had an opportunity to visit their camp and I saw the misery of their existence, it was inhuman, and yet there was nothing that one could do except to give them a little food, if one could, and a kind words. Few of them survived for long.

There was also a family gipsy camp at Birkenau, where whole families of gypsies from the German occupied territories were kept. At the beginning, as I heard, they had reasonably good living conditions and were treated quite well. Their children played within the camp's confines and even some of the SS got fond of them. Then one day they were all taken to the gas chambers and gassed. The shock of this tragedy reverberated through all the camps and was especially painful to those prisoners who hapened to know some of them personally.

The perfidy of the Germans had no limits. After the invasion of the Soviet Union by the Germans on June 22, 1941, many Russian POWs were brought to Auschwitz I. In order to give some semblance of acting in accordance with the Geneva Convention they fenced off part of the inside of the concentration camp (nine blocks) with a gate and on top of it a sign: *Kriegsgefangenenlager* - Prisoner of War Camp. Approximately 11,000 prisoners arrived, in less

1/1/31

then six months fewer than 1,000 remained. They died mostly from hard work, starvation, spotted fever (typhus) and beatings. Their stripped bodies stacked six feet high laid for days in the open. The small Auschwitz I crematorium had to work overtime.

Let me now return to my own fate. As I mentioned before, I did not know how long could I last doing the exhausting excavation work. But luck was with me. One day, either after work or on Sunday I met a fellow student from Grudziadz who came to Auschwitz with the first transport from Tarnow. He was caught on the Slovak border trying to cross to Hungary; his name was Tolek Dondolewski. As an old prisoner-survivor he had good connections among other prisoners. He worked as a groom to the SS officers' horses and as such he did not lack food, since the horses were better fed than we were. They received sugar, potatoes, carrots, apples and of course oats and other grains. All these staples the grooms shared with the horses. The sugar, although discolored to prevent the prisoners from using it, was somehow prepared to be made fit for human consumption.

Tolek, seeing my physical appearance, introduced me to fellow prisoner named Chodurowski, who was a master carpenter by trade. Chodurowski told me where his work commando assembled each morning and to report there after the morning roll-call. Next morning, anxiously awaiting the end of the roll-call I found Chodurowski and his commando and we marched out to the carpentry workshop. Here he introduced me to the Ober-Capo Balke, a German criminal prisoner, as a new carpenter. Balke asked me if I really was a carpenter, I could not brazenly lie that I was one, so I told him a story that my father had a carpentry shop and that I saw the work done there and was familiar with that kind of work and the necessary tools and woods. I was accepted, put to a work bench with three other prisoners, of which at least one was a real master carpenter. I was now under a roof and not exposed to the elements, I was as happy, as a prisoner in these circumstances could be.

The master carpenter at my bench, I believe his name was Zawistowski and who was from Warsaw, knew right away that I was not a carpenter or that I knew anything about carpentry. He was a nice fellow, however, and started to teach me the ropes of the trade. My knowledge of the German language was of great help to me. I could speak for myself, without the use of an interpreter and soon the Capo of the carpentry shop started using me as his interpreter. I was being sent to different construction sites to take measurements for new windows and doors. Of course, I always took the master carpenter with me to make sure that I was taking the correct measurements. Making the wrong measurements meant making windows

T/1/32

and doors that would not fit and that meant death for sabotage. I liked my work in the carpentry shop; it was not too strenuous, one could more or less work at one's own pace and one was not cursed and beaten. These were great advantages although there was not more food in it, I was as hungry as ever.

At one evening roll-call in the summer of 1941 it was found out the a prisoner escaped and all the searches for him proved fruitless. It so happened that the escapee lived on the same block as I. At that time the Germans were applying collective responsibility if anybody escaped, in other words they selected ten to twenty prisoners from the block where the prisoner lived, as hostages. At the given evening roll-call the Camp Leader Captain Fritsch walked through our rows, looked us in the eyes and picked ten prisoners, among them a professional NCO in the Polish army named Gajowniczek, who was married with two children. He started lamenting and crying that he would never see his family again. At that moment, Father Maksymilian Kolbe stepped out and asked the Camp Leader if he could replace the NCO. The Camp Leader agreed. The ten were taken to block number 11, the Death Block. There they were put in a *Stahbunker* Standing Bunker, which was a cell 3 feet by 3 and approximately 7 feet high with no windows. Four prisoners had to crawl in through a small door at the bottom of the cell and remain there standing till they died. No food or water was given to them. Father Maksymilian was canonized few years ago and no doubt one day will be made a saint.

One day I was approached by the *Arbeitsdienst*- (roughly) Employment Agent, Otto Kiesel, criminal prisoner number 2, one of the most decent and kindest of the German Capos. He later escaped with three Polish prisoners, was recaptured in Warsaw with two Poles and all three of them were brought back to Auschwitz. The two Poles were executed; he, as a German was spared, although severely beaten and later transferred to another camp. Otto asked me if I was interested in a block clerk's job. He told me that the Block Senior from the 25 block was dissatisfied with his present clerk and would like to replace him. The block clerk's job consisted of keeping a card record of all the prisoners on the block and their movements and to prepare a report sheet for the roll-calls. It also meant more food, better and cleaner living conditions and a lot of free time. I accepted.

The 25th block overlooked the camp's kitchen in front of which there was an open square where the SS camp elite gathered to receive the roll-call reports; and where the hangings and the official beatings, ordered by the SS-authorities took place. One morning, after all the work commandos left the camp for work, the SS set up a table in the square in front of the kitchen.

1/1/33

Then they brought out and lined up in front of the table some 100 Russian soldiers, of what rank they were nobody knew because they were stripped to the waist, and individually registered and questioned them. After the questioning, which did not take too long, they were taken to a gravel pit behind the kitchen to work. From the windows of block 25, the Block Senior, some of the Room Seniors and I had a very good view of what was going on, and what we saw were the most horrifying scenes I ever saw in my life and I hope I never will. By noontime the SS murdered half of the soldiers in the most vicious and cruel way. Some of them were lined up at the edge of the pit and kicked in the groin or stomach. When they fell to the bottom of the pit, the SS threw big rocks, killing them. They split their heads with spades or they told them to lie down, put the handle of the spade over their throats and standing at each end of it choked them to death. They also tipped the gravel-loaded wagons, after telling them to lie down, over them, burying them alive. In the afternoon, the SS finished the "job", killing the rest of them. We later learned that the murdered were political commissars of the Red Army.

The first gassing, as far as I can remember, was of some 600 Russian officers captured in the early days of the German invasion of Russia on June 22, 1941. It was a sunny day and in the late afternoon the SS called a curfew. We were not allowed to leave the blocks and we were not permitted to look out of the windows or come close to them. We knew that something important was taking place. There was a lot of guessing, but not till the next morning did we learn what had happened. We learned from the prisoners - pallbearers-, who had to work all night, carrying the dead to the crematorium. One of the block's basement was ad hoc converted to a gas chamber; today I do not remember whether it was block 7 or 8, the half windows were covered with earth and the doors were sealed gas tight. The poor souls did not know what had hit them when they entered the basement, they were dead in a few minutes. The Germans used the same gas as they used to fumigate the whole blocks from lice and fleas contained in the blankets and prisoner uniforms.

At one evening roll-call our block was one prisoner short; there was a big commotion, checking and double checking, and still there was one prisoner missing. I soon found out who the prisoner was and I was blamed for it. Every evening I the block clerk, received from the main office notices as to certain prisoners being required the next morning to report for various appointments, and it was usually announced after the roll-call. In this particular case I told the prisoner he had to report to the Political Department, (the camp Gestapo), the next morning, and this was an ominous sign. I myself was once called to the camp Gestapo for additional

1/1/34

interrogation, and my block senior and the clerk told me when I came back that they thought they would never see me again. Usually, being called to the Political Department meant execution. Suspecting the worst, the prisoner hid himself in a construction site of a new block being built within the confines of the camp. Of course, he was soon discovered and taken to the death block for the night. He was executed the next morning after interrogation.

I, for my "crime" was relieved of my duties as a block clerk and assigned to heavy duty work at a construction site. I had to carry ten or more bricks up a ladder in a specially designed contraption to the second floor of the building. My former block senior was making sure that I worked hard and he told the Capo of the construction crew to drive me even harder. By now, however, I was an old prisoner, known to many "important fellow prisoners" and "with connections" and as such treated with "respect" for being able to survive for so long. My punishment did not last too long. I soon went back to the carpentry shop.

The carpentry had a new Capo now. He was little in stature, a German criminal with a pronounced cataract on one eye. He was quite harmless and occasionally a pleasant fellow although a conniving operator. He did not get along with his current office clerk, a Pole, who, knowing more than he, stood in his way of the shady dealings he conducted. The Capo was looking to replace him and my arrival presented him with the perfect opportunity. He fired him and told me to take his place. I protested that I did not have the necessary qualifications but he said "You will learn", and so I became the clerk of the carpentry. I had to assign the various jobs to the carpenters' benches, work out the sizes, amounts and the kind of woods required as well as the time necessary for the completion of each job. The Capo in the meantime was up to his old tricks. He was dealing and wheeling with the SS for food and "schnapps", mostly schnapps. He was authorizing illegal jobs for pieces of furniture and carvings, until one day the SS people responsible for the running of the workshops got wise to him and installed an SS-man to be in charge of the carpentry.

The SS-man put in charge was *SS-Sturmmann* - Private First Class, Heinrich Blanke, a 6 ft. 4 in. tall brute of a man. Right from the start he communicated with me only, ignoring the Capo completely. It was beneath him to have anything to do with a criminal, although German, and eventually replaced him. The SS-man was a carpenter by trade and not very well educated; he relied on me a lot and treated me fairly. I cannot say the same about other prisoners. For the slightest infraction he would beat them mercilessly. I remember one incident where a young Polish carpenter "organized" (in the prisoners' dictionary "organizing" meant stealing)

5/1/35

somewhere a few potatoes and was cooking them on the stove where the carpenters' glue was kept warm. He was caught by the SS-man, brought to the office, questioned about the possession of the potatoes, with me as the interpreter, and then beaten with a walking stick on the behind. I do not remember how many lashes he received but he did not scream he was a tough young man.

It was now the summer of 1942 and there was an almost uncontrollable epidemic of spotted fever - typhus in the camp. Prisoners were dying by the hundreds. I, too, got infected. I was admitted to the "hospital", where the sick lay on three tier bunks, three to a tier less than three feet wide. I had

high fever for 16 days but somehow I never lost consciousness as so many did and who never came out of it. I was extremely weak, no medication was given to me. I had almost no food during my total of 5 weeks' stay in the "hospital", except hot water to drink. I lost a tremendous amount of weight. To strengthen me, while recuperating, Dr. Fejkiel, a fellow prisoner and a friend, gave me two injections of glucose. I was released from the "hospital" in the late afternoon of August the 28th. Being happy to be out of the "hospital", I wanted to run from joy but I just could not lift my legs and fell flat on my face. In the morning of the next day, August 29th, all the patients were loaded on trucks and taken to the gas chambers. I was spared from death by being released just several hours before. This was one of the ways to eradicate and fight the frightful epidemic. The method of killing patients by phenol injection to the heart was too slow, too time consuming for the Germans, although some 30,000 were liquidated this way. The only satisfaction the prisoners had from this killer epidemic was, that some of the SS also were infected and died. In many cases the prisoners secretly planted the infected lice on them.

How many people were killed at Auschwitz nobody knows for sure. There are estimates that range from 2,500,000 to 4,000,000 murdered there. At his trial as the first Commandant of Auschwitz, Rudolf Hoess admitted that in his calculation probably 2,500,000 perished. Of, course, for obvious reasons, his estimate would be on the low side. The reason there are no exact figures available is the fact that the Germans did not register most of the Jews shipped to Auschwitz; they went straight to the gas chambers. All together, only some 300,000 prisoners were registered and numbered, and most of these were Christians and Poles.

I went back to the carpentry and I believe, Blanke, the SS-man in charge was glad to see me alive and back. In the meantime there were changes made in the operation of the workshops. Many more SS were brought in as

1/1/36

heads of the various shops. The carpentry had an additional SS-man, SS-*Unterscharführer*, Corporal Alfred Schinner, an Austrian. He outranked Blanke, was more knowledgeable, better educated and gentler.

After my involuntary hunger-cure in the "hospital" I was doubly hungry. Luckily there was an opportunity to get more food, the left-overs from the SS kitchen. Blanke was raising two geese in a small yard attached to the carpentry and made arrangements with the chef of the SS kitchen for the left-overs. I had to go to the kitchen every day with a pail and collect the scraps for the geese. Hungry as I was, I and a few other prisoners shared the left-overs with the geese. If I were more selfish, I probably could have eaten all the scraps in the bucket myself, I was so emaciated and hungry. Soon, however, with the help of the SS kitchen left-overs I gained some weight and strength.

The workshops, consisting of carpenters, locksmiths, electricians, roofers, plumbers, painters, concrete workers, glaziers and others, were progressively more important to the German authorities in view of the fact that the camp was being constantly enlarged. I was "promoted" and became the chief clerk of the workshops. I was moved to a two-room small house of which one room was the office and the other served as bed-sitting room for the two SS-men, Blanke and Schinner. I was working in the office, and now had two additional clerks reporting to me, as well as keeping clean the bed-sitting room of the two SS-men to which I had a key. I was now chief clerk and orderly. I also had to make up parcels with the loot they were sending home.

Blanke was disliked and feared even by the other SS-men, especially by a Silesian named Lubusch, who spoke very good Polish and was very friendly towards all prisoners. One day Blanke disappeared and we never saw him again; the word was that he had been sent to the Russian front. We all breathed easier, including the SS-men. Lubusch, who was in charge of the locksmith workshop was helping prisoners wherever he could. He was especially friendly with a young student from Rzeszow, Edek Galinski. Edek planned an escape and for this purpose got transferred to Birkenau. Lubusch provided him with an SS uniform. Edek and a Jewish girl from Slovakia, with whom he fell in love, escaped. Everybody wished them luck. Some days after, however, they were caught on the former Czech-Polish border, brought back to Auschwitz, put in the cells of the Death Block, tortured and hung in front of the assembled prisoners. Edek was one of the first prisoners in the camp, his number was 537. They died bravely, never revealing Lubusch as the source of the acquired uniform.

T/11/37

The workshops were under the administration of the *Zentralbauleitung* - Central Camp Construction Administration, which was located in two big barracks some distance away from the workshops. There were well over one hundred prisoner engineers, architects, draftsmen, surveyors and clerks working there. Mostly they were Poles and Czechs. The supervising personnel were SS professionals of all ranks. As all of the orders to the workshops came from these offices I was transferred there. I sat in the office with one SS-man, corporal Bracht, and a civilian, whose name I do not remember. The civilian was a very decent man and ill at ease in this God-forsaken place. He was from Breslau, now Polish Wroclaw and he would smuggle out of the camp my letters written to my parents and mail them when on leave in Breslau at a considerable risk to himself. He hated this place and the whole German regime. Being declared unfit to serve in the armed forces he was drafted as a civilian to work there. He would share his meagre rations with me or with the Jewish girls from the typing pool next door.

SS-Unterscharführer Bracht, was a Silesian from Gleiwitz, Polish Gliwice, spoke and understood some Polish. He was a shrewd business man and an owner of building material warehouses, a confiscated Jewish property. He was a purchasing agent for building supplies and as such traveled all over German-occupied Europe and was seldom in the office. The purchased supplies were rerouted through his own business and then sold to the camp at a handsome profits to himself. He was a pleasant man; when in the office he spent most of the time on the phone or we would talk about the war situation. It was now the end 1943, the Germans were in full retreat on the eastern front and he was worried. He knew that we, the prisoners, had better and more reliable information than was fed by Goebbels' Propaganda Ministry. We had the latest BBC news every day through our electrician's workshop, which always had radios for repair. In our office we had a large map of Europe and Bracht would go to the map and ask me where the eastern front was presently located. When told, which was always further west than their newspapers said, he would say, although not very convincingly: "Oh, Leo you cannot be right".

As already mentioned the next office to mine was a typing pool, the partition walls were all of glass and one could see from one office to the other. The girls were all Jewish of different nationalities; they all spoke excellent German and took shorthand in that language. There were about ten of them and they all survived, as I learned from the only Polish girl in the pool I met in London after the war.

1/1/38

To our delight the war was going badly for the Germans. They were in full retreat on the eastern front, they had to withdraw from North Africa and were fighting a losing battle in Italy. Germany itself was bombarded day and night by the western allies' now superior air forces. They also bombed some of the Auschwitz installations, unfortunately killing a few prisoners and to our joy some SS-men. The concern was evident in the SS-men's faces.

Things were also changing in the camp. We had a new commandant. We were allowed for the first time to receive food parcels from home. There was no more collective responsibility applicable for a prisoner's escape. The terror, however, did not diminish. The gassing of the Jews at Birkenau seemed to accelerate. The gas chambers and crematoria were working day and night. It appeared that the SS wanted to finish the job of extermination as fast as possible. There were still shootings of prisoners with small caliber rifle in the back of the head at the death wall. In the "hospital", the sick were still being injected with phenol to the heart. We still were not certain what the future held for us. We thought that in the end the Germans would destroy all incriminating evidence, they would kill every last one of us.

With these thoughts in mind, I, and others started seriously contemplating escape from the camp.

Escape from Auschwitz

Being employed at the Central Construction Administration I had the privilege, as did some others in similar situations, to move freely within the confines of the large chain of guards territory. I had to deliver and receive work orders from the various camp offices. I knew many prisoners and many knew me. I was an old prisoner and therefore trustworthy.

On my rounds, I often stopped at a little studio in the attic of the joiners' barrack. It was occupied by a sculptor and carver, prisoner number 23483, Alfons Szuminski. To get to his studio one had to climb a ladder; the little room was occupied only by him and seldom anybody came to see him. He was carving and sculpting for the SS-man in charge of the joiners and as such was immune from anybody else's interference. He was a native of Bydgoszcz and spoke very good German. One could also get food in his place, since for his carvings and sculptures he was able to obtain meat and sausages from the nearby slaughter-house and butter from the dairy.

I/1/39

Alfons and I started to talk about escaping; the fellow from the dairy, Henryk Kwiatkowski, was also interested and so was the foreman of the joiners, a Silesian, whose name I do not remember.

Our original plan was to leave the camp as civilian workers who came to the camp daily as skilled workers for special projects. To do this we had to obtain special passes, civilian clothes, wigs and bicycles. It was a big order but with the help of some of the Polish civilians who had contacts with the resistance movement or were themselves members of it, we were sure we could do it.

We started with the wigs. First, Alfons made casts of our heads in plaster, which were then given to a Polish civilian worker who smuggled them out of the camp. The casts with our hair colors were given to a wig maker in Cracow. Within a few weeks we received the wigs together with the glue to affix them. I must say that the wigs were not of the best workmanship but I thought under a cap they would do.

Next came the passes. A camera was smuggled in and we made pictures of ourselves with our wigs on. The civilian took them out and gave them to the resistance movement who in turn forged the passes with our pictures on them. The civilians had to show passes to the SS guards at the gate every time they passed through it.

The fellow who contacted the civilian workers was the Silesian whose name I do not remember. His own work brought him in touch with them and therefore did not raise any suspicion.

It was also he who made the arrangements with a civilian for the civilian clothes and the bicycles. The bicycles were brought in over a period of few days. The civilian worker rode into the camp on a bike, left it in the camp and either walked back home or got a lift from a fellow worker. He also hid the clothes and the bikes in a shack close to the joiners' barrack and kept them under lock and key.

When everything we thought was ready we picked a day in early summer of 1944 for our move. The civilian workers left the camp way before the quitting time for the prisoners, in which case the escape would not be discovered till sometime later, which of course, would give us time to get as far away as possible from the camp.

At the given day and time the three of us; Alfons, Henryk and I went inside the shack and started changing into the civilian clothes, the Silesian said he

T
1/1/40

would join us as soon as he disposed of a certain matter. We in the shack in the meantime were becoming tense and full of anxiety waiting for him. Minutes seemed like hours and there was still no sign of him. It was becoming very dangerous for us; any moment an SS- man could accidentally discover us or worse, the Silesian would betray us. Alfons decided to change back into the prison garb and look for him. After a while he came back with the Silesian who was shaking like a leaf. The Silesian was almost incoherent, he was mumbling that he just could not go through with it, that his nerves refused to obey him. He told us to go ahead with our plan without him, that he would not betray us. We could not take this chance. We dressed back in our prison uniforms. The four of us went to Alfons' studio, made the Silesian swear that he would not betray us or else we would make sure that he would not survive the camp, which could easily be arranged and he knew it. We told him to get rid of the bikes and clothes and forget the whole thing. We burned the wigs and the ID cards and that was the end and failure of our first attempt to escape from Auschwitz.

I, however, did not abandon the thought of escaping and neither did Alfons or Henryk, although Henryk made a different connection and escaped before us.

Jan Prejzner, No. 14046, who worked with me as a clerk in the work- shops, although not in the same office, was also interested in escaping. He, through his previous work in an *Ausenkommando* - outside commando - made some connections with the local underground organization unit of the AK (Armia Krajowa) - Home Army. His contact was a young girl, Zofia Zdrowak, who lived in the nearby village of Budy-Bory. She was forced by the Germans to work as a cleaning woman in the NSDAP (National Socialist German Workers Party) barrack. The barrack was within the confines of the great chain of guards and could be approached without the assistance of an SS guard but with a good excuse to justify one's presence there. It was always full of SS-men. To have a valid excuse to be there Zosia (Zofia) was instructed to do some damage to the plumbing, locks, electricity or anything else that required immediate attention by qualified craftsmen from the workshops. The repair work had, of course, to be assigned through the office of the workshops, where Jan was the clerk. He or I always accompanied the workers and thus made contact with Zosia, exchanging information and instructions.

Now that we had a good connection with the resistance, we started seriously planning our escape. We decided, Janek, Alfons and I that we escape as prisoners being taken to do outside work by SS guards. There were three other fellow prisoners taken into our confidence who were willing to risk an

T/M/41

escape and who with their camp connections would be essential to our plans. They were NO. 2009, Tadeusz Donimirski, a law student from Warsaw; No. 59195, Wacław Maliszewski, also a law student; both were from a glazier commando and No. 21668, Tadeusz Zaboklicki, a carpenter.

The plan of our escape was simple; the preparation and execution, however, required a lot of thought and steady nerves. Alfons and I were chosen as the two SS-men, since we both spoke good German, who would take four glaziers to work outside the large chain of guards to install window panes in the new houses being erected for the SS in the Rajsko agricultural nursery.

First, we needed two SS uniforms of our size. This task was the most difficult one. The man assigned to accomplish this was Janek Prejsner, who, with the help of a good friend of his from the roofers, Feliks Buczynski, was put in touch by him with a fellow prisoner who worked in the SS uniform storehouse. This fellow, over a period of several weeks was able, at great risk to himself, to smuggle out two complete SS uniforms with two caps and belts. These uniforms were originally hidden in Alfons' studio. Later, we transferred these to a lumber warehouse, where with the help of three other old prisoners, good friends of mine, they were hidden. The reason for hiding the uniforms in the lumber warehouse were threefold: Firstly, it was a shorter distance to our "rendezvous" with the prisoners we were taking out to work and therefore less likely to encounter and be recognized by other genuine SS-men. Secondly, it was a safer place to change in "our" SS uniforms. Thirdly, our prison garb had to be disposed of. These three fellows, Antoni Rosa, Wiesław Loegler and Witold Wierusz, were also helpful in sewing the insignia on "our" uniforms. The insignia were those of SS NCO's and the reason for that was the fact that NCO's could carry side arms and not rifles. To obtain rifles for us was an absolute impossibility, yet to take prisoners for outside work the guards had to be armed.

How did we acquire the "side arms"? The camp had a saddlery and a shoemaker workshop. Tadeusz Zaboklicki had a friend who worked in the saddlery and he approached him with a concocted story. He told the fellow that our boss, SS-Unterscharführer Alfred Schinner, had an upcoming birthday and he would like to give him a new gun holster as his was rather shabby and worn. The saddler asked him; "Do you know the size of the revolver?" "No, but it is the normal size" he replied, generally describing the size. "Do not blame me if it does not fit", said the saddler. Of course, it was the whole idea that the holster would not fit because we needed two of them. So when the first holster was delivered, for the price of some bread and sausage, of course, Tadek (Tadeusz) told the saddler that he was sorry but the holster was too small and asked could he make a larger one? "I told

T
1/1/42

you to give me the proper size ", said the saddler but made another larger one anyway; the extra portions of bread and sausage were tempting. For these holsters Alfons carved two dummy pistols out of wood. The SS-men, entitled to wear side arms, wrapped them in black cloth to protect them from rusting in the damp winter weather, so looking from the back of the open holster one could only see the black cloth and nothing of the pistol itself. We did the same with our " pistols."

Next step was to obtain passes in order to be able to take prisoners to work outside the confines of the camp.

Alfons knew a prisoner in the camp's printing shop and through him was able to secure several blank pass forms in different colors. For security reasons the color of the passes issued to the SS-men taking prisoners to outside work were changed every day. Janek and I, in our work knew which color pass was used in a given day. I also knew the name and signature of the SS-man issuing the passes; his name was SS-Unterschar-furer Kurt Hugo Muller, whose signature I later forged on the pass when the time came to " issue " it. Of, course, the genuine passes bore an official SS stamp which we did not possess. However, Alfons, being a carver made one out of a very soft wood, which, tested in my office proved to be very satisfactory. And so we passed another milestone in our endeavor to escape.

The last thing we had to obtain was poison in case we failed. Almost to all old prisoners in the camp the name of Marian Tolinski, the pharmacist, was very well known. He was one of the nicest people one would like to know anywhere. Through his connections in the SS pharmacy he received some cyanide, which he then passed on to us. Each one of us carried it in a piece of paper with us when we escaped.

So prepared we were now ready for our move to freedom. All we had to do was to get in touch with the resistance, give them the exact date and time for our escape and the password for our interception. The password was a Polish Christmas carol " Przybiezeli do Betlejem ", roughly, " They came to Bethlehem ", which the contact was supposed to whistle.

It was now the latter part of September 1944 and we enjoyed beautiful sunny days. The date was set for September the 28th and the underground was so advised. At approximately 1:30 in the afternoon, everybody's lunch hour, we would try our luck.

In the morning we had to find out what color passes the SS authorities were using that day. The news was bad, the color was light blue and we did not

1/1/43

have a blue color blank. The nearest color to blue was light green; we decided to use it. I filled out the pass blank, signed it " SS- Unterscharfurer Kurt Hugo Muller ", imprinted the stamp and hoped for the best.

I had a busy day, SS-Unterscharfurer Schinner, my boss, had some special assignment and kept me running around. It was nearing 1:00 pm and I was supposed to be in the lumber warehouse changing into my " SS uniform ", but I was still in my office with Schinner present. Eventually Schinner decided to go to lunch and I was free to pick up Alfons and together go to the lumber yard. Our friends in the lumber warehouse were getting restless and wondered whether we would show up at all and so were our four glaziers who were waiting for us with the glaziers' tools and glass panes at a prearranged place in the camp. As a matter of fact, they were so tense that they delegated Janek to see what was hapenning. In the meantime, we in the warehouse were changing into the SS uniforms. As we changed, we were inspected by the three warehouse employees, our friends, and declared fit to pass as genuine SS-men. Our prison outfits were temporarily hidden, in order to be eventually burned. We were now ready to leave the barrack, our friends made sure that the coast was clear , wished us luck and the two of us marched out with a brisk step to meet the four glaziers. As we walked we encountered several prisoners, who seeing SS-men saluted us in the prescribed fashion by taking their caps off. Only one, as I later learned on meeting him in Italy, recognized us, saying I looked pale. We did not meet any genuine SS-men, despite the fact that we had to pass close to the SS-mess. The whole distance, from the warehouse to the meeting place with the glaziers was probably half a mile . Janek, who was delegated to see what the delay was, seeing us marching, turned around and joined the three other glaziers.

As we approached the waiting glaziers we ordered them to pick up the tools and glass panes and march in front of us. Any commando which went to work outside the greater chain of guards with the assistance of SS-men had to pass through certain designated control gates, where the passes were checked. We, however, not having the proper color pass decided to take a chance, avoid the gate and take a shortcut to the houses at which we were supposed to work. This shortcut was used many times by genuine work commandos without interference from the SS and this was known to us. It was also thoroughly serveyed and we had, at the time of our crossing, a lookout there; he was Bruno Gray, a Pole, belonging to the Polish minority living in Germany before the war. The paths leading to the houses went underneath a tall guard tower, with an SS-man armed with a machine-gun on top of it. Bruno gave us the all clear sign and we marched, urging, in German, the " prisoners " to hurry it up. As we approached the tower, the

T 1/1/44

guard, being a plain SS-man saluted us " NCO's " with a loud " Heil Hitler ". We in turn replied " Heil Hitler " and added that it was a beautiful day, which it was and to which the guard agreed in reply. He did not question us; I do not think he dared.

For obvious reasons we were tense when we passed the guard up on the tower, but the most tense and dangerous moment was yet to come. As we were approaching the main road leading from the town of Auschwitz going south in the direction of the Beskid Zachodni mountains, (part of the Carpathians) and beyond which were the new houses to be worked on by the glaziers lay, we saw an SS-NCO on a bike wearing a white armband with the inscription *STREIFE*. It was a roving SS patrol whose duty it was to check all working commandos which were outside the parameter of the large chain of guards. He was some 40 to 50 yards away from us and hesitated whether to wait for us and check us out or whether to procede to his destination. He almost stopped, turning his head in our direction but somehow decided against it. Whispering among ourselves, however, we decided that if he stoped and waited for us we would have to either kill him or drag him with us and release him when we felt safe. We breathed with relief when he went on.

Another shock, but to a lesser degree was the view of a whole company of SS-men marching to the rifle range. They must have passed the road just a few minutes before we got there. Luck was with us all the way.

As we crossed the road we went into the unfinished buildings; we went to the back of them, beyond which was an open space with sparse bushes. We looked around and not seeing anybody we marched ahead towards the river Sola. Getting closer to the river the vegetation became much thicker. Here our glaziers hid the heavy glass panes and tools in the bushes and we walked south on the west bank of the river for approximately 150 yards. At that point we went into the river, walked perhaps for another 150 yards in the water in order to lose our scent for the dogs of the search party, which would eventually come. The level of the water was not too deep at that time of the year; we crossed to the east shore and walked on the path next to the river further south because that was where we were supposed to meet our contact.

Walking briskly, the " prisoners " still in front of us " SS-men ," we saw lying in the grass in a clearing a young couple but heard no whistling of the Polish carol. We passed them and then heard footsteps behind us and an attempt to whistle but somehow no tune was coming out. Alfons and I turned around

1/1/45

and asked the young man in Polish, " What are you trying to whistle " " Przybizeli do Betlejem " he replied, " You are our man then," we said. The young man's name was Marian Mydlarz, pseudonym " Krzywonos " and the girl was Zofia Gabrys, " Wera , " both belonged to AK unit " Sosienka. " The man in charge of this unit was Jan Wawrzyczek, a professional soldier in the prewar Polish Army with the rank of lieutenant. Our contact, Krzywonos and the girl walked us further south and placed us into very thick bushes and told us to wait there till dark, when the commander of the unit Sosienka would come and pick us up. They themselves left. While waiting in the bushes we heard the blast of camp sirens, indicating that our escape was discovered and the search for us had begun. We at that time were some 3 miles away from the camp and it was soon to be dark. At about this time the commander arrived and handed us three hand granades and two pistols, and when it got quite dark told us to follow him. We walked for some time until we arrived at a farmer's house where we met with Zosia Zdrowiak, our liaison with the underground, and others. Here we shed our SS uniforms and prison garb and changed into very poor civilian clothes. The prison garb was burned at once but the SS uniforms were hidden for future use. The lady of the house, Helena Jedlinska, served us some soup and we each had a small glass of vodka to celebrate our escape. Soon afterwards, Krzywonos, as our guide, walked us south through the fields, bypassing the villages, toward the mountains. We walked all night. In the morning we reached the foothills and were taken over by a partisan's patrol. The members of the patrol were Henryk Kwiatkowski, mentioned by me before, and Stanislaw Furdyna, both former inmates of Auschwitz. The commander of the partisan detachment in the Beskid Zywiecki mountains was Josef Barcikowski, " Chiromanta, " also an Auschwitz escapee. All together there were approximately 20 Auschwitz escapees in the partisan unit of some one hundred men.

I would like to mention here that during the almost five year existence of the camp there were 667 prisoners who attempted escape from Auschwitz. 270 were recaptured and most of them, the exceptions being Germans, (I recall only one) were executed. As to the remaining 397 who apparently were succesful, very little is known about their whereabouts, with the exception of a few.

As we arrived at the partisans headquarters, we were debriefed, issued arms, and those who never served in the armed forces were instructed in the use of these weapons. We were now truly free, able to defend ourselves and ready to fight the Germans and avenge the millions of innocent victims, the cruelties and the injustices we had to suffer.

Justyna L Zawacka
KO Poznań
Jako Gm. dr. 329/7/41

1/11/46

Relacja w sprawie J L Zawackiego

Moje nazwisko jest Z A W A C K I Leonard, Teodor, urodzony 20-tego stycznia 1916 roku w Grudziadzu. Ojciec moj Teodor byl maszynista kolejowym a mama Bronislawa z domu Behrendt prowadziła dom. Moj obecny adres jest: - 2007 Tamarack Place, Ashland, Oregon 97520 USA.
Telefon Nr. 503 482- 0816.

Ukonczyłem gimnazjum matematyczno-przyrodnicze im, Bolesława Chrobrego w Grudziadzu w 1936 i tego samego roku zapisalem sie na studia ekonomiczne na SGH (Szkoła Główna Handlowa) w Warszawie. W 1938 r. zostalem powołany do służby wojskowej która odbyłem w dywizyjnej szkole podchorążych w Grudziadzu.

W 1939, jako plutonowy podchorąży zostalem przydzielony do 64 pp. W Kampanii Wrzesniowej przydzielony do formowania zmotoryzowanych jednostek artylerii przeciwpancernej w Rembertowie, biore udział w obronie Warszawy. Wzięty do niewoli 28-go wrzesnia w Warszawie i przywieziony do Torunia na poczatkę pazdziernika 1939 r. uciekam z transportu.

Pod koniec pazdziernika 1939 r. zostaje aresztowany przez Selbstschutz w Grudziadzu i po trzech tygodniach zwolniony i wysiedlony do Generalnej Gubernii. W Warszawie mieszkalem w roznych miejscach. Ostatni moj adres przed aresztowaniem przez Gestapo 31-go pazdziernika 1940 r. byl na ul. Smulikowskiego 13. Jako kawaler, w okresie przed aresztowaniem pracowalem dorywczo w roznych dziedzinach. W lipcu 1940 r. otrzymlam pod zarząd 6 pozydowskich kamienic czynszowych zarekwirowanych przez Niemcow.

Do organizacji konspiracyjnej ZWZ wstapilem w maju 1940 r. Zaprzysięzony zostalem przez kapitana służby stalej Wojciszewskiego, moj pseudonim byl " Zawieja ". Kapitana Wojciszewskiego poznalem przez mojego kolege z Grudziadza Jana Cybulskiego, który w Grudziadzu byl członkiem tajnej organizacji prowadzonej przez Kaubego. Kaube, zdradzony przez jednego z członkow, zostal aresztowany i po procesie skazany na smierc. Cybulski, skazany w tym samym procesie zaocznie na smierc uniknal aresztowania i przybyl do Warszawy.

Po aresztowaniu przez Gestapo i przesłuchaniach bylem wieziony przez 5 miesiecy na Pawiaku. Dnia 4-tego kwietnia 1941 r. zostalem wywieziony do obozu koncentracyjnego w Oswiecimiu gdzie spedzilem nastepne 3 1/2 roku. Moj nr. w Oswiecimiu byl 13390. Dnia 28-go wrzesnia 1944 r. z kolega z Bydgoszczy w umundurowaniach SS wyprowadzamy 6-ciu wspolwiezniow i

7/11/47

uciekamy. Majac uprzedni kontakt z podoswiecimskim oddzialem AK " Sosienka " dowodzonym przez por. Jana Wawrzyczka jestesmy przez niego podjeci i skierowani do oddzialu partyzanckiego " Garbnik " dowodzonego poczatkowo przez por. Czeslaw Swiateckiego, ps. " Surma " a pozniej przez por. Jozefa Barcikowskiego, uciekniara z Oswiecimia nr. 66750, ps. "Chiromanta". Moj ps. byl " Lalus ". Oddzial partyzancki " Garbnik " nalezal do Insp. 85 " Bagno ". Z Nowym Rokiem 1945 zostaje awansowany na ppor. Posiadam pamiatkowa odznake Armii Krajowej Nr 5082.

7-go sierpnia 1945 r. opuszczam Polske i (via Czechoslowacje i Niemcy) wstepuje do 2-go Korpusu we Wloszech z przydzialem do Oddzialu Informacyjnego. W 1946 r. po przeniesieniu 2-go Korpusu do Anglii i zdemobilizowaniu koncze studia ekonomiczne w Londynie i w 1951 r. wyjezdzam do Stanow Zjednoczonych.

W 1984 r. przechodze na emereture ze stanowiska wice prezydenta firmy reasekuracyjnej.

Jako czlonek tutejszego Rotary Klubu jestem pomocny w zorganizowaniu Rotary Klubu w Toruniu.

Ashland, dnia 11 marca 1991 r.

R.S. Zmucha

11/48

LEONARD TEODOR ZAWACKI

por. w st. spocz., więzień Oświęcimia, partyzant A.K., oficer Drugiego Polskiego Korpusu w Italii. Obywatel USA.

Urodził się w Grudziądzu 20.01.1916r. Ojciec był pracownikiem PKP. Bohaterska „cichociemna”, A.K. pseudo „Zo” jest siostrą stryjeczną naszego bohatera.

Maturę zdał w roku 1937 w Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Grudziądzu. Studia rozpoczął w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W latach 1938/1939 odbywał obowiązkową służbę wojskową. Kończy kurs podchorążych rezerwy piechoty w stopniu plutonowego podchor. z przydziałem do 64 p.p. w Grudziądzu. Zgodnie z kartą mobilizacyjną w roku 1939 miał się zgłosić do Rembertowa, gdzie organizowano zmotoryzowane oddziały artylerii przeciwpancernej. Mimo przeszkód, które spowodowały bombowce nieprzyjacielskie, dotarł do Warszawy, by wziąć udział w szeregach jej obrońców. Po kapitulacji dostaje się do niewoli, ucieka z transportu kolejowego w Toruniu do Grudziądza. Już w październiku został aresztowany przez Gestapo, po kilku tygodniach – po interwencji rodziny, został zwolniony i wysiedlony do Generalnej Guberni. Tak znalazł się w Warszawie, gdzie spotkał kolegę z Grudziądza Jana Cybulskiego, ściganego przez Gestapo. Obaj włączyli się do pracy organizacji zakonspirowanych. Na skutek jakiejś „wpadki” został aresztowany i uwięziony na Pawiaku (1.XI.1939r.) W pierwszych dniach kwietnia 1940r. wywieziono go do Oświęcimia, gdzie przebywał przez okres ponad 42 miesiące. Tu poznał piekło na ziemi, jakie hitlerowcy przygotowali dla przeciwników Rzeszy. Leonard Zawacki z autopsji poznał całe okrucieństwo, bezwzględność, która panowała w tej „fabryce śmierci”, jaką był obóz w Oświęcimiu.

Był świadkiem masowych egzekucji, był zmuszany do ciężkiej pracy fizycznej, cierpiał głód, doświadczył wszystkiego złego za wyjątkiem śmierci, której cudem wielokrotnie uniknął.

Dzięki pracy w stolarni poznał zabudowę obozu, następnie pracował jako siła pomocnicza w administracji, gdyż znał język niemiecki. To wszystko pozwoliło mu zrealizować plan ucieczki z obozu. Co należy uznać za wyczyn godny stworzenia filmu na powyższy temat. W dniu 28.09.1944r. L. Zawacki z więźniem Alfonsem Szumińskim (z Bydgoszczy) przebrani w mundury SS udając strażników, wyprowadzili z obozu 4 więźniów rzekomo do robót szklarskich. Ucieczka udała się i wszyscy uciekinierzy zostali przyjęci do oddziału „Garbnik”, który należał do 85 Inspektoratu AK, działającego na Podbeskidziu.

Zawacki brał udział w wielu akcjach bojowych i został awansowany na stopień podporucznika. Po wkroczeniu Armii Czerwonej Oddział AK rozwiązał się, a ppor. Zawacki nie powrócił do Grudziądza lecz udał się nielegalnie na zachód. Już od 10.08.1945r. znalazł się w Monachium, następnie dociera do Drugiego Korpusu Polskiego w Italii, którego dowództwo znajdowało się w Porto San Giorgio. Tu został powołany do służby w Drugim Korpusie. Prawie rok przebywał w słonecznej Italii, pełniąc obowiązki służbowe jako oficer. W drugiej połowie 1946r. Drugi Korpus ewakuowano do Anglii, gdzie ppor. Zawacki został zdemobilizowany.

7/11/49

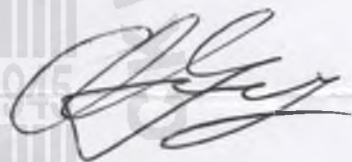
Otrzymał stypendium i zaczął studia w School of Foreign Trade, po ukończeniu którego rozpoczął pracę zarobkową. W roku 1951 korzystając z Uchwały Kongresu USA składa jako b. żołnierz wniosek o prawo osiedlenia się, który został załatwiony pomyślnie i w październiku odleciał samolotem do Nowego Jorku. Tu dzięki pomocy przyjaciół, przeszedł ciężki okres adaptacji do nowych warunków. W końcu ze swoją małżonką Fredą osiedlili się w stanie Connecticut, gdzie wytrwałą pracą zdobył stanowisko dyrektora oraz uznanego eksperta w dziedzinie reasekuracji.

Swoje przeżycia opisał w książce pt. „Wspomnienia wojenne 1939-1945” w języku angielskim, którą przełożył na język polski Stefan Melkowski w 1993r.

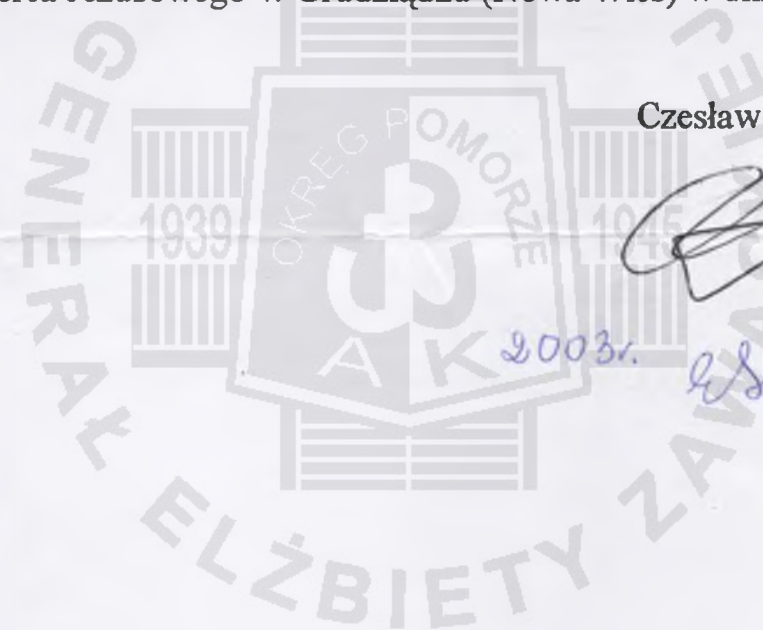
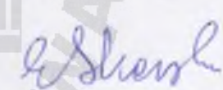
Państwo Zawaccy w roku 1985 po sprzedaniu posiadłości w Stanford, osiedlili się w Ashland (stan Oregon). Pomimo wielkich odległości z Oregonu do Polski Zawacki często odwiedzał członków swojej rodziny oraz kolegów.

W dniu 8 lipca 2001r. dotarła do Grudziądza smutna wiadomość, że Leonard Zawacki zmarł w Ashland, gdzie mieszkał ze swoją małżonką Fredą. Urna z jego prochami, spoczęła w grobowcu rodzinnym na cmentarzu pod zarządem parafii Najświętszego Serca Jezusowego w Grudziądzu (Nowa Wieś) w dniu 23.08.2001r.

Czesław Opałka



2003r.



1/2. Dokumenty - Zawacki Leonard Teodor:

1. Listo Państwowego Muzeum Oświęcim -
- Bieżimka z 10.07.1986 - dotyczące
pobytu w obozie i wcieleni, napis,
kserokop. oryg. k. 1 5.1



1/2/1

10 lipca 1986 r.
19

Oświęcim - Brzezinka, dn.



L. dz.

IV-8521/4247/ 1986 /86

PAŃSTWOWE
MUZEUM
OŚWIĘCIM
BRZEZINKA

NBP OŚWIĘCIM
KONTO 718-92-7

CENTRALA TELEF.
20-21 - 20-24

MUZEUM CZYNNIE
CODZIENNIE
W GODZ. 8-15
OPRÓCZ
PONIEDZIAŁKÓW
I DNI
POŚWIĄTECZNYCH

PRZYJAZD
ZWIEDZAJĄCYCH
NALEŻY
WCZESNIEJ
ZGŁOSIC

Pan Leonard Z a w a c k i
2007 Tamarack Place
ASHLAND, OREGON 97520, USA

Państwowe Muzeum w Oświęcimiu zaświadcza, że
Z A W A C K I Leonard urodzony 20.1.1916 r. Grudziądz
został przywieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu
/KL Auschwitz/ w dniu 5.4.1941 r. transportem z Warszawy.
W obozie oznaczony, jako więzień Polak polityczny
/P.POLE/ numerem 13390.
W dniu 28.9.1944 r. uciekł z obozu koncentracyjnego
w Oświęcimiu.

PODSTAWA informacji:

numerowe wykazy transportów przybyłych
do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, listy
nowo przyjętych do obozu, zbiór fotografii
więźniów, listy zdeponowanych pieniędzy więźniów
KL Auschwitz /wpis z dnia 22.10.1942 r. /, zbiór
ankiet i relacja Jana Prejznera.



D Y R E K T O R

Smoleń
/mgr Kazimierz Smoleń /

MO.
Call n

1/3. Inne materiały dokumentacyjne -
- Zawacki Leonard Teodor:

1. Oświadczenie z 28.09.1990 - dot. materiałów przekazanych Fundacji, napis oryg. k. 15, 1
2. Pismo Franka Surmy do E. Zawackiej z 1.11.2004 - dot. testamentu Leonarda, oryg. rękop. wraz z kserokop. k. 25, 2-4



5/13/11

OSWIADCZENIE

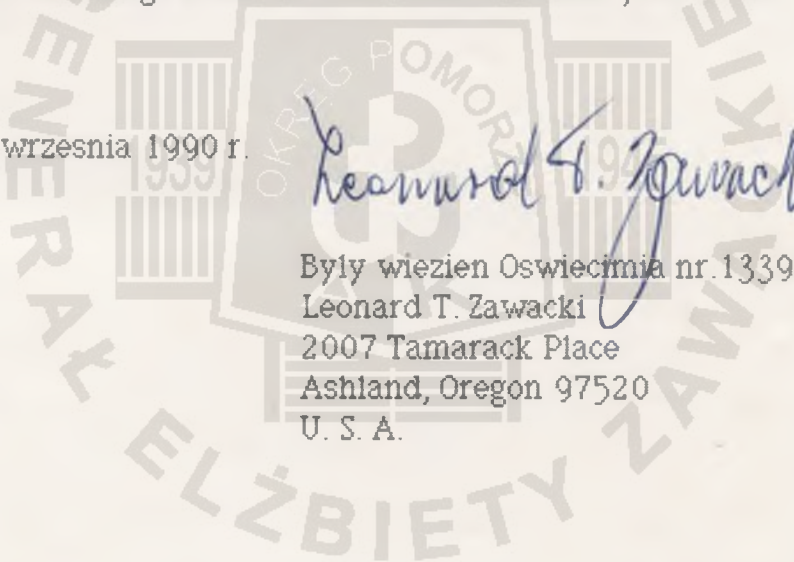
Oświadczam niniejszym, że przekazuję do zbiorów Fundacji Archiwum Pomorskiej Armii Krajowej w Toruniu 3 (słownie trzy) mapy sytuacyjne obozu Oswiecim (Auschwitz) i Brzezinka (Birkenau) z 1942 i 1944 roku.

Wracając pod koniec stycznia 1945 roku z partyzantki AK Insp. 85 " Bagno " z okolic Żywca na teren obozu Oswiecimia, wstąpiłem do baraku Centralnego Biura Budowy (Zentral Bauleitung), w którym pracowałem przed moja ucieczka, i widząc na jednym z biurk bylego oficera SS powyzej wymienione mapy z adnotacjami Głównego Biura SS w Berlinie zabrałem je ze sobą.

Torun, dnia 28-go wrzesnia 1990 r.

Leonard T. Zawacki 13390

Były więzien Oswiecimia nr. 13390
Leonard T. Zawacki
2007 Tamarack Place
Ashland, Oregon 97520
U. S. A.



01/11/04 p. 41/04

16.11

DROGA ELŻBIETA

1/3/2

PLEASE FIND ENCLOSED
THE ORIGINAL LIST
OF GERMAN MILITARY
AS COMPOSED BY LEONARD.

I HOPE THAT YOU CAN
FIND SOME PLACE FOR IT.

MY VERY BEST WISHES

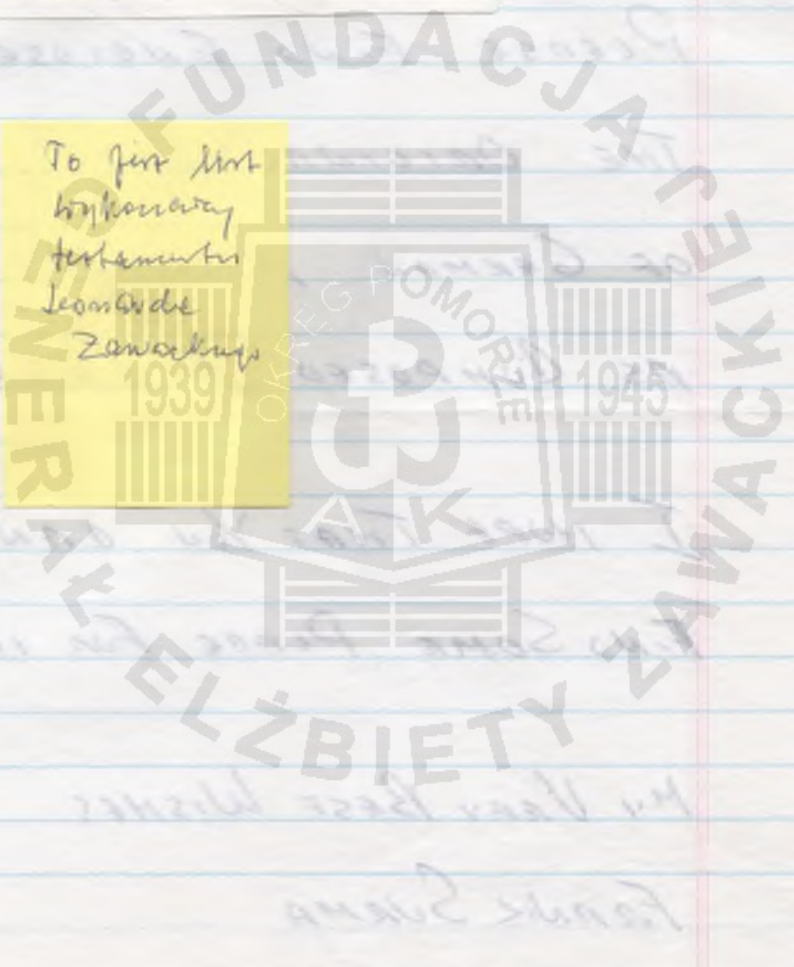
FRANK SURMA



Frank E Surma
7362 Adams Rd
Talent, OR 97540-9720

T/13/3

To first list
wykazany
tekamentu
Leonide
Zawackiej
1939



1/13/4

P. 4/1/04

10. MN



Frank E Surma
7362 Adams Rd
Talent, OR 97540-9720

DROGA

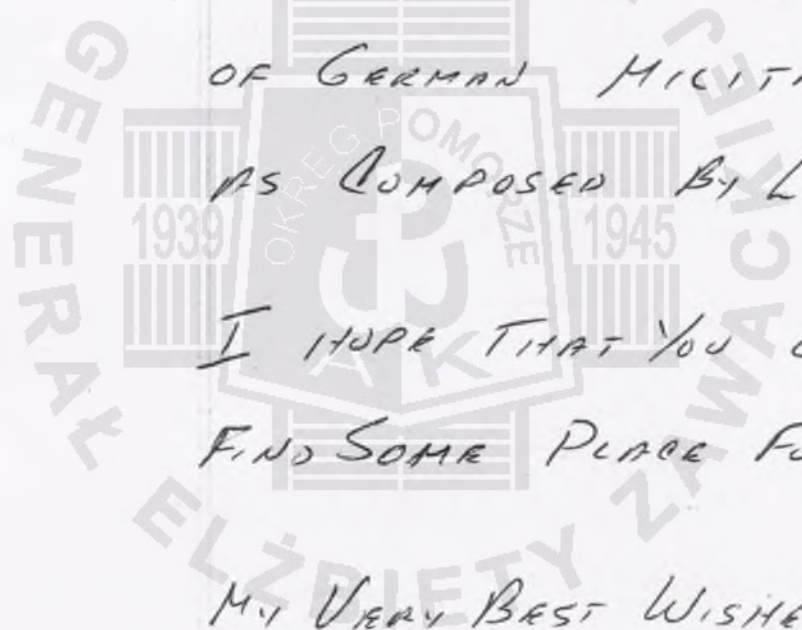
ELŻBIETA

PLEASE FIND ENCLOSED
THE ORIGINAL LIST
OF GERMAN MILITARY
AS COMPOSED BY LEONARD.

I HOPE THAT YOU CAN
FIND SOME PLACE FOR IT.

MY VERY BEST WISHES

FRANK SURMA



II. Materiały wspomniawcze relacje -
Zawacki Leonard Teodor:

1. Leonard T. Zawacki, Wspomnienia wojenne (1939-1945), przekład z j. angielskiego i wstęp Stefan Kellowski, oryg. k. 27 s. 1-52
w jak w oryg.
2. art. „Gajko” oddziału Soudy Kółka AK,
oryg. - brak źródła k. 1 s. 1
3. Izabela Gajewska, art. Strójantki '38,
Nowości Gudziedzkie, 8.09.1998, kserokop.
oryg. k. 2 s. 2-3
4. Tadeusz Sobaniski, Wcześnie osiągnięcia,
- fragment s. 187-195, kserokop. k. 5 s. 4-8
5. Czesław Opaska, Leonard Teodor Zawacki,
Aktmarch Gudziedzkie, kserokop. k. 2 s. 9-12
6. art. z światowej karty, Gorniec Gudziedzkie,
w N 2 9.08.2001, kserokop. oryg. k. 1 s. 13
7. Izabela Chmielewska, biogram „Zawacki
Leonard Teodor”, [w:] Stow. biograficzny
konspiracji pomorskiej 1939-1945,
Toruń 2004, z. 6, s. 196-197, kserokop. k. 2 s. 14-15

LEONARD T. ZAWACKI

**WSPOMNIENIA
WOJENNE
(1939-1945)**



pod. 4. 3/12/93 2 II

11/2

FUNDACJA PEKICKIEJ
 GENERALNA KASJA ZAWICKIEJ
 OKREG POMORZE
 1939 1945

Drogi Elżbieco z
 najlepszymi życzeniami
 okazji

Leonard

1/11/93

ROTARY CLUB
TORUN
POLSKA



ROTARY CLUB
MEDFORD BOOZE
OR-USA

Leonard T. Zawacki

**Wspomnienia Wojenne
(1939-1945)**



Przekład z języka angielskiego i wstęp: Stefan Melkowski

11/4

WSTĘP

ŚWIADEK CZASU NIELUDZKIEGO

“Czas nieludzki” - tak zatytułował swą powieść, poświęconą kondycji człowieczej w latach okupacji hitlerowskiej w Polsce, znany prozaik Stefan Otwinowski. To zestawienie słowne: “czas nieludzki” - uparcie trwało w mojej pamięci podczas lektury prezentowanych tu “Wspomnień wojennych” Leonarda Zawackiego. Jest to bowiem przejmująca relacja świadka owego “czasu nieludzkiego”, jakim były rządy Niemiec hitlerowskich w Europie, szczególnie okupacja ziem polskich przez Trzecią Rzeszę. Zaznaczyła się ona bowiem przerażającym okrucieństwem: sześcioma milionami zamordowanych obywateli państwa polskiego i jeszcze o wiele większą liczbą wydziedziczonych, ograbionych, zniewolonych, pozbawionych wszelkich praw i wolności, zmuszonych do niewolniczej pracy itd., itd. Ich liczebność równa była liczbie Polaków mieszkających na zagarniętych przez Niemców ziemiach. Jeśli ograniczyć się tylko do Polaków, bo przecież los Żydów był jeszcze bardziej okrutny. Mówiąc skrótem - Niemiec na okupowanych terenach mógł bezkarnie zabić każdego Polaka, jeśli miał na to ochotę lub znalazł pretekst, natomiast był zobowiązany przez faszystowskie prawo, będące skrajnym bezprawiem, do zabicia (czy też wydania na śmierć) każdego Żyda, o którego istnieniu dowiedział się. Symbolem tego nieludzkiego systemu hitlerowskiego jest obóz zagłady Auschwitz w Oświęcimiu, w którym zamordowano wiele, wiele ludzi, według różnych szacunków: od 2.5 miliona do 4 milionów, a to tylko jeden z kilkuset, chociaż zapewne największy, obozów śmierci skonstruowanych na terenach znajdujących się we władaniu Trzeciej Rzeszy. Był to więc czas antyludzki w całym tego słowa znaczeniu.

Jednak określenie autora prezentowanych tu wspomnień jako tylko “świadka czasu nieludzkiego”, jest wprawdzie słuszne, ale nie oddające całej sprawy. Był bowiem Leonard Zawacki nie tylko ważnym i wiarygodnym świadkiem, ale również i uczestnikiem wielu wydarzeń do historii Polski z lat 1939-1945 należących. Przedstawiane tu “Wspomnienia wojenne” są właśnie zeznaniem takiego świadka-uczestnika, który to wszystko, co się wówczas działo, nie tylko widział, ale i przecierpiał. Można nawet powiedzieć, że jego los - nawet w wymiarze tamtych lat - był skrajnie trudny. Właściwie to powinien - po wielokroć - zginąć, a jednak przeżył, więc ma szczególnie

prawo mówić o tych przerażających sprawach - także w imieniu tych wszystkich, którzy nie przeżyli.

Kim jest autor prezentowanych wspomnień? Urodzony 20 stycznia 1916 r. w Grudziądzu, w rodzinie kolejarskiej, skończył w 1936 r. tamtejsze gimnazjum matematyczno-przyrodnicze im. Bolesława Chrobrego i w tymże roku zapisał się na studia ekonomiczne w warszawskiej Szkole Głównej Handlowej. W 1938 r. - zgodnie z ówczesnymi przepisami - został powołany do służby wojskowej, którą odbył w dywizyjnej szkole podchorążych w rodzinnym mieście. 1 września 1939 roku ... W tym momencie, to znaczy w dniu wybuchu Drugiej Wojny Światowej, zaczyna się relacja przedstawiona we "Wspomnieniach wojennych"! - Otóż Zawacki 1 IX 1939 był przydzielony w randze plutonowego - pod chorążego do 64 pułku piechoty Wojska Polskiego i na początku Kampanii Wrześniowej został skierowany do formowania jednostek przeciwpancernych w Rembertowie pod Warszawą. Brał więc udział w obronie Warszawy i walczył aż do jej kapitulacji. Wzięty do niewoli 28 września uciekł z transportu jenieckiego w Toruniu i wrócił do Grudziądza, który - wraz z całym województwem pomorskim - został włączony do Niemiec. Tutaj - już w październiku - został aresztowany, a po zwolnieniu - dzięki staraniom rodziny - wysiedlony do tzw. Generalnej Guberni. Znowu jest więc w Warszawie, tym razem okupowanej, usiłującej przeżyć i próbującej walczyć. Nieźle sobie daje radę w trudnych warunkach - zdobył dobrą pracę a nawet mieszkanie. Szybko też odnalazł - przez kolegę z Grudziądza - kontakt z konspiracyjnym Związkiem Walki Zbrojnej i już w maju 1940 r. zostaje zaprzysiężony, otrzymując konspiracyjny pseudonim "Zawicja". Bierze udział w działalności konspiracyjnej. Jednak już po kilku miesiącach aresztowało go Gestapo. Przetrzymany i przesłuchiwany w oślawionym więzieniu na Pawiaku, zostaje 4 IV 1941 r. wywieziony do obozu zagłady Auschwitz w Oświęcimiu. Relacje z przerażających doświadczeń trwającego trzy i pół roku pobytu w tym obozie stanowią najobszerniejszą partię "Wspomnień wojennych" Zawackiego. Jest więźniem nr 13390 i przechodzi przez wszystkie niemal kręgi tego piekła na ziemi, którym był obóz Auschwitz. Nie poddaje się jednak, próbuje organizować ucieczkę. Wreszcie 28 IX 1944 r. przymyślnie zorganizowana (szczegóły w relacji samego autora) ucieczka udaje się. Dzięki wcześniejszym kontaktom - poprzez wszystkie obozowe zasięki - z działającym w regionie podoświęcimskim oddziałem AK - otrzymuje pomoc, a następnie staje się żołnierzem oddziału Armii Krajowej o pseudonimie "Garbnik", walczącego z okupantem na Podbeskidziu. Nosił tam pseudonim "Laluś". Przeżycia partyzanckie - między wrześniem 1944 a styczniem 1945 r. przedstawione zostały w ostatnim fragmencie wspomnień. Na Nowy Rok 1945 został przez dowództwo Armii Krajowej awansowany na podporucznika. Wkrótce jednak - w rezultacie ofensywy zimowej 1945 - wkroczyła na te tereny Armia Czerwona i dowódca "Garbnika" rozpuścił oddział. W tym miejscu kończy się tekst "Wspomnień wojennych" Leonarda Zawackiego, a rozpoczyna się nowy etap jego życia, który już nie stał się - przynajmniej jak dotąd - tematem pamiętnika.

Wróćmy więc do "Wspomnień wojennych"! Jak już powiedziałem, jest to relacja nie tylko świadka ale i uczestnika, ale także i ofiary wielu przerażających spraw i wydarzeń, które charakteryzowały nieludzki czas okupacji hitlerowskiej. Jest jednak rzeczą charakterystyczną, że nie ma tu ani cienia tonacji skargi, co byłoby zresztą naturalne u człowieka, który ponad trzy lata swego życia spędził w obozie zagłady Auschwitz w Oświęcimiu. Tego właśnie nie ma, jest natomiast rzeczowa, spokojna, udokumentowana relacja, która nie przemilcza żadnej okropności - nawet najstraszniejszej - ale mówi o tym bez emocji i - właśnie dlatego tym skuteczniej przeraża. Wspomnienia Zawackiego przedstawiają właściwie wszystkie etapy losu Polaka, który w latach 1939-1945 znalazł się pod władzą hitlerowskich Niemiec. Jest więc kampania wrześniowa, jest więzienie Gestapo na Pawiaku, jest obóz Auschwitz (najdłuższa partia wspomnień), jest partyzantka, jest wreszcie emigracja - na przelocie wojny i pokoju. Cały polski okupacyjny los w skrócie, wraz z bardzo interesującymi a mało znanymi szczegółami tej naszej ówczesnej obozowej i okupacyjnej doli!

Jak już wspomniałem, opowieść kończy się na początku 1945 roku z chwilą rozpuszczenia przez dowódcę akowskiego oddziału "Garbnik", którego był żołnierzem. Jednak jest to jednocześnie początek nowego etapu w życiu autora, o czym nie mówi już w swoich wspomnieniach, a co jest także bardzo ciekawe. Otóż najpierw próbował przystosować się do nowej rzeczywistości polskiej, zakładając wraz z kolegami restaurację i kawiarnię w Krakowie. Wkrótce jednak została ona splądrowana przez żołnierzy radzieckich i zamknięta. Nie mając zaufania do nowej rzeczywistości postanawia Zawacki uciec na Zachód. Na początku sierpnia 1945 r. opuścił nielegalnie Polskę i przez Czechosłowację dostaje się do tej części Niemiec, którą okupowały wojska alianckie. Wiem z opowiadań pana Leonarda, że było to przedsięwzięcie pełne napięć i niespodziewanych wydarzeń, może więc doczekamy się wspomnień i z tej niezwyklej wyprawy? Tymczasem podziwiamy odporność psychiczną i fizyczną autora, który - nie bacząc na wyniszczenia wyniesione z obozu Auschwitz i na trudy, których doznał w partyzantce - zdobył się na tak wielki wysiłek fizyczny i psychiczny - ucieczkę przez pilnie strzeżone granice i strefy okupacyjne. Dociera do Włoch, do stacjonującego tam Drugiego Korpusu dowodzonego przez gen. Andersa. Zostaje przyjęty i skierowany do informacji wojskowej. Po przeniesieniu - wraz z całym korpusem - do Anglii, zostaje w 1946 r. zdemobilizowany. Do kraju wracać nie mógł i nie chciał, więc wybiera los emigranta. Jak zawsze pełen życiowej energii i praktyczności zaczyna przygotowania do nowego etapu życiowego kończąc studia ekonomiczne w London School of Foreign Trade. W 1951 r. wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Pracuje w bankowości, a później w reasekuracjach - dziedzinie szczególnie skomplikowanej i wyspecjalizowanej. Widocznie odnosił sukcesy, bowiem gdy w 1984 r. przeszedł na emeryturę, to odchodził ze stanowiska wiceprezidenta (dyrektora) firmy reasekuracyjnej. Jak na - bądź co bądź - emigranta, sukces to szczególnie duży! Nie przerywa zresztą w tym momencie działalności zawodowej, pełniąc do dziś rolę niezależnego konsultanta do spraw reasekuracyjnych. Mieszka obecnie w

Ashland w stanie Oregon. Pracuje społecznie, m.in. w ruchu rotariańskim. Utrzymuje też stały kontakt z Polską, a gdy to się stało możliwe - odwiedza stary kraj. Był jednym z inicjatorów powołania przez rotarian z Medford i Ashland Toruńskiego Klubu Rotariańskiego i jest odpowiedzialny za sprawę świadczenia pomocy temu klubowi, a i całemu Toruniowi w ogóle, przez amerykańską społeczność rotariańską.

Nie ma wątpliwości, że stanowi bardzo interesującą i bogatą osobowość, jednak by o tym mówić, trzeba wrócić do tekstu "Wspomnień wojennych", bo w nich właśnie najpełniej osoba autora się przejawia. Jest w niej coś, co można by nazwać harmonijnym połączeniem kontrastów. Z jednej strony bowiem człowiek, którego poznajemy dość blisko i głęboko dzięki tym wspomnieniom, jest idealistą: zawsze na pierwszym miejscu stawia wartości ogólne - np. obowiązek walki w obronie ojczyzny, czy nakaz sprzeciwu wobec okupacyjnego terroru. Z drugiej jednak strony każdą sytuację ocenia bardzo rzeczowo, całkowicie na chłodno, bez emocji, wykazuje niezwykłą zaradność życiową i umiejętność przystosowania się do każdej sytuacji - nawet najgorszej. Potrafi wręcz wykorzystać każdą okoliczność, chociaż nigdy nie czyni tego kosztem drugiego człowieka, albo też przez pogwałcenie jakiegokolwiek istotnej wartości. Jest więc coś optymistycznego w postawie autora, bowiem czytelnik "Wspomnień wojennych" zostaje przez niego prawie przekonany, że właściwie nie ma takich nieszczęść, nie ma tak złego położenia, nie ma takich opresji, z których - przy Bożej pomocy, albo przy łacie szczęścia - nie można by się wydobyć. No właśnie - kiedy czyta się relację Leonarda Zawackiego z samego dna piekła "czasu nieludzkiego", to jesteśmy wciąż przez niego samego przekonywani, że właściwie w tych opałach, w jakich się znajdował w latach 1939-1945, powinien zginąć nie raz, ale conajmniej sto razy ... A tu okazuje się, że w ostatniej chwili, na pięć przed dwunastą, zawsze zdarzyło się coś, co go uratowało. Więc może rzeczywiście los każdego człowieka jest zapisany w gwiazdach, albo może po prostu: bez woli Bożej nawet włos z głowy spaść nie może?!

I jeszcze ostatnia refleksja: W naszych czasach, prawie pół wieku po zakończeniu wojny, ludzie należący do pokoleń, które już nie pamiętają okupacji hitlerowskiej w Polsce, zaczynają traktować tamtą przerażającą rzeczywistość - łącznie z obozem śmierci Auschwitz w Oświęcimiu - nie jako groźne memento, lecz jako opowieść o żelaznym wilku, jako thriller. Jeśli w ogóle o czymkolwiek chcą wiedzieć i czemukolwiek wierzyć, bo patrzą na wszystko przez pryzmat współczesnych Niemiec - kraju dobrobytu i demokracji. Dobrze się więc stało, że ktoś, kto był nie tylko wiarygodnym świadkiem, ale także uczestnikiem, a i poniekąd ofiarą "czasu nieludzkiego", zechciał nam go przypomnieć i unaocznic. Zachęcam Państwa gorąco do uważnego przeczytania tej książeczki!

Stefan Melkowski

I. WYBUCH DRUGIEJ WOJNY ŚWIATOWEJ

W dniu wybuchu drugiej wojny światowej znajdowałem się wraz z małym oddziałem żołnierzy na węzłowej stacji kolejowej w Działdowie, która to miejscowość znajdowała się dokładnie na ówczesnej granicy między Polską a Prusami Wschodnimi. Byłem wówczas młodym podchorążym rezerwy, wcześniej zmobilizowanym, a w dniu tym wysłanym przez sztab 16-tej Pomorskiej Dywizji do armijnego obozu w Rembertowie (wówczas miejscowości położonej na południowy wschód od Warszawy, dziś - w granicach miasta) z rozkazem pomocy w organizacji zmotoryzowanej jednostki artylerii przeciwlotniczej. Gdy jednak przyjechałem, wraz z powierzonymi mi żołnierzami, do Działdowa, tutejsza komenda poinformowała nas, że istnieje niewielka szansa kontynuacji podróży pociągiem, ponieważ stacja była zaminowana i spodziewano się niemieckich ataków lotniczych. Rzeczywiście, wczesnym rankiem - dokładnie o godzinie 4.30 dnia 1 września 1939 r. - usłyszeliśmy strzały z broni maszynowej i zobaczyliśmy samoloty z niemieckimi znakami. Prowadziły bojowe rozpoznanie krążąc nad stacją kolejową w Działdowie. Wszyscy zrozumieliśmy, że druga wojna światowa rozpoczęła się.

W tej sytuacji poszedłem do naczelnika stacji kolejowej i oznajmiłem, że mam rozkaz pilnego dotarcia do Rembertowa. Odpowiedział mi na to, że dalsza podróż przez Działdowo w kierunku Warszawy jest niemożliwa, więc musimy wrócić do Brodnicy, a następnie inną linią - przez Sierpc i Nasielsk - przedostać się do Warszawy. Poradził nam także, byśmy nie wsiadali do pociągu na stacji lecz poza nią, w kierunku wschodnim, na torach, gdzie on przygotowuje dla nas lokomotywę wraz z wagonem. Chciał w ten sposób uniknąć paniki wśród ludności cywilnej, która - jego zdaniem - mogłaby wybuchnąć, gdyby zobaczono nas wsiadających do specjalnego pociągu. Wówczas wszyscy chcieliby uciekać przed Niemcami - jak najdalej od granicy. Mimo tych zabiegów, część miejscowej ludności poszła za nami i naczelnik musiał postawić dalsze wagony, by umożliwić ucieczkę tym wszystkim, którzy się na to zdecydowali. W tak zwiększonym składzie dojechalśmy do Brodnicy. Wprawdzie tamtejsza stacja była już zbombardowana, jednak udało nam się pojechać dalej w kierunku Warszawy. Dotarliśmy tam 2 września po południu, na stację Warszawa Centralna, po drodze bombardowani i ostrzeliwani z broni maszynowej. Było wśród pasażerów pociągu wielu zabitych i rannych, na szczęście żaden z moich żołnierzy nie został trafiony.

W Warszawie nie znaleźliśmy żadnego środka transportu by dostać się do Rembertowa, więc poszliśmy pieszo, przechodząc przez ciężko uszkodzony w wyniku bombardowania most Poniatowskiego. Późnym popołudniem przybyliśmy na miejsce, gdzie przyjęto nas serdecznie i po posiłku pozwolono odpocząć. Zasnąłem od razu, ponieważ przez ostatnich sześć dni byłem stale w podróży, przemieszczając się z jednego końca naszego kraju na drugi. Następnego ranka zabraliśmy się do wypełniania naszych obowiązków. Okazało się jednak, że większość jednostek została już

wcześniej skompletowana, zorganizowana i wysłana na front. W Rembertowie pozostał tylko personel organizujący i formujący jednostki, który składał się z niezbyt wielkiej liczby oficerów i żołnierzy. Pozostały również trzy ciężarówki, dwa działa przeciwczołgowe i trzy cysterny z benzyną. Mieliśmy także pod dostatkiem żywności. Tak wyposażonych skierowano nas na pozycje bojowe położone na wschód od Warszawy. Należałem do załogi jednej z ciężarówek, sprzęgniętej z działkiem przeciwczołgowym. Aż do 13 września uczestniczyłem w akcjach bojowych pod Mińskiem Mazowieckim. Nacisk Niemców na nasze pozycje był jednak tak silny, że zostaliśmy odrzuceni w kierunku Warszawy. W czasie walk wokół Mińska Mazowieckiego nasze wojsko poniosło wielkie straty, a ja moją ciężarówką woziłem rannych żołnierzy do najbliższego, prowizorycznego punktu pierwszej pomocy. Wielu z nich umierało w czasie tego transportu. Warszawa przygotowywała się do rozpaczliwej obrony, ponieważ została już otoczona przez wojska niemieckie.

W czasie obrony Warszawy oddział mój zajmował różne pozycje i spełniał różne zadania, podczas gdy miasto było stale bombardowane i ostrzeliwane przez artylerię. Wiele tysięcy cywilów zabito, zaś domy zostały zniszczone przez ciężkie bomby, albo też spalone przez pociski zapalające. Brakowało żywności. Ludzie jedli mięso koni zabitych podczas bombardowania. Nie było wody, nie działała kanalizacja. Sytuacja stawała się coraz bardziej beznadziejna. Najbardziej przerażającym dniem był 25 września. Od wczesnego ranka aż do zmroku nadchodziły naloty - fala po fali bombowców zrzucających wielkie ilości bomb na całe miasto. Były tysiące zabitych i zachodziła obawa wybuchu epidemii, ponieważ stało się niemożliwym grzebanie wszystkich poległych. 27 września otrzymaliśmy rozkaz głoszący, że Warszawa jest całkowicie otoczona przez Niemców i że nie jest w stanie dalej się bronić. Naczelne dowództwo podziękowało nam wszystkim za rycerską postawę. W tym miejscu trzeba przypomnieć, że 17 września 1939 r. Rosjanie zajęli wschodnią część Polski, przyczyniając się do naszej klęski i upadku państwa polskiego.

Muszę tu także opowiedzieć o pewnym wypadku, który mi się przydarzył podczas mego udziału w obronie Warszawy. Otóż pewnego dnia poproszono mnie, czy też polecono mi - nie pamiętam szczegółów - bym udał się do pewnego domu prywatnego, aby się z kimś spotkać. Przyjechaliśmy z moim kierowcą pod ten dom i zaparkowaliśmy naszą ciężarówkę na jezdni. Obaj weszliśmy do środka. Nikogo nie zastaliśmy. Wszystko to trwało nie więcej niż minutę, a kiedy wróciliśmy do ciężarówki zauważyliśmy rozbity szybę przednią, natomiast gdy otworzyłem drzwi kabiny zobaczyłem, że oparcie mego siedzenia zostało zmiażdżone potężnym odłamkiem pocisku artyleryjskiego.

II. JENIEC WOJENNY

Rankiem dnia 28 września rozkazano nam złożyć broń w wyznaczonym miejscu, a następnie pomaszzerowaliśmy w kolumnach na wschód od Warszawy w okolice Pruszkowa. Tam, na pustej łące, zostaliśmy otoczeni przez niemieckie stráže, a następnie, całkowicie ubezwłasnowolnieni, byliśmy przetrzymywani na tej łące, pod gołym niebem, przez siedem dni. Pogoda się zmieniła i ze słonecznej przeobraziła się w deszczową i zimną. Nie było tam żadnych budynków, które mogłyby dać nam schronienie, więc spaliśmy na gołej, mokrej ziemi. Jedynym pożywieniem, które otrzymywaliśmy był chleb. Oficerów oddzielono od żołnierzy, jednak Niemcy nie uznawali podchorążych - więc i mnie - jako oficerów, przeto zostałem wśród żołnierzy. Dnia 5 października kazano nam uformować cztery grupy, a w każdej z nich żołnierze byli zwrócenii twarzami w inną stronę świata: na północ, południe, wschód i zachód, zgodnie z miejscem naszego poprzedniego rozlokowania na tej łące. Znalazłem się w grupie północnej. Potem zaprowadzono nas na bocznicę kolejową i załadowano w bydłące wagony, którymi odjechaliśmy w kierunku północnym. Nie wiem jak wielu wepchnięto nas do jednego wagonu, ale pamiętam, że było tylko tyle miejsca by stać. Po całonocnej podróży, wczesnym popołudniem następnego dnia, przyjechaliśmy na przedmieście Torunia, położone na lewym brzegu Wisły - na Podgórz.

Pociąg zatrzymał się na rampie wyladowniczej i został natychmiast otoczony przez niemieckie stráže. Stałem przy jednym z dwu małych okien bydłącego wagonu, kiedy niemiecki strażnik podszedł do mnie i zapytał, czy jestem oficerem. Odpowiedziałem, że nie, na co on rzekł: Wygląda pan na oficera! Tymczasem kobiety z pobliskich domów zaczęły się schodzić niosąc jedzenie dla nas. Niemieckie stráže pozwalały je nam podawać. Strażnik, ten sam, który pytał mnie czy jestem oficerem, skinął na jedną z kobiet, by podała mi jedzenie przez to okienko, przy którym stałem. Po upływie pewnego czasu Niemcy ogłosili, że każdy z nas, kto jest narodowości niemieckiej albo czuje się volksdeutschem, może wystąpić. Całkiem sporo spośród owych "polskich" żołnierzy postąpiło tak właśnie! Dano im specjalne przepustki i puszczono wolno. Następnie nam wszystkim pozostałym kazano opuścić pociąg i poprowadzono przez Wisłę na prawy brzeg. Oba toruńskie mosty były zniszczone, ale na jednym z nich - kolejowym - istniała możliwość pieszej przeprawy w pojedynczym szeregu. Rozpoczęliśmy więc wędrówkę po chwiejącej się kładce na drugą stronę rzeki, gdzie zostaliśmy zgromadzeni i otoczeni przez niemieckie stráže. Byliśmy teraz w prawobrzeżnym Toruniu, dokładnie na stacji Toruń-Miasto.

Podszedłem do strażnika - był to ten sam, który pytał mnie czy jestem oficerem - i poprosiłem go, by pozwolił mi pójść do pobliskiej dworcowej toalety. Zgodził się. Ja natomiast, wracając z owej toalety, zamiast zbliżyć się do reszty jeńców, poszedłem w przeciwnym kierunku. Ten sam strażnik podszedł do mnie i zapytał, gdzie zamierzam iść. Z wielką pewnością siebie powiedziałem

mu, że moja formacja gromadzi się na następnej stacji, która wówczas nazywała się Toruń-Mokre i ja muszę tam połączyć się z nimi. Jestem pewny, że on wiedział, iż ja zamierzam uciec, ale mi nie przeszkodził. To musiał być przywoity człowiek! Namawiałem usilnie kilku moich kolegów podchorążych by uciekli razem ze mną, lecz bezskutecznie. Wszyscy zostali niebawem zabrani do fortów rozmieszczonych wokół Torunia, no i resztę wojny spędzili jako jeńcy. Toruń-Mokre to była stacja, z której odchodziły pociągi do Grudziądza, mego rodzinnego miasta, położonego w odległości około 60 km na północ od Torunia. Gdy wszedłem na Dworzec, spotkałem mego kuzyna Stacha Śrozińskiego. Ku memu zdumieniu był on w mundurze wojskowym, chociaż - jak wiedziałem - nigdy nie służył w wojsku. Wy tłumaczył mi, że zgłosił się do wojska jako ochotnik i dlatego otrzymał mundur. Zdobył także w jakiś sposób dwa nie wypełnione blankiety przepustek, które otrzymywali żołnierze deklarujący się jako volksdeutsche. Wypełniliśmy je na siebie i podpisaliśmy wymyślonymi naprędce nazwiskami oficerów niemieckich. Na szczęście były one opatrzone odpowiednimi pieczętkami. Tak wyposażeni mieliśmy możliwość wsiąść do pociągu jadącego do Grudziądza.

Był wczesny wieczór, kiedy wyjechaliśmy, natomiast na miejsce przybyliśmy około północy. Przy wyjściu ze stacji władze niemieckie dokładnie sprawdzały papiery każdego z przyjezdnych. Kiedy pokazałem moją przepustkę, kontrolujący SS-man kazał mi odejść na bok i poczekać. To samo przydarzyło się mojemu kuzynowi, a także sporej liczbie innych przyjezdnych, zdaje się w sumie 11 osób. Po zakończeniu sprawdzania przyjeżdżających uformowano nas w oddział i wymaszerowaliśmy ze stacji. Szliśmy wraz z kuzynem w ostatnim rzędzie. Obok nas szedł SS-man wyższy szarżą. Zaczęliśmy rozmawiać z nim. Powiedział, że idziemy na noc do grudziądzkiej cytadeli i że rano będziemy mogli być zwolnieni. Oczywiście - my wiedzieliśmy lepiej: jeśli tam pójdziemy, to spędzimy resztę wojny w jenieckim obozie. Mój kuzyn był właścicielem składów drewna i materiałów budowlanych. Właśnie idąc ze stacji przechodziliśmy obok jego przedsiębiorstwa. Oświetlona nazwa firmy - właśnie jego nazwisko - była widoczna z daleka. Wskazując na nie zapytał owego SS-mana wyższego rangą, czy zamiast iść "na noc" do cytadeli nie mógłby pójść do domu, do swojej rodziny. Po krótkim wahaniu SS-man zgodził się i pozwolił mi odejść. Wtedy i ja zacząłem prosić go bym mógł dołączyć do swego kuzyna. Odpowiedział: Wiew! Resztę nocy spędziłem u mojego kuzyna, a następnego ranka poszedłem do domu, gdzie zostałem powitany serdecznie i radośnie.

III. PIERWSZE ARESZTOWANIE

Przed wojną Grudziądz był miastem liczącym około 60.000 mieszkańców, oprócz dużego garnizonu wojskowego. Mieszkała tutaj spora mniejszość niemiecka marząca o zjednoczeniu z Rzeszą Niemiecką. Mimo to żyliśmy dotąd z nimi w zgodzie, gdyż wprawdzie stanowili na ogół społeczność aktywną w dążeniu do spełnienia swych politycznych celów, ale w większości nastawioną pokojowo. Jednakże teraz, pod niemiecką okupacją, wszystko się zmieniło i Grudziądz stał się dla Polaków bardzo niebezpiecznym i trudnym do życia miejscem. Mniejszość niemiecka ujawniła się bowiem natychmiast jako "piąta kolumna", a ludność polska została przez nią, jak i przez okupacyjne władze niemieckie - sterroryzowana. Miejscowi Niemcy - natychmiast po wkroczeniu wojsk okupacyjnych - sformowali paramilitarną organizację, która nazywała się "Selbstschutz" ("Samoobrona") i która sama dla siebie stanowiła prawo, to jest - bezprawie, jakiemu Polacy zostali bezwzględnie podporządkowani. Nosili czarne uniformy z zielonymi naszywkami, na których czarnymi literami wypisane było słowo "Selbstschutz". Większość z nich zasiliła niebawem niemieckie, hitlerowskie formacje specjalne: SS (tj. "Schutzstaffeen", tj. "Siły bezpieczeństwa") oraz Gestapo (tj. "Geheime Staats Polizei", tj. "Tajna policja państwowa").

Na podstawie wcześniej przygotowanych list Niemcy wyłapywali spośród Polaków ludzi, którzy im byli z jakichkolwiek względów niewygodni i mordowali ich - bez żadnych zbędnych formalności - w pobliskich lasach. Wśród zamordowanych w pierwszym okresie okupacji było wielu moich krewnych i znajomych. Moja siostra, której mąż, sędzia grodzki, prowadził był przed wojną jakieś postępowania sądowe przeciw przedstawicielom niemieckiej mniejszości, także znalazła się na tej liście. Młody volksdeutsch Nawrocki, który przyszedł ją aresztować, okazał się znajomym - był synem miejscowego jubilera. Nawiązała się rozmowa, w trakcie której młody człowiek uznał tę dotychczasową znajomość za wystarczający powód skreślenia nazwiska siostry z listy proskrypcyjnej i obiecał, że nie będzie więcej niepokojona. W ten sposób ocalała. Jej mąż, oficer, został zmobilizowany na początku wojny, dostał się do niewoli i przeżył wojnę w oficerskim obozie jenieckim. Uniwersytety i szkoły średnie stały się dla Polaków niedostępne. Nie było też pracy dla polskiej inteligencji. Ja i moi koledzy nie bardzo wiedzieliśmy czym się zająć i w ogóle co robić.

Pewnego dnia, pod koniec października 1939 r., kilku z nas spotkało się w domu jednego z moich przyjaciół, by podyskutować o naszej sytuacji. Kiedy skończyliśmy spotkanie i wychodziliśmy z mieszkania, natrafiliśmy na korytarzu domu na dwóch członków Selbstschutzu. Ci natychmiast zaaresztowali nas i zaprowadzili do budynku, który w Grudziądzu był nazwany Internatem Kresowym, ponieważ przed wojną służył jako bursa dla uczniów ze wschodnich kresów Polski, zresztą w większości sierot. Teraz pomieszczenie to zamieniono na więzienie, czy też na obóz internowania. Nie było żadnego powodu naszego aresztowania - byliśmy po prostu

zakładnikami. Komendantem obozu był człowiek nazwiskiem Goetz, który skończył to samo polskie gimnazjum co i ja, tyle że kilka lat wcześniej. Podczas służby w Wojsku Polskim był w Szkole Artylerii dla Oficerów Rezerwy, która znajdowała się na wschodzie Polski, we Włodzimierzu Wołyńskim (dziś Republika Ukrainy). Podczas urlopów czy przepustek można go było widywać w Grudziądzu paradującego w szykownym, polskim mundurze pchorążego. Jego obecne zachowanie zasługiwało więc na pogardę. W obozie internowania umieszczono nas w obszernym pomieszczeniu, w którym znajdowało się ponad sto osób. Nie było tu żadnych łóżek, lecz tylko słoma rozrzucona wzdłuż brzegów podłogi. Nie mieliśmy też ze sobą niczego - nawet szczoteczki do zębów. Później pozwolono nam jednak nawiązać kontakt z rodzicami i mogliśmy poprosić o najpotrzebniejsze rzeczy. Otrzymywaliśmy także z domów codzienne pożywienie. Prawie każdej nocy Niemcy prowadzili przesłuchania. Krzyki bitych i torturowanych więźniów nie pozwalały nam zasnąć, czasem aż do świtu. 29 października 1939 r. wywołano grupę więźniów (wszyscy oni byli mi znani), którzy po południu tego samego dnia zostali rozstrzelani przez egzekucyjny pluton złożony z volksdeutscheów. Egzekucja była publiczna, a jedyną winą skazanych było to, że byli oni Polakami.

Moi rodzice próbowali mnie uwolnić, lecz ich wysiłki nie zakończyły się sukcesem. Pewnego dnia jednak rodzice oraz siostra nawiązali kontakt z naszym wspólnym znajomym Brunonem Szymańskim. On zaś z kolei miał doświadczenie do swego znajomego, Niemca nazwiskiem Joseph Luckau, który właśnie w tym czasie odwiedzał swoich rodziców. Luckau urodził się w Grudziądzu i uczęszczał do polskiego gimnazjum, potem jednak przeniósł się do gimnazjum niemieckiego a następnie do Berlina, gdzie studiował dziennikarstwo. O ile wiem - na początku wojny pracował w ministerstwie propagandy kierowanym przez Gebbelsa. Znałem go tylko z widzenia, ponieważ był starszy ode mnie. Ten kontakt okazał się pożyteczny. W drugiej połowie listopada 1939 r. obudzono mnie w środku nocy, kazano się ubrać i zaprowadzono do góry na przesłuchanie. Wprowadzono mnie do małego pokoju, w którym dwóch ludzi siedziało przy biurku, natomiast trzeciego osobnika, stojącego obok biurka, rozpoznałem jako Luckaua. Jednego z siedzących znałem także - tak z widzenia jak i ze złej sławy. To był doktor weterynarii Gramse, srogi i zawzięty Niemiec. Drugi z siedzących nie był mi znany. Po ostrym wypytywaniu dr Gramse oświadczył, że mogę zostać zwolniony, ale pod warunkiem, że opuszczę Grudziądz i w ogóle tereny włączone do Rzeszy, a udam się do Generalnej Guberni. Była to - jak wiadomo - ta część okupowanych ziem polskich, która nie została przyłączona bezpośrednio do Niemiec, lecz była rządzona przez niemieckiego wielkorządcę Hansa Francka, który po wojnie został skazany na śmierć w słynnym Procesie Norymberskim za zbrodnie przeciw narodowi polskiemu - i powieszony. Dr Gramse zapytał mnie, ile czasu potrzebuję na załatwienie wszystkich moich spraw w Grudziądzu i przygotowanie się do wyjazdu. Odpowiedziałem, że trzy tygodnie, ale on mnie wyśmiał i powiedział, że jeden tydzień musi mi wystarczyć. Zgodziłem się grzecznie, podziękowałem i

opuściłem pokój. Za mną wyszedł Luckau i zaczął mówić po polsku, że polecenie udania się do Generalnej Guberni to tylko formalność i że mogę bezpiecznie pozostać w Grudziądzu. Podziękowałem mu i powiedziałem, że rozważę sprawę. Oczywiście już wtedy postanowiłem, że opuszczę tę ziemię dotkniętą terrorem tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.



w Zawieja

IV. GENERALNA GUBERNIA

Był początek grudnia 1939 roku. Mój kuzyn Stach Środziński, o którym tu już wspominałem, a którego przedsiębiorstwo (także tu już wymienione) zostało skonfiskowane i niemiecki "Treuhänder" ("powiernik") zgarniał płynące zeń dochody, również myślał o wyjeździe dobrowolnym, zanim będzie do tego zmuszony z Bóg wie z jakimi konsekwencjami. Zatem obaj spakowaliśmy się i wyruszyliśmy w drogę ku Warszawie. Nie mieliśmy pojęcia, czego tam możemy oczekiwać i co zamierzamy tam robić. Po przyjeździe zatrzymaliśmy się w hotelu trzeciej kategorii i spróbowaliśmy odnaleźć naszych przyjaciół. Stach jako człowiek interesu, posiadający pieniądze, zresztą starszy ode mnie, zabrał się zaraz za handel wszystkim, co było dostępne. Pamiętam, że kupował - na czarnym rynku - duże partie materiału na męskie ubrania i wkrótce nasz mały pokój zapełnił się pod sufit. Utrzymywał także stały kontakt z Grudziądzem i przez różne koneksje próbował odzyskać swoje przedsiębiorstwo. Ostatecznie udało mu się to i, gdy się sprawy ułożyły, niebawem wrócił do Grudziądza. Zostałem więc sam. Zima 1939 roku była bardzo sroga. Święta Bożego Narodzenia spędziłem samotnie. Musiałem się rozglądać za jakimś mieszkaniem, ponieważ nie byłem w stanie opłacić nawet tego taniego hotelowego pokoju. Często włóczyłem się bez celu po Warszawie, nie bardzo wiedząc co robić. Niekiedy udawało mi się pośredniczyć między tymi, którzy chcieli coś kupić, a tymi, którzy coś sprzedawali i za to otrzymywałem prowizję. Powodziło mi się bardzo źle, ale przecież nie tylko mnie, bowiem cała ludność Warszawy cierpiała straszną nędzę. Jadałem - jeśli mogłem sobie na to pozwolić - w prywatnych jadalniach, które wtedy pojawiły się licznie w całej Warszawie. Po prostu panie domu, nie mogąc związać końca z końcem, otwierały tego rodzaju "restauracje", by się utrzymać na powierzchni życia. Jedzenie było tam względnie tanie, a całkiem dobre.

We wczesnych miesiącach 1940 r. spotykałem od czasu do czasu mego kolegę, także podchorążego rezerwy, z którym razem byłem przed wojną w Szkole Oficerów Rezerwy. Został on wysiedlony z Gdyni, która leżała na terenach włączonych do Rzeszy i też znalazł się w Warszawie. Nazywał się Edward Kleina, a przed wojną prowadził należącą do jego rodziny drukarnię w Gdyni. Tak jak i ja szukał jakiegoś zajęcia. Zauważyliśmy, że w Warszawie nie ma zupełnie cytryn, więc Kleina oświadczył, że dzięki swym dawnym, rodzinnym koneksjom jest w stanie zdobyć kilkaset kilogramów tych owoców. Mój kolega miał zakaz pobytu w Gdyni, więc obawiał się tam jechać, gdyż łatwo byłby rozpoznany, zatem zaproponował mnie to zadanie, ofiarowując połowę zysku. Zgodziłem się. Otrzymałem przepustkę i pojechałem do Gdyni. Dzięki pomocy krewnych kolegi załadowałem cytryny na wagon towarowy i udałem się drogą powrotną do Warszawy. Po drodze pomogli mi - za dobrą zapłatą - kolejarze i bezpiecznie dojechałem do Warszawy. Zarobiliśmy bardzo dobrze na tej transakcji. Zauważyliśmy także wielkie zapotrzebowanie na śledzie, których

nie było w Warszawie. Zatem dzięki tym samym kontaktom w portowym mieście otrzymaliśmy dwie beczki śledzi, po które znowu pojechałem do Gdyni. Zatrzymałem się na noc w mieszkaniu siostry Edwarda. Około trzeciej w nocy zaczęto gwałtownie dobijać się do drzwi. Gdy gospodyni otworzyła, jakiś groźny głos oznajmił, że wszyscy są aresztowani i muszą być gotowi w ciągu pięciu minut do opuszczenia mieszkania. Ubrałem się w pośpiechu, wyrząłem przez okno i zobaczyłem, że cała ulica Świętojańska jest obstawiona SS-manami. Schwyciłem wszystko co moje i przedostałem się na dach budynku. Czekałem tam aż do odejścia Niemców. Kiedy wszystko się uspokoiło i wyglądało na to, że jest już bezpiecznie, zszedłem na dół, przewiozłem obie beczki na stację, załadowałem na pociąg i ruszyłem do Warszawy. W Żychlinie, który był wtedy punktem granicznym między Rzeszą a Generalnym Gubernatorstwem, niemiecki celnik zakwestionował mój śledziowy ładunek i zatrzymał go. Taki był koniec tej mojej eskapady. W tym czasie - a była to wiosna 1940 r. - Edward znalazł nowe pomieszczenie dla nas w mieszkaniu dziennikarza Mieczysława Krala przy ulicy Smulikowskiego 13. Mieliśmy do naszej dyspozycji dwa pokoje i możliwość korzystania z kuchni. Mieszkanie - i cały budynek - było, jak na owe czasy, bardzo nowoczesne. Nie musieliśmy więc szukać niczego lepszego. Dowiedzieliśmy się, że słodycze w Krakowie są dwa razy droższe niż w Warszawie. Zatem poszukaliśmy źródła zaopatrzenia i w walizkach woziliśmy je do Krakowa. Znalezienie kupujących było łatwe, ponieważ popyt był wielki. Zatem wędrowaliśmy przez jakiś czas z Warszawy do Krakowa i z powrotem, aż do pewnego dnia, kiedy źródło zaopatrzenia wyschło i sprawa została zakończona.

Mój przyjaciel Edward zakochał się tymczasem w dziewczynie z sąsiedztwa i zamieszkał z nią. Później stali się małżeństwem.

Było już lato. Brutalny terror niemieckich okupantów nie tylko nie słabł, ale przeciwnie - stale wzrastał. Niemal co dzień zdarzały się łapanki na ulicach Warszawy. Większość schwytych w ten sposób ludzi była wysyłana natychmiast do obozu Auschwitz w Oświęcimiu albo do innych obozów koncentracyjnych. Innych - podejrzanych o udział w ruchu oporu - aresztowano, przewożono na śledztwo do głównej warszawskiej kwatery Gestapo, a następnie zamykano w więzieniu na Pawiaku. Prawie co dzień odbywały się egzekucje - albo na ulicach Warszawy, albo w podmiejskich lasach. Żydzi zostali zamknięci w getcie, które otoczono murem i pilnie strzeżono.

Nawiązałem kontakt z polskim ruchem oporu i zostałem zaprzysiężony jako żołnierz Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Przysięgę moją odbierał zawodowy oficer Polskiego Wojska w randze kapitana, którego poznałem jako Wojciszewskiego. Wątpię, że było to jego prawdziwe nazwisko, bowiem w działalności podziemnej każdy nosił pseudonim. Mój był - Zawieja. Nie wyznaczono mi na początku żadnego zadania. Natomiast do kapitana "Wojciszewskiego" dotarłem dzięki memu przyjacielowi z Grudziądza, Janowi Cybulskiemu. Jan musiał uciekać z Grudziądza właśnie za działalność w podziemnym ruchu oporu, którą tam prowadził. Młody student, nazwiskiem Kaube, który był szefem tamtejszej podziemnej organizacji, został areszt-

wany, istniało więc podejrzenie, że nie wytrzymał w śledztwie i wydał znane sobie nazwiska, bowiem gestapo ścigało członków tej organizacji.

Pewnego słonecznego dnia, gdy stałem przy bramie domu, w którym mieszkałem, zauważyłem eleganckiego mężczyznę, który idąc wymachiwał laską i przypadkiem uderzył w parapet okna na parterze, a następnie wszedł do domu. Okno otworzyło się i odezwał się mężczyzna, który po niemiecku zaczął protestować przeciwko bębnieniu w parapet jego okna. Ponieważ zobaczył mnie stojącego przy wejściu do domu, więc posądził o ten wyskok. Odpowiedziałem mu - również po niemiecku - co zaszło i na tym sprawa się zakończyła. Zainteresowałem się jednak osobą Niemca z parteru naszego domu. Okazało się, że był to prawnik pochodzący z Wrocławia (wówczas Breslau), doktor praw nazwiskiem Eitner. Biuro jego mieściło się na parterze naszego domu od strony ulicy, natomiast mieszkanie od strony przeciwnej. Był żonaty i miał dwoje dzieci, ale rodzina nie przeniosła się z nim razem do Warszawy. Chodziły pogłoski, że jego małżeństwo się rozpadło. Był to mężczyzna około czterdziestki, wykształcony. Znał z przekładów polską literaturę, a teraz nawet uczył się polskiego języka. Mówiono też, że jest związany z niemieckim wywiadem wojskowym (Abwehra).

Po tej pierwszej, dość niezwykłej rozmowie spotkałem go któregoś dnia na korytarzu naszej kamienicy. Zatrzymał się i zapytał skąd tak dobrze znam język niemiecki. Odpowiedziałem, że uczyłem się tego języka w szkole, a następnie doskonaliłem w czasie moich przedwojennych pobytów w Gdańsku i w Prusach Wschodnich. Więc on znowu zapytał mnie, czy mam stałą pracę. Odpowiedziałem, że nie mam. O pracę nie było wówczas łatwo w Warszawie. Zapytał mnie z kolei, czy chciałbym pracować. Kiedy odpowiedziałem, że naturalnie chcę mieć stałe zatrudnienie, rzekł: Proszę przyjść jutro do mego biura. Powiedziałem, że oczywiście przyjdę i podziękowałem za zaproszenie. Następnego dnia spotkałem się z nim. Opowiedział mi, że niemieckie władze poprosiły go o administrowanie sześcioma budynkami mieszkalnymi, w tym naszym przy ulicy Smulikowskiego, które, jako własność żydowska, zostały skonfiskowane przez okupanta. Powiedział mi, że praca zawodowa nie pozwala mu obciążyć się tymi dodatkowymi obowiązkami. Jego wynagrodzenie stanowiło dziesięć procent zebranych czynszów. Za wyręczenie go w tych nowych obowiązkach ofiarowywał mi połowę, to jest pięć procent. Propozycja była korzystna, godna zaakceptowania. Dał mi trochę czasu na przemyślenie sprawy, ale prosił o szybką decyzję. Pięć procent czynszów za mieszkania we wszystkich sześciu domach stanowiło sporą sumę, która pozwoliłaby na zakończenie ciągłej walki o przeżycie, na pewną stabilizację mojej sytuacji ekonomicznej. Jednakże zanim przyjąłem tę propozycję, zapytałem o zgodę mego zwierzchnika w organizacji podziemnej. Nie miał żadnych zastrzeżeń, więc przyjąłem ofertę doktora Eitnera. To była łatwa i nie absorbująca praca. Miałem wiele wolnego czasu dla siebie. Zbierałem czynsze, przekazywałem pieniądze do banku, prowadziłem książki rachunkowe i wynajmowałem rzemieślników do prac remontowych, które trzeba było wykonać.

Pewnego dnia dr Eitner poprosił mnie do swego biura. Mieściło się ono teraz już gdzie indziej, bo w budynku firmy Prudential przy Placu Narutowicza. Jednak mieszkanie miał w dalszym ciągu przy ulicy Smulikowskiego, tyle że już na wyższym piętrze. Powiedział mi, że odpowiednie władze niemieckie poprosiły go aby rozważył propozycję przejęcia administracji wszystkich pożydowskich, skonfiskowanych budynków mieszkalnych w Warszawie, a było tego około dziesięciu tysięcy. Zapytał mnie, co ja o tym sądzę. Pomyślałem natychmiast, że tego rodzaju przedsięwzięcie mogłoby zapewnić pracę kilkuset Polakom, więc zasugerowałem mu, że powinien się zgodzić. On z kolei zaczął się zastanawiać, czy znajdzie odpowiednich pracowników, na co mu odpowiedziałem, że z tym nie będzie żadnych kłopotów. Poradziłem dać ogłoszenie odpowiedniej treści w warszawskich gazetach, na które zgłosi się na pewno więcej chętnych niż będzie mógł zatrudnić. Warszawa w tym czasie była bowiem zatłoczona Polakami wysiedlonymi z polskich prowincji zachodnich bezpośrednio wcielonych do Rzeszy niemieckiej. Zgodził się na wszystko, gdyż tego rodzaju przedsięwzięcie miało mu przynieść ogromne dochody. Wynajął zaraz polskiego, mówiącego po niemiecku prawnika, wysiedlonego z Poznania, nazwiskiem Komarek, a także kilka sekretarek i - przystąpił do pracy. Jak było do przewidzenia - nadeszła taka ilość podań o pracę, że nie było możliwe zadośćuczynić wszystkim. Ja sam nie brałem udziału w tym przedsięwzięciu, jednak gdy kilku przyjaciół mego szwagra prosiło mnie o załatwienie tej pracy, to oczywiście załatwiłem im.

Polskie podziemie było wciąż w stanie organizowania się i konsolidacji. Działo wiele różnych tajnych organizacji - nie zawsze we wzajemnej zgodzie. Z jednej strony komórki komunistyczne - z drugiej organizacje związane z polskim legalnym rządem na uchodźstwie w Londynie. Każda z tych organizacji publikowała w podziemiu własne wydawnictwa, więc Warszawa była zarzucona ulotkami i broszurami. Uznawałem to za nieodpowiedzialne i postanowiłem nigdy nie mieć tego rodzaju wydawnictw przy sobie, ani też nie przechowywać w swoim mieszkaniu (miałem już osobne mieszkanie - małą kawalerkę w tym samym budynku przy Smulikowskiego). Związek Walki Zbrojnej, do którego należałem, wyznaczył mi zadanie. Chodziło o zabieranie broni z ukrytych magazynów położonych na peryferiach Warszawy i przewożenie jej do równie tajnych schowków w centrum stolicy. Było to niebezpieczne zadanie, tym bardziej że przed transportem musiałem sam znaleźć odpowiednie miejsce na schowek dla broni. Tymczasem Bruno Szymański, który przyczynił się do uwolnienia mnie z obozu internowania w Grudziądzu, o czym pisałem wyżej, pojawił się w moim warszawskim mieszkaniu razem ze swoją narzeczoną Alicją. Pozostał on w Grudziądzu, ale wkrótce został aresztowany i zesłany do obozu pracy, który znajdował się w okolicy miasta. Dzięki pomocy Alicji udało mu się uciec. Pomogłem im zdomowić się w Warszawie.

V. DRUGIE ARESZTOWANIE

Zły los zbliżał się do mnie wielkimi krokami - "wpadka" miała nastąpić niebawem. Terror okupacyjny nasilał się - ludzi masowo aresztowano, osadzano w więzieniach, wysyłano do obozów koncentracyjnych. Łapanki i uliczne egzekucje były na porządku dziennym. Mimo wszystko starałem się jednak prowadzić normalne życie. Kontynuowałem moją pracę, brałem też udział w konspiracyjnych zbiórkach, czasami przyjmowałem w moim mieszkaniu przyjaciół. Byłem zadowolony i wydawało mi się, że jestem bezpieczny.

Był 31 października 1940 roku. Poprzedniego wieczoru - jako że był to koniec miesiąca - pracowałem do późna, by zbilansować książki rachunkowe. Poszedłem więc spać około północy. Nagle, w środku nocy, zostałem obudzony przez gwałtowne dobijanie się do moich drzwi wejściowych. Na wpół śpiący wstałem, podszedłem do drzwi i wyjrzałem przez wizjer. Zobaczyłem trzech mężczyzn, stojących u moich drzwi - jeden w mundurze gestapo i dwóch cywili. Wszyscy kopali w drzwi i wołali, by je otworzyć. Byłem przerażony. Otworzyłem i trzej mężczyźni, z pistoletami w dłoniach, wtargnęli do środka, odpychając mnie w głąb mieszkania. Jeden z nich wszedł do pokoju mieszkalnego, drugi do kuchni, trzeci do łazienki, przewracając i zrzucając wszystko. Szukali broni i wydawnictw konspiracyjnych, ale niczego nie znaleźli. Jeden z Niemców zapytał czy znam Stefana Przybylskiego. Gdy odpowiedziałem, że nie znam, uderzył mnie gwałtownym ruchem w twarz. Upadłem na podłogę a oni zaczęli mnie kopać krzycząc, że Przybylski odwiedził mnie poprzedniego dnia. Powiedziałem, że jedyną osobą, która odwiedziła mnie poprzedniego dnia, był kolega Jan Cybulski. - Czy wiesz gdzie on mieszka? - zapytali. Odpowiedziałem: Nie. I rzeczywiście nie wiedziałem wtedy, że Jan przyjął konspiracyjne nazwisko "Stefan Przybylski", bo nie powiedział mi o tym. Wreszcie przestali mnie bić, odbyli krótką naradę szeptem i kazali mi ubierać się. Następnie dwaj cywile, trzymając za rękawy marynarki, zaczęli mnie sprowadzać po schodach na dół, natomiast gestapowiec szedł z tyłu z podniesioną bronią, ostrzegając, że będzie strzelał w razie próby ucieczki. Przed domem stał samochód. Gdy otworzono drzwiczki pojazdu i kazano mi wejść do środka zauważyłem, że na tylnym siedzeniu samochodu znajduje się mój kolega z Grudziądza Zdzisław Zajączkowski. Gestapowiec spostrzegł wyraz zdziwienia na mojej twarzy i powiedział: Więc wy się znacie! - Potwierdziłem. Zawieźli nas na Pawiak i oddali w ręce władz więziennych. Zostaliśmy włączeni do rejestru i spisano nasze dane personalne. Następnie zostałem zaprowadzony przez więziennego strażnika do piwnic i umieszczony w osobnej celi. Zajączkowskiego zobaczyłem dopiero po pięciu miesiącach w obozie koncentracyjnym Auschwitz w Oświęcimiu.

VI. WIĘZIENIE NA PAWIAKU

Skrajnie wyczerpany - upadłem. Cella, w której zostałem umieszczony, nie miała okien ani żadnych sprzętów, z wyjątkiem wiadra służącego jako toaleta. Po ścianach ściekała woda, podłoga brudna - to była prawdziwa ciemnica. Zacząłem się zastanawiać, jak do tego doszło, gdzie tkwił błąd, jaka była przyczyna mego aresztowania. Czyżby ktoś mnie zdradził? Nie potrafiłem dać sobie odpowiedzi na te pytania i do dnia dzisiejszego nie wiem jaka była bezpośrednia przyczyna mojego aresztowania. Na szczęście nie trzymano mnie zbyt długo w tej piwnicy. Poddano dezynfekcji, poprowadzono pod prysznic, zaprowadzono na drugie piętro i umieszczono w celi wraz z dziewięcioma innymi więźniami. Cella miała niewiele więcej jak 3 m długości i 2 szerokości, było jednak małe, okratowane okienko. Całe wyposażenie składało się z jednej gołej żarówki o bardzo małej liczbie świec, sienników napełnionych słomą, jednego stołka i wiadra służącego jako toaleta. Dziewięciu więźniów było już w celi i - jak to zwykle z więźniami bywa - byli bardzo podejrzliwi wobec mnie jako "nowego". Zatem na początku nikt ze mną nie rozmawiał. Musieli najpierw sprawdzić mnie a mieli służące temu zadaniu swoje sposoby. Gdy jednak upewniono się, że nie jestem podstawiony przez Gestapo, wszyscy zaczęli wypytywać mnie o nowiny z zewnętrznego świata, z którego przybywałem. Wszyscy byli więźniami politycznymi. Byli więc spragnieni wieści o tym, co się działo poza murami więzienia, bowiem niektórzy z nich siedzieli tu zamknięci już od wielu miesięcy. Dni płynęły bardzo wolno. Jedzenie było bardzo małe. Każdy z nas tęsknił do bliskich, których zostawił i o których losie niewiele wiedział.

Pewnego dnia, wczesnym rankiem, zostałem wywołany z celi, załadowany - wraz z innymi więźniami - na ciężarówkę i zawieziony do warszawskiej komendy Gestapo, która mieściła się przy Alei Szucha. Budynek, w którym mieścił się warszawski oddział niemieckiej tajnej policji politycznej, był przed wojną siedzibą Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, a po wojnie wrócił do swojej właściwej roli, stanowiąc siedzibę Ministerstwa Edukacji Narodowej. Jedno ze skrzydeł tego budynku zostało przekształcone przez Niemców w więzienie, w którym znajdowały się liczne izolatki oraz cztery cele wspólne, gdzie umieszczano więźniów przywiezionych z Pawiaka na przesłuchania. Więźniowie nazywali te cele "tramwajami", ponieważ były to wąskie pomieszczenia z pojedynczymi siedzeniami po obu stronach, tyle że były one zwrócone ku pustym ścianom. Jeśli wsiadłeś do tego "tramwaju", nie mogłeś ani rozmawiać, ani spać, ani obrócić się, a tylko cierpliwie czekać aż cię wezwą na przerażające przesłuchanie. Jeść nie dawano nam wcale.

Po południu moje nazwisko zostało wywołane i strażnik zaprowadził mnie na piętro do pokoju, gdzie znajdował się oficer Gestapo, a także tłumacz i sekretarka-maszynistka. Gestapowiec odprawił szybko tłumacza mówiąc, że nie jest mu potrzebny, ponieważ wie, że mówię po

niemiecku. Kazał mi usiąść naprzeciwko siebie przy biurku i przesłuchanie się rozpoczęło. Przesłuchujący był tym samym oficerem, który mnie bił po twarzy i kopał w trakcie aresztowania w moim mieszkaniu. Wyglądał na groźnego, twardego człowieka. Prawdziwy gestapowiec, mimo że tym razem był ubrany po cywilnemu. Na początku przesłuchania powtórnie zapytał, czy znam Cybulskiego i Zajączkowskiego. Potwierdziłem. Natomiast zaprzeczyłem, co oczywiste, że należę do podziemnej organizacji. Maszynistka zapisywała moje odpowiedzi. W przeciwieństwie do oczekiwań przesłuchanie przebiegało spokojnie, chociaż gestapowiec ostentacyjnie okazywał swoją pogardę w stosunku do mnie. Na zakończenie przesłuchania podano mi tekst moich zeznań do przeczytania i podpisania. Odprowadzono do "tramwaju", a później przewieziono do mojej celi na Pawiaku. Oczywiście towarzysze niedoli chcieli wiedzieć wszystko, co wydarzyło się na przesłuchaniu.

Pewnego dnia strażnik przyprowadził do naszej celi nowego więźnia nazwiskiem Ryszard Mączyński. Ostrzeżono nas za pomocą więziennego systemu łączności, że jest to volksdeutsch i konfident gestapo. Musieliśmy więc być bardzo ostrożni w jego obecności. Innym razem strażnik - Polak Aleksander Biesiadecki wywołał mnie z celi do swego małego pomieszczenia służbowego na piętrze. Dowiedział się skądś, że znam język niemiecki i poprosił mnie o napisanie podania do niemieckiego zarządu budynków mieszkalnych. Otrzymał bowiem podwyżkę czynszu za mieszkanie w budynku skonfiskowanym żydowskiemu właścicielowi, gdzie mieszkał. Prosił nie tylko o niepodwyższanie czynszu, ale o - w miarę możliwości - obniżenie dotąd płaconego, ponieważ trudno mu było go płacić z wynagrodzenia, które otrzymywał. Napisałem podanie i - zaadresowałem je do dra Eitnera. Po paru tygodniach otrzymałem pozytywną odpowiedź. Był z tego bardzo zadowolony i zapytał mnie, co mógłby zrobić dla mnie w zamian. Odpowiedziałem: Proszę mnie wydestać z tej przepelnionej celi! Obiecał zrobić, co będzie mógł.

I rzeczywiście tak uczynił. Zostałem przeniesiony do celi znajdującej się w innej części więzienia, w której przebywałem tylko z dwoma innymi więźniami. Ta cela nie była zamykana, więc mogłem swobodnie poruszać się po więziennych korytarzach. Często służyłem jako tłumacz niemieckim strażnikom. Nie musiałem też już dłużej spać na podłodze, bo miałem do swej dyspozycji łóżko, prawda, że wąskie. Jednym z moich współmieszkańców był student wychowania fizycznego, który na więziennym podwórzu prowadził codzienne ćwiczenia fizyczne z aresztowanymi. Drugi - pracował w więziennej kuchni i niemal każdego wieczoru przynosił dzbanek słodkiej, jakże słodkiej kawy, a czasami także i coś do jedzenia. Nie wolno nam było otrzymywać paczek, ale jednak często były one przemycane do więzienia przez polskich strażników. Ja otrzymałem dwie od mojej dziewczyny.

Pewnej nocy zostałem zbudzony przez niemieckich strażników i kazano mi służyć jako tłumacz dla morderców z Gestapo. Było to 11 marca 1941 r. Gestapowcy przyszli z listą, na której były nazwiska dwudziestu więźniów. Przechodzili z jednej celi do drugiej a ja musiałem

wywoływać więźniów i nakazywać im wyjście na korytarz z pozostawieniem wszystkich swoich rzeczy w celi. Oni wiedzieli, co to znaczy. Wszyscy zachowywali się z wielką godnością z wyjątkiem jednego kryminalisty, mordercy, który upadł do nóg gestapowca, całował jego buty i błagał, by go oszczędzić. Oczywiście - na nic to się zdało. Był to odwet za zabicie Igo Szyma, aktora, który stał się volksdeutschem i współpracował z Gestapo oraz z organami niemieckiej propagandy nazistowskiej.

Dnia 5 kwietnia 1941 r. po południu, niemal wszyscy więźniowie zostali wywołani ze swoich cel i ustawieni w rzędy na więziennym podwórzu. Gestapowiec w mundurze czytał z listy nazwiska więźniów i każdy, czyje nazwisko zostało wywołane, musiał pójść na wyznaczoną część podwórza i tam czekać. Wywołano parę tysięcy osób. Chodziła między nami pogłoska, że Niemcy przygotowują transport do obozu koncentracyjnego. Do którego z licznych hitlerowskich obozów śmierci - nikt nie wiedział, ale niektórzy zgadywali, że chodzi o obóz Auschwitz w Oświęcimiu. Auschwitz - to było dla każdego więźnia straszne słowo. Zła sława tego miejsca już była powszechnie znana. Byłem wśród wywołanych i przeznaczonych na wywózkę. Dano nam trochę chleba, a kiedy ściemniło się, załadowano nas, krzycząc i bijąc, na ciężarówki oraz miejskie autobusy i zawieziono na stację kolejową Warszawa Zachodnia. Nastąpiło wyładowywanie z samochodów i kolejne załadowywanie do bydłocych wagonów, co przeprowadzali, ze skrajną brutalnością, SS-mani. W wagonie stłoczono co najmniej osiemdziesięciu więźniów, więc brakowało nawet miejsca by móc się obrócić. Metalowy pojemnik służył jako toaleta. Drzwi wagonów zostały zamknięte. Strażnicy z SS zajęli swoje miejsca i pociąg około północy ruszył. Ścisł w wagonie był taki, że nie było mowy, by usiąść na podłodze. Rozmawiać mogliśmy tylko szeptem, bowiem gdy strażnik usłyszał jakikolwiek hałas wydobywający się z wagonu, strzelał do środka, na ślepo, bez żadnego ostrzeżenia. W ten sposób zginęło kilku z nas. Był już późny ranek następnego dnia, kiedy pociąg stanął. Usłyszeliśmy głośne wołanie i szczekanie psów rozlegające się na zewnątrz, ale wciąż byliśmy zamknięci i nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. Wreszcie drzwi wagonu zostały otwarte i z okrzykami "polskie świnię" oraz biciem i przekleństwami wyprowadzono nas z wagonów, ustawiono piątkami w grupy i kazano pomaszerować przed siebie.

VII. OBÓZ KONCENTRACYJNY AUSCHWITZ W OŚWIĘCIMIU

Otoczeni przez strażników z SS maszerowaliśmy przez kilkanaście minut, by wreszcie stanąć pod bramą, na szczycie której widniał napis: "Arbeit macht frei" ("praca uczyni cię wolnym"), a z boku - znak tego miejsca: "KL Auschwitz" (KL = "Konzentrationslager" = obóz koncentracyjny. Auschwitz - to oczywiście niemiecka nazwa Oświęcimia). Wiedzieliśmy już gdzie jesteśmy: w obozie śmierci Auschwitz w Oświęcimiu! Byliśmy przerażeni. Gdy tylko przeszliśmy przez bramę zajęły się nami podejrzanie wyglądające indywidua w granatowych czapkach i kurtkach oraz spodniach w niebiesko-białe pasy. Jeden z nich był potężnym mężczyzną o śniadej cerze, czarnych oczach i zuchwałym wyglądzie. Nosił wysokie buty. Na lewym rękawie jego kurtki znajdowała się żółta naszywka z czarnym napisem: "Lagerältester nr 1" ("starszy obozowy nr 1"). Natomiast po lewej stronie jego kurtki i na prawej nogawce jego spodni znajdowały się zielone trójkąty z "jedyńką" wydrukowaną na kawałku białego materiału. Później dowiedziałem się, że był to Bruno Brodniewitsch, niemiecki kryminalista. Okazał się strasznym brutalem. Inny, stojący w grupie otaczających nas niemieckich kryminalistów - Leo Wietschorek - był jeszcze potężniej zbudowany i jeszcze groźniej wyglądał. Miał numer "30" i był "starszym obozowym nr 2". Wszyscy oni - niemieccy kryminaliści - należeli do pierwszych więźniów obozu, i stanowili warstwę uprzywilejowaną - byli albo "starszymi obozowymi", albo tak zwanymi "kapo" - to jest dozorcami innych więźniów.

Pomaszerowaliśmy do budynku, gdzie przyjmowano nowouwięzionych. Tam musieliśmy rozebrać się do naga i ułożyć przed sobą nasze rzeczy na gromadkach. Następnie zaprowadzono nas do fryzjerów. Byli to w większości polscy więźniowie polityczni. Golenie dotyczyło wszystkich włosów, rozmieszczonych na całym ciele. Niektórzy z fryzjerów - starzy więźniowie, zaprawieni już do obozowego życia, widząc strach na naszych twarzach, pozwalali sobie na żarty i kpiny. Po tym całkowitym ogoleniu musieliśmy zanurzyć się w roztworze dezynfekcyjnym, który znajdował się w olbrzymiej kadzi, a następnie poszliśmy pod prysznic. Po umyciu otrzymaliśmy odzież obozową, która składała się z bielizny bawełnianej w wąskie pasy biało-niebieskie oraz bluzy, spodni i czapki, także w biało-niebieskie pasy o szerokości ok. 2.5 cm. Otrzymaliśmy także dwa trójkąty z czerwonego materiału z wydrukowanym numerem. Mój numer był 13390. Później wytatuowano tenże numer na moim lewym przedramieniu. W ten sposób dla władz obozowych przestałem być człowiekiem a stałem się numerem. Nasze cywilne ubrania zostały zapakowane do papierowych worków i złożone w magazynie. Następnie zostaliśmy przypisani do różnych bloków. Ja - wraz z grupą innych więźniów - zostałem skierowany do bloku nr 7. Starszy bloku czekał na nas, wprowadził do środka i przydzielił do jednej z czterech izb tam się znajdujących.

Blokowy miał postać wynędzniałą, a czerwony trójkąt, który nosił, wskazywał, że i on jest więźniem politycznym. Mieliśmy się jednak wkrótce przekonać, że był gorszy od wielu kryminalistów. Był to niemiecki komunista. Nosił imię Alojzy, ale był bardziej znany pod przydomkiem "krwawy Alojz", ponieważ obchodził się ze współwięźniami ze skrajną brutalnością.

Izba, do której mnie przydzielono, miała "izbowego" Polaka. Nie pamiętam dziś jego nazwiska, ale pamiętam, że był dobrze wytrenowany przez "krwawego Alojza", więc czasem bił nas bez żadnego powodu, tylko dlatego, by przypodobać się blokowemu. Do obozu Auschwitz w Oświęcimiu dostał się z łapanki na ulicach Warszawy, a z zawodu był rzeźnikiem. Po zakwaterowaniu otrzymaliśmy igły i nici, by przyszyć czerwone trójkąty z numerami do kurtek i spodni. Następnie zaprowadzono nas do fotografa, gdzie każdemu zrobiono po trzy zdjęcia: en face, z profilu i w czapce na głowie.

Gdy wróciliśmy do bloku, reżym obozowy zaczął obowiązywać w całej pełni. Pouczono nas jak stawać na baczność przed starszymi, przed kim zdejmować czapkę i kiedy ją wkładać, jak się zwracać do oficerów SS, a jak do starszych obozu czy bloku. By zwrócić się do kogoś z nich należało stanąć na baczność, grzecznie zdjąć czapkę z głowy i wyrecytować po niemiecku: więzień numer taki a taki - zgłasza się posłusznie po rozkaz, czy coś w tym rodzaju. Nie było to trudne dla tych, którzy znali język niemiecki, lecz dla tych, którzy tego języka nie znali stanowiło prawdziwą torturę. Byli oni bezlitośnie bici, gdy popełniali błędy, albo też - gdy całkiem zapomnieli właściwej formułki.

Następnego ranka wszyscy nowoprzybyli zostali wyprowadzeni do pracy. Obok naszego bloku leżała olbrzymia gromada ziemi, która miała być przeniesiona. Łopatami wrzucaliśmy ją do wózków, które inni spośród nas ciągnęli w przeznaczonym kierunku i tam wyrzucali. Przez cały czas pilnował nas starszy bloku. Była to ciężka robota. Starłem się być wydajny w tej pracy i - na ile mogłem - wkładałem w nią wszystkie siły. Nagle zauważyłem, że blokowy idzie w moim kierunku. Byłem przekonany, że robię coś nie tak, jak trzeba i on zamierza mnie pobić, albo uczynić jeszcze coś gorszego. Ku memu zdziwieniu powiedział, że jeśli będę w dalszym ciągu pracował tak jak dotąd, to wkrótce zamęcę sam siebie. Wziął moją łopatę i pokazał mi jak ja powinienem robić. Podziękowałem mu bardzo uprzejmie, nie bardzo wówczas jeszcze rozumiejąc o co chodzi, ale jednak trochę zwolniłem tempo mojej pracy.

Tego samego dnia po południu nowoprzybyli więźniowie ze wszystkich bloków (a było nas ponad tysiąc), zostali spędzeni na placu przed obozową kuchnią. Przyszedł Lagerführer, tj. szef obozu SS Hauptsturmführer (kapitan) Karl Fritzsch, otoczony swymi pomocnikami i przemówił do nas przez tłumacza. Powiedział między innymi, że będziemy tutaj przebywali do końca swego życia i że jedyna droga wyjścia z tego obozu wiedzie przez komin krematorium. Po takim dictum wpadliśmy wszyscy w głęboką depresję, ponieważ zrozumieliśmy, że sytuacja nasza jest krańcowo beznadziejna. Nazajutrz rano zostaliśmy skierowani do innego zespołu ("Komanda") roboczego.

Oczywiście nowoprzybyli otrzymali pracę najtrudniejszą i wymagającą największego wysiłku. Zostałem skierowany do grupy zajmującej się przygotowaniem drewna na opał. Najpierw piłowaliśmy kłody na odpowiedniej długości kawałki, a następnie rąbaliśmy na opałowe drewna. Pracowaliśmy pod gołym niebem - i w słońcu i w deszczu. Mój kolejny przydział - to była praca przy wykopach pod fundamenty nowobudowanego bloku. Musieliśmy we dwóch pchać wózek pełen błota przez ponad sto metrów a następnie - wysypywać je. Po drodze musieliśmy znosić bicie i przekleństwa, czym obdarzali nas nadzorcy. Była to wyczerpująca praca i nie wiem jak długo wytrzymałbym przy niej, gdybym ją musiał dalej wykonywać. Ale o tym później.

Natomiast teraz - jak mi się wydaje - jest właściwe miejsce, by opisać działanie samego obozu. Obóz był kierowany i nadzorowany przez SS, która swoją główną kwaterę miała oczywiście w Berlinie. Najważniejszą władzą w obozie Auschwitz, w czasie kiedy tam mnie przywieziono, był Lagerkommendant (komendant obozu) Rudolf Hess, który miał stopień SS-Sturmbannführera, co w formacji SS odpowiada wojskowemu stopniowi majora. Później został awansowany na SS-Obersturmbannführera (podpułkownika). Po zakończeniu wojny ukrywał się przez jakiś czas pod fałszywym nazwiskiem - jako Franz Lang - ale został aresztowany przez Brytyjczyków w roku 1946 i wydany polskim władzom. Był sądzony, został skazany na śmierć i powieszony - właśnie na terenie obozu Auschwitz, gdzie wcześniej bardzo wielu ludzi skazał na powieszenie. Miałem wątpliwą przyjemność spotkać Hessa pewnego dnia w ogrodzie. Kapo zawiadujący stolarnią polecił mi dostarczyć rzeźbiony, drewniany talerz do domu komendanta. Najprostsza i najkrótsza droga wiodła przez ogród. Szedłem więc przez ogród do domu komendanta i spotkałem jego samego. Zatrzymał mnie i zapytał, co ja tu robię. Odpowiedziałem, że kapo kazał mi zanieść ten oto rzeźbiony talerz do jego domu. Skinął głową i pozwolił mi iść dalej. Oddałem talerz jego żonie, która dała mi za to paczkę papierosów. Otrzymał je ode mnie kapo.

Obóz Auschwitz składał się właściwie z dwóch obozów i - trzeciego dodatkowego: 1) KL Auschwitz I - w Oświęcimiu (obóz główny), 2) KL Auschwitz II w Brzezince (Birkenau), 3) KL Auschwitz III w Manowicach. KL = Konzentrationslager (obóz koncentracyjny) Auschwitz I w Oświęcimiu został uruchomiony najwcześniej. Oświęcim jest położony w południowo-zachodnim regionie przedwojennej Polski, który to obszar niemieccy okupanci włączyli do Rzeszy. Początkowo obóz został założony w barakach pozostałych po kwaterze jednostki artylerii konnej przedwojennej Armii Polskiej. Jednak bardzo szybko rozszerzył stan swego posiadania, a mieszkańców okolicznych wiosek wysiedlano. Obejmował więc olbrzymie terytorium. Był też niemal samowystarczalny pod względem gospodarczym. Należały doń gospodarstwa rolne, gdzie uprawiano wszystkie rodzaje zbóż i jarzyn. Były tam także hodowle bydła i świń oraz zarybione stawy. Obóz miał też własne rzeźnię, masarnię, mleczarnię i piekarnię. Były też różnego rodzaju warsztaty, wytwórnie i punkty usługowe - wszystkie obsługiwane przez więźniów. Było jednak tam przede wszystkim niewyobrażalnie wiele ludzkiego cierpienia i nieszczęścia! Obóz Auschwitz

posiadał bowiem pięć komór gazowych z krematoriami (jedna w Oświęcimiu, cztery w Brzezince), gdzie ludzie, przede wszystkim Żydzi, byli zabijani - co dzień, tysiącami. Auschwitz - ta prawdziwa fabryka śmierci - stanowił powód do dumy dla Himmlera, który powiedział, że zamierza przemianować go na Himmlerstadt - zapewne jako pomnik własnego i Niemców w ogóle okrucieństwa!

Obóz Auschwitz zaczął działać w maju 1940 r., a pierwszych trzydziestu więźniów - niemieckich kryminalistów, którzy mieli później pełnić różne zadania nadzorcze, przewieziono tu z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. Kierował nim wówczas - jako miejscowy szef - SS-Hauptscharführer (starszy sierżant) Gerhard Palitzsch. Pierwszych polskich więźniów przywieziono do obozu Auschwitz z więzienia w Tarnowie 14 czerwca 1940 r. Byli to przede wszystkim młodzi ludzie, studenci, którzy po upadku Polski starali się przedostać do Słowacji, a następnie na Węgry i dalej, by dołączyć do Wojska Polskiego, które odradzało się na terytorium Francji, a po klęsce tej ostatniej - na Wyspach Brytyjskich. Pierwszym zarejestrowanym więźniem Polakiem był Stanisław Ryniak. Otrzymał on numer 31.

W Auschwitz wyróżniano sześć głównych kategorii więźniów, których oznaczano za pomocą specjalnych, różnokolorowych naszywek z numerami. I tak: 1) trójkąt czerwony - więźniowie polityczni, 2) trójkąt czerwony ale z żółtą "Gwiazdą Dawida" u góry - Żydzi, 3) trójkąt zielony - kryminaliści, 4) trójkąt czarny - tzw. element antyspołeczny (np. prostytutki), 5) trójkąt różowy - homoseksualiści, 6) trójkąt fioletowy - członkowie organizacji chrześcijańskich, pacyfiści. W czasie kiedy mnie przywieziono do obozu Auschwitz w Oświęcimiu większość stanowili więźniowie polityczni - Polacy. Później proporcja się zmieniła "na korzyść" Żydów - szczególnie jeśli chodzi o podobóz Birkenau w Brzezince.

Istniał w obozie specjalny system zarządzania i kierowania, do którego zostali wciągnięci sami więźniowie pod ścisłym nadzorem SS-manów. Obowiązywał skrajny rygor. Za najdrobniejsze uchybienie wobec obowiązujących w obozie nieludzkich przepisów kierowano więźniów do karnej kompanii, skąd rzadko kto wracał żywy. Był także w obozie Blok Śmierci oraz Ściana Śmierci, gdzie więźniowie byli torturowani w sposób szczególnie okrutny, przewrotny i sadystyczny, a następnie zabijani, albo głodzeni na śmierć. Wszyscy żyliśmy pod stałym terrorem, w ciągłym strachu i nikt nie był pewny, czy dożyje następnego dnia. Takie było życie w Konzentrationslager Auschwitz!

Racje żywnościowe były bardzo skąpe i każdy z nas chodził głodny co dnia - dzień po dniu, bez końca. Popularną, masochistyczną przyjemnością uprawianą w obozie była rozmowa o jedzeniu. Potrafiliśmy o tym mówić godzinami, gdy tylko mieliśmy trochę wolnego czasu. Nasze racje żywnościowe były następujące: 1) śniadanie - pół litra cieczy udającej kawę czy herbatę i cienka zupa zwana Avo, przyrządzana z mąki uzyskanej przez mielenie kości, 2) obiad - litr cienkiej zupki z kiszzonej kapusty, bydlęcych buraków czy innych tego rodzaju warzyw. Rzadko kto znajdował

kartofla w tej zupie, a o mięsie - ani marzyć, mogło występować tylko we wspomnieniach, 3) kolacja - jedna trzecia bochenka czarnego chleba, cienki kawałek najgorszego gatunku kiełbasy, mała kosteczka margaryny i łyżeczka czegoś, co udawało marmoladę. Pozwolono nam raz na miesiąc pisywać listy do rodziny. Listy te były dokładnie cenzurowane, czasem - o czym dowiedziałem się później - tylko fragmenty docierały do adresatów. Wolno nam było także otrzymywać pieniądze z domu na zakup żywności w obozowych kantynach. Jednak tam żadnej żywności nie było, a poza tym pieniądze nie docierały do nas. Były zabierane przez SS-manów. Niedziele, kiedy byliśmy wolni od pracy, spędzaliśmy myjąc się, goląc nasze głowy oraz walcząc z pchłami i wszami.

Co dzień - z wyjątkiem niedziel - odbywały się trzy apele obozowe. Pierwszy - wczesnym rankiem, przed wymarszem do pracy. Drugi - w południe, kiedy to nas, wracających z pracy, liczone. Trzeci apel odbywał się wieczorem, po pracy i mógł trwać godzinę, albo i wiele godzin. Jeden, w którym uczestniczyłem, trwał przez całą noc aż do południa dnia następnego. Przez prawie cały ten czas musieliśmy stać na baczność i nie dostaliśmy niczego ani do jedzenia, ani do picia. Powodem takich długich apeli był na ogół fakt zniknięcia jakiegoś więźnia. Czasem był to tylko błąd popełniony przy liczeniu. Każdy więzień - żywy czy umarły - musiał zostać policzony! Staliśmy w rzędach - po dziesięciu - a zmarli leżeli na ziemi, na końcu kolumny. Później Niemcy zaniechali apelu w południe, ponieważ doszli do wniosku, że zabiera on wiele czasu przeznaczonego na pracę.

Teren zamknięty obozu, dokąd przychodziliśmy na noc, nie był zbyt obszerny. Stało tam 28 trzypiętrowych bloków, ustawionych w trzy rzędy. Każdy z nich o pojemności ponad tysiąca więźniów. Więc razem około 30 000 więźniów. Auschwitz II - Birkenau miał pojemność większą - około 200 000 więźniów. Obóz nasz był otoczony dwoma rzędami wysokiego płotu z kolczastego drutu znajdującego się pod wysokim napięciem elektrycznym, jednym niskim płotem ostrzegawczym i wysokim murem betonowym od strony drogi głównej. Były także wieże strażnicze, na których stali SS-mani z pistoletami maszynowymi. Wychodziliśmy co dzień rano przez główną bramę do różnych miejsc naszej pracy. Maszerujące oddziały musiały śpiewać. W czasie wymarszów łańcuch SS-mańskiej straży był gęściejszy, by uniemożliwić nam ucieczkę. Proporcja między strażnikami a więźniami pracującymi poza łańcuchem straży była następująca: jeden lub dwóch więźniów - jeden SS-man, trzech, czterech więźniów - dwóch strażników z SS itd. Oprócz pilnujących strażników były jeszcze wędrujące patrole SS, które sprawdzały nie tylko pilnowanych ale i pilnujących. Sprawdzano przepustki strażników, które co dzień były innego koloru, a także czy wypisane na nich nazwiska strażników zgadzają się z ich tabliczkami identyfikacyjnymi oraz - czy wpisane tamże numery więźniów odpowiadają numerom na kolorowych trójkątach przyszytych do więziennej odzieży.

Jak już wspomniałem, obóz rozszerzał się, pustosząc okolice w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. W obozach Auschwitz I i Auschwitz II znajdowało się łącznie ponad 200.000 ludzi. Ta liczba mogła się oczywiście bardzo szybko zmniejszyć, jeśli taki był rozkaz władz SS. Gdy przyszedł rozkaz uczynienia miejsca dla nowoprzybyłych, wówczas skrajnie zabiedzonych i słabych więźniów, którzy już utracili siły życiowe - w gwarze obozowej zwanych "muzułmanami" - prowadzono do komór gazowych, zabijano i palono.

Obóz koncentracyjny Auschwitz II Birkenau w Brzezince to był obóz dla kobiet - bardzo obszerny. Większość więźniarek stanowiły Żydówki. Warunki życia tam były jeszcze bardziej przerażające. Pewnego razu miałem możliwość wejść do tego obozu. Zobaczyłem nieludzkie warunki, w jakich przebywały te nieszczęsne kobiety. Niestety nie mogłem niczego dla nich zrobić, oprócz paru słów, które udało mi się zamienić i trochę jedzenia, które zdołałem im przekazać. Niektóre z nich znosiły te warunki przez długi czas.

W obozie Birkenau była też wydzielona część dla rodzin cygańskich, które zostały tu ściągnięte z terytoriów różnych krajów okupowanych przez Niemcy. Początkowo rodziny cygańskie miały tam warunki względnie dobre i traktowano je łagodnie. Dzieci bawiły się poza ogrodzeniami obozu i nawet SS-mani opiekowali się nimi. Niespodziewanie, pewnego dnia, wszyscy Cyganie wraz z dziećmi zostali poprowadzeni do komór gazowych i zgładzeni. Wstrząs wywołany tą tragedią przeszedł przez cały obóz. Było to tym boleśniejsze dla tych, którzy zdążyli poznać osobiście niektórych z nich.

Perfidia Niemców nie znała granic. Po ataku na Związek Radziecki 22 czerwca 1941 r. i odniesionych tam sukcesach, wielu sowieckich jeńców wojennych przywieziono do obozu Auschwitz. Udając, że działają w zgodzie z konwencją genewską, Niemcy odgradzili pewną część wewnątrz obozu (dziewięć bloków) i postawili bramę z napisem: "Kriegsgefangenlager" ("obóz jeńców wojennych"). Oczywiście okrutne prawa obozu koncentracyjnego Auschwitz działały w całej pełni i na tym wydzielonym obszarze. Przywieziono bowiem około jedenastu tysięcy jeńców, a w niespełna pół roku później został przy życiu zaledwie tysiąc. Umierali z powodu nadmiernej ciężkiej pracy, głodu, bicia i tyfusu. Ich ciała - w pasiastych odzieniach - układano na dworzu w dwumetrowe pryzmy. Małe krematorium Auschwitz I pracowało bez przerwy, ale nie mogło nadążyć.

Muszę jednak wrócić do przedstawiania moich własnych losów. Jak już wspomniałem, prawdopodobnie nie wytrzymałbym długo tej niezwykle wyczerpującej pracy przy robotach ziemnych. Ale szczęście mi sprzyjało. Otóż pewnego dnia, a było to po pracy, czy też w niedzielę, spotkałem kolegę - studenta pochodzącego z Grudziądza, którego przywieziono do obozu Auschwitz w Oświęcimiu pierwszym transportem z Tarnowa. Został przez Niemców schwytyany podczas próby przekroczenia granicy słowackiej, w intencji przedostania się na Węgry. Nazywał się Tolek Dondelewski. Jako ten, który przeżył spośród starych więźniów, miał rozległe znajomości

w różnych środowiskach obozowych. Pracował jako stajenny przy koniach oficerów SS i dlatego nie brakowało mu pożywienia, bo przecież niemieckie konie były o wiele lepiej karmione niż my więźniowie. Otrzymywały cukier, kartofle, marchew, jabłka, no i oczywiście owies oraz inne zboża. Wszystkie te produkty stajenni dzielili między konie i siebie samych. Nawet cukier, mimo że był specjalnie preparowany, by uniemożliwić spożycie przez ludzi, potrafili tak jakoś przyrządzić, że z powrotem stawał się przydatny do jedzenia.

Tolek, widząc mój marny stan fizyczny, poznał mnie ze swoim znajomym więźniem o nazwisku Chodurowski, który był majstrem w obozowej stolarni. Powiedział mi on w jakim miejscu jego współpracownicy - obozowe "komando" stolarzy - zbiera się po rannym apelu. Tam przedstawił mnie nadzorcy ("Oberkapo") Arturowi Balke, jako nowego stolarza. Był to więzień "nr 3", niemiecki kryminalista, ale człowiek nie pozbawiony ludzkich uczuć. Zapytał mnie, czy ja rzeczywiście jestem stolarzem. Nie mogłem całkiem bezczelnie skłamać, więc opowiedziałem mu historyjkę o tym, że mój ojciec miał pracownię stolarską, że przyglądałem się stale prowadzonej tam pracy, więc jestem dobrze zaznajomiony i z samą pracą, i z narzędziami, i z gatunkami drewna. Balke przyjął mnie i zostałem skierowany - wraz z trzema innymi więźniami, z których przynajmniej jeden był prawdziwym stolarzem - do pracy nad wykonywaniem drewnianej ławki. Byłem szczęśliwym człowiekiem, na ile więzień obozu Auschwitz mógł być szczęśliwy! - Oto wreszcie pracowałem pod dachem, nie wystawiony na działanie niesprzyjających warunków atmosferycznych. Oczywiście majster stolarni, który kierował pracą przy tej ławce, poznał od razu, że ja nie znam się zupełnie na stolarce. Jeśli dobrze pamiętam, nazywał się Zawistowski i pochodził z Warszawy. Był to wspaniały człowiek - postanowił mi pomóc w opanowaniu podstaw zawodu. Wiele też pomogła mi moja znajomość języka niemieckiego. Mogłem bez pomocy tłumacza kontaktować się z naszym nadzorcą, a wkrótce i on sam zaczął posługiwać się mną jako tłumaczem. Byłem więc często posyłany na różne budowy, by wziąć miarę na nowowykonywane drzwi i okna. Oczywiście zawsze zabierałem z sobą majstra Zawistowskiego, aby być pewnym, że miara została zdjęta we właściwy sposób. Gdybym bowiem przyniósł niewłaściwe miary, które spowodowałyby wykonanie nie pasujących drzwi i okien, zostałbym skazany na śmierć za sabotaż. Lubiłem moją pracę w warsztacie stolarskim! Nie wymagała zbyt wiele wysiłku i każdy mógł tu pracować według swego własnego rytmu. Nie było też bicia ani przekleństw. To była naprawdę wielka zmiana na lepsze! Tylko jedzenia nie było więcej - chodziłem tak samo głodny jak i wcześniej.

Podczas pewnego wieczornego apelu, latem 1941 r., w którym oczywiście uczestniczyłem, okazało się, że poszukiwania zbiegłego więźnia były - na szczęście dla niego - bezowocne, że ucieczka udała się. Więzień, który uciekł, mieszkał w tym samym bloku co i ja. Niestety Niemcy w tym właśnie czasie zaczęli stosować odpowiedzialność zbiorową i za ucieczkę więźnia i - w wypadku odkrycia takowej - wybierali od dziesięciu do dwudziestu innych więźniów z tego

samego bloku i traktowali jako zakładników. Podczas tego właśnie przerażającego, wieczornego apelu szef obozu SS-Hauptsturmführer Frische przechadzał się pomiędzy rzędami, patrząc nam groźnie w oczy i wybierając spośród nas dziesięciu więźniów, jako zakładników, którzy mieli zostać zgładzeni w odwet za tę ucieczkę. Mnie także - w przerażający sposób - spojrzął w oczy, zatrzymał się, ale nie wybrał i poszedł dalej. Tę straszną chwilę będę pamiętał do końca życia. Wśród zakładników znalazł się Franciszek Gajowniczek, więzień nr 5659, zawodowy podoficer przedwojennego Wojska Polskiego. Był to człowiek żonaty i miał dwoje dzieci. Gdy został wybrany, zaczął płakać i głośno lamentować, że już nigdy nie zobaczy swojej rodziny. Wówczas wystąpił franciszkanin, ojciec Maksymilian Kolbe, więzień nr 16670 i poprosił szefa obozu o to, by mógł pójść na śmierć zamiast Gajowniczka. Było to wydarzenie zupełnie nieoczekiwane w obozie Auschwitz, gdzie każdy więzień walczył wszystkimi środkami i sposobami o przedłużenie życia: chociaż o miesiąc, chociaż o tydzień, chociaż o dzień. Zaskoczony Fritzsche zgodził się i dziesięciu więźniów - wśród nich ojca Kolbe - zaprowadzono do bloku nr 11 - "bloku śmierci". Zostali tam wepchnięci do tzw. "stojącego bunkra" (Stehenbunker), który stanowiła cela o powierzchni metr na metr, około dwóch metrów wysoka, bez okien. Więźniów wciskano przez małe drzwi nad podłogą. Mogli - ze względu na ciasnotę - tylko stać. Nie otrzymywali ani jedzenia ani picia. Pozostawiono ich tam aż do głodowej śmierci. Heroiczna decyzja franciszkanina z Niepokalanowa i jej następstwa - wszystko to działo się o kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów ode mnie, bo ojciec Kolbe mieszkał w tym samym bloku co ja, jednak nie widziałem tego w sposób bezpośredni, a może po prostu nie zauważyłem, gdyż każdy z nas myślał wtedy przede wszystkim o sobie. Jednak wkrótce dowiedziałem się o tym, bo nawet w obozie Auschwitz - w tej fabryce śmierci, gdzie życie ludzkie miało trwałość bańki mydlanej - nie można było tego nie zauważyć. O ile wiem, była to jedyna tego rodzaju decyzja w całym ciągu przerażających dziejów obozu Auschwitz w Oświęcimiu. W 1982 r. ojciec Maksymilian został kanonizowany - ogłoszony świętym przez Kościół Katolicki.

Ów "Stehenbunker" był używany także jako miejsce kary za inne "wykroczenia" obozowe - np. za kradzież kilku kartofli z magazynu czy inne "przestępstwa" tego rodzaju. W takim wypadku więźniowie byli tam wsadzani na noc, a rano wyczerpanych brakiem snu i jedzenia - pędzono do pracy. Tego rodzaju kara mogła trwać od kilku dni do kilku tygodni, jeśli ktoś był w stanie to przeżyć.

Pewnego dnia poszedł do mnie Arbeitsdient - tj. odpowiedzialny za kierowanie więźniów do pracy - Otto Kiesel, więzień kryminalny nr 2, jeden z najbardziej porządnym i sympatycznym Niemców, którzy w obozie pełnili funkcje nadzorców (kapo). Później uciekł on z obozu wraz z trzema Polakami, ale został schwyty w Warszawie z dwoma spośród owych trzech Polaków i wszyscy zostali z powrotem przywiezieni do obozu Auschwitz. Obaj Polacy zostali zabici, natomiast Kiesel - jak Niemiec - został przy życiu ale wywieziono go do innego obozu koncentracji.

cyjnego w Flossenburgu. Otóż ten Otto zapytał mnie czy chciałbym pracować jako blokowy pisarz. Powiedział mi, że szef bloku nr 25, niemiecki kryminalista, którego nazwiska już dziś nie pamiętam, jest niezadowolony ze swego pisarza i chce go zmienić. Do obowiązków pisarza blokowego należało prowadzenie kartotek więźniów danego bloku z uwzględnieniem zachodzących zmian i przygotowywaniu spisów na apele. Dostawał więcej jedzenia niż inni więźniowie i miał lepsze warunki zakwaterowania, no i dużo wolnego czasu. Zgodziłem się! Blok nr 25 stał naprzeciw obozowej kuchni, przed którą znajdował się plac, gdzie gromadziła się starszyzna SS. Tam odbierano raporty z apeli. Tam też odbywały się publiczne egzekucje więźniów przez powieszenie a także chłosty - wszystko na polecenie władz obozowych.

Pewnego ranka, gdy wszystkie grupy więźniów pomaszzerowały do pracy, funkcjonariusze SS ustawili stół przed wejściem do kuchni. Następnie przyprowadzili i ustawili w szeregu około stu rosyjskich jeńców wojennych. Nie można było rozpoznać ich rang wojskowych, ponieważ wszyscy byli rozebrani. SS-mani wypytывali ich o coś i zapisywali, co zresztą nie trwało długo. Następnie wyprowadzono ich do żwirowni, znajdującej się na tyłach kuchni, niby do pracy. Z okien bloku nr 25 - wraz z blokowymi i niektórymi starszymi cel - patrzyliśmy na to, co wydarzyło się tam dalej. Były to najbardziej przerażające sceny, jakie kiedykolwiek widziałem w moim życiu i jakich - mam taką nadzieję - już więcej nie zobaczę. Około południa SS-mani wymordowali połowę jeńców i to - w sposób skrajnie okrutny a przewrotny. Część z nich ustawiono na brzegu żwirowni a następnie silnym uderzeniem w żołądek lub w pachwinę zrzucano do dołu. Gdy już pospadali na samo dno, SS-mani zaczęli ich zabijać, rzucając wielkimi kamieniami. Innym odcinali głowy za pomocą szpadli albo też leżącym kładli trzonki od szpadli na gardłach a następnie stając na nich i przyciskając dusili nieszczęsnych ludzi na śmierć. Jeszcze innym kazano kłaść się na dnie żwirowni a następnie wysypywano na nich całe wagony-wywrotki pełne żwiru, grzebiąc ich żywcem. Po południu SS-mani dokończyli "zadania" zabijając wszystkich, którzy jeszcze pozostali przy życiu. Dowiedzieliśmy się później, że pomordowani byli komisarzami politycznymi Armii Czerwonej.

Pierwsze masowe zgładzenie więźniów w komorze gazowej, o którym wiedziałem, dotknęło około sześciuset rosyjskich oficerów, wziętych do niewoli w pierwszych dniach niemieckiej inwazji, rozpoczętej 22 czerwca 1941 r. Było wczesne, słoneczne popołudnie, gdy SS-mani ogłosili alarm. Zabroniono nam opuszczać bloki, nie wolno też było patrzeć przez okna, a nawet zbliżyć się do nich. Wiedzieliśmy, że dzieje się coś niezwykłego. Było wiele przypuszczeń, ale dopiero następnego ranka poznaliśmy straszną prawdę. Dowiedzieliśmy się wszystkiego od więźniów-grabarzy, którzy pracowali przez całą noc, nosząc ciała zmarłych do obozowego krematorium. Na komorę gazową została szybko przemieniona suterena jednego z bloków - nie pamiętam czy był to blok nr 7 czy nr 8. Okienka zostały tam zasypane ziemią a drzwi uszczelniono, aby gaz nie wydobywał się na zewnątrz. Biedacy nie zdawali sobie nawet sprawy, co ich zabijało, gdy tylko

znaleźli się wewnątrz komory gazowej. Niemcy używali do zabijania więźniów tego samego gazu, którym posługiwali się przy dezynfekcji bloków, zwalczając wszy i pchły, które gnieździły się w naszych kocach oraz odzieży.

Pewnego wieczoru, podczas apelu, znowu stwierdzono brak jednego z więźniów. Powstało wielkie zamieszanie, wielokrotnie liczono, ale wciąż jeden z więźniów był nieobecny. Szybko zorientowałem się, kto był tym brakującym więźniem. W pewien sposób byłem odpowiedzialny za jego zniknięcie. Otóż każdego wieczoru otrzymywałem - jako blokowy pisarz - polecenia z komendy obozu wzywające poszczególnych więźniów do stawienia się następnego dnia w różnych instytucjach obozowych. Zazwyczaj oznajmiałem to wzywaniem po wieczornym apelu. W tym wypadku jednak przekazałem więźniowi wiadomość, że ma się stawić w wydziale politycznym komendy gestapo. Było to złowieszcze polecenie. Sam byłem kiedyś wezwany do komendy Gestapo na dodatkowe przesłuchanie i kiedy wróciłem, blokowy wraz z pisarzem mówili mi, że nie spodziewali się, iż mnie jeszcze żywego zobaczą. Zazwyczaj wezwanie do wydziału politycznego oznaczało egzekucję. Spodziewając się najgorszego więzień ów ukrył się na budowie nowego bloku obozowego. Oczywiście został tam niebawem znaleziony i zaprowadzony na noc do bloku śmierci. Następnego ranka, po przesłuchaniu, został zgładzony. Sprawa ta miała dla mnie przykre konsekwencje. Otóż uznano, że ponoszę pewną odpowiedzialność za wspomniane "zniknięcie" więźnia i za to "przestępstwo" wyrzucono mnie z mego stanowiska pisarza blokowego i skierowano do ciężkiej pracy na budowie. Musiałem nosić po dziesięć albo i więcej cegieł, w specjalnie służącym temu celowi urządzeniu, po drabinie, aż na drugie piętro budowli. Mój poprzedni blokowy gorliwie sprawdzał, czy ja naprawdę pracuję ciężko i polecał nadzorcę budowlanych, by mnie traktował jeszcze bardziej surowo. Jednak teraz byłem już "starym więźniem", znanym wielu "ważnym" kolegom-więźniom, miałem więc w obozie "koneksje", bo traktowano mnie z szacunkiem za to, że tak długo udało mi się przeżyć w obozie Auschwitz. Moja kara nie trwała więc długo i wkrótce znalazłem się z powrotem w obozowej stolarni.

Nowym szefem ("Ober-Kapo") stolarni był Konrad Lang, więzień "nr 18", niemiecki kryminalista, mężczyzna marniej postury, z wyraźnym bielmem na jednym oku. Był to jednak człowiek całkiem nieszkodliwy, od czasu do czasu wręcz miły, chociaż jednocześnie niezły kombinator. Nie bardzo odpowiadał mu jego podręczny pisarz, Polak, który wiedząc o wszystkim, przeszkadzał mu w prowadzeniu ciemnych interesów. Zatem szef stolarni rozglądał się za kimś kto mógłby zastąpić niewygodnego pisarza i moje przyjście stanowiło doskonałą okazję ku temu. Zwolnił go zatem i mnie kazał zająć jego miejsce. Nie chciałem się zgodzić, mówiąc, że nie mam odpowiednich kwalifikacji, bo funkcja pisarza w stolarni wymagała pewnej fachowości, ale on mi odpowiedział: To się nauczysz! I tak zostałem biuralistą w obozowym zakładzie stolarskim. Musiałem rejestrować różne rodzaje pracy przy ławkach, rozmiary, ilości, rodzaje drewna a także czas potrzebny na wykonanie każdej czynności. Tymczasem nasz "Ober-Kapo" wrócił do swoich

sztuczek - znowu na różne sposoby prowadził niezbyt jasne interesy z SS-manami, oczywiście w zamian za jedzenie a przede wszystkim za wódkę. Prowadził te nielegalne prace meblarskie i rzeźbiarskie aż do momentu, kiedy to SS-mani odpowiedzialni za pracę warsztatów rzemieślniczych rozpoznali sprawę i ustanowili SS-mana jako nadzorcę nad stolarnią. Przystanym do nadzoru był "SS-Sturmmannführer" (starszy szeregowy) Heinrich Blanke, ponad dwumetrowy, nieokrzesany brutal. Od początku komunikował się tylko ze mną, ignorując całkowicie naszego "Kapo", którym pogardzał jako kryminalistą, chociaż był Niemcem, więc nie chciał z nim mieć żadnych kontaktów i zamierzał się go pozbyć. Był to człowiek niezbyt wykształcony, stolarz z zawodu. Złożył na mnie wiele obowiązków ale traktował mnie bardzo dobrze. Niestety nie dotyczyło to innych więźniów, bo za najmniejsze przewinienie bił bezlitośnie. Pamiętam pewne wydarzenie, kiedy to młody Polak, pracujący w stolarni, "zorganizował" (w języku obozowym "zorganizował" znaczyło ukraść) kilka kartofli i gotował je na piecu, gdzie grzał się klej stolarski. Został złapany przez SS-mana, zaciągnięty do biura i poddany śledztwu: gdzie zdobył owe kartofle?! przy którym to dochodzeniu musiałem służyć jako tłumacz. Następnie był bezlitośnie bity laską. Nie pamiętam ile razy otrzymał, ale pamiętam, że wcale nie krzyczał. To był bardzo twardy młody człowiek!

W lecie 1942 r. wybuchła w obozie Auschwitz niekontrolowana epidemia tyfusu. Więźniowie umierali setkami. Ja także zapadłem na tę chorobę i zostałem skierowany do tzw. "szpitala". Leżeliśmy tam na trzypiętrowych pryczach, po trzech na każdej, a miały one około metra szerokości. Miałem bardzo wysoką gorączkę ale nie traciłem przytomności. Ci liczni, którzy leżeli nieprzytomni, już się więcej nie zbudzili. Nie dostawaliśmy żadnych leków. Przez pięć tygodni mego pobytu w tym "szpitalu" nie dostałem niczego do jedzenia, jedynie ciepłą wodę do picia. Byłem skrajnie osłabiony i wychudzony, ale jednak mój organizm zwalczył chorobę. Podczas rekonwalescencji doktor Władysław Fejkiel (więzień nr 5647) - mój kolega i przyjaciel - zdołał mi dać dwa zastrzyki glukozy i tym mnie wzmocnił. Zostałem zwolniony z owego "szpitala" późnym popołudniem 28 sierpnia, szczęśliwy, że się stamtąd żywy wydostałem. Z radości chciałem biec, ale okazało się, że nie jestem w stanie podnosić nawet moich nóg, więc padłem plackiem na twarz. Następnego ranka, 29 sierpnia, wszyscy pacjenci ze "szpitala" zostali załadowani na ciężarówki i powiezieni do komór gazowych. Mnie oddzieliło od śmierci tylko te kilka godzin wcześniejszego zwolnienia. Taka to była obozowa metoda zwalczania epidemii. Wcześniejszy sposób polegający na uśmiercaniu za pomocą fenolu wstrzykiwanego prosto w serce, wydawał się Niemcom zbyt powolny, chociaż około 30.000 więźniów zostało w ten sposób zabitych. Jedyną satysfakcją, którą my więźniowie mieliśmy z okazji tej epidemii była ta, że i niektórzy SS-mani, zarażeni tyfusem poumierali. W wielu wypadkach więźniowie celowo wpuścili do ich ubrań wszy, które roznosiły epidemię, by i oni doznali jej skutków.

Jak wielu ludzi zostało zgładzonych w obozie Auschwitz w Oświęcimiu - tego na pewno nie wie nikt. Według różnych szacunków zamordowano tam od 2.500.000 do 4.000.000 ludzi. Rudolf Hoess, pierwszy komendant obozu Auschwitz zeznawał, że w obozie zginęło 2.500.000 ludzi. Oczywiście, ze zrozumiałych względów, jego szacunek wykazywał jak najniższą liczbę. To, że nie rozporządzamy dokładną liczbą więzionych i zamordowanych w obozie Auschwitz wynika z faktu, że Niemcy nie rejestrowali większości Żydów kierowanych od razu do komór gazowych. Jedynie około 400.000 więźniów zostało zarejestrowanych i przydzielono im obozowe numery. Resztę od razu uśmiercano, bez jakichkolwiek formalności. Większość więźniów Auschwitz stanowili polscy Żydzi i Polacy, ale także przywożono tu Żydów oraz chrześcijan z innych krajów europejskich.

Wróciłem zatem do stolarni i - jak pamiętam - SS-man Blanke, mój szef, był zadowolony z tego, że przeżyłem i że wróciłem. Tymczasem zmienił się sposób nadzoru nad obozowymi warsztatami - więcej SS-manów zajęło w nich kierownicze stanowiska. Do stolarni przysłany został drugi SS-man Unterscharführer (kapral) Alfred Schinner. Był więc wyższy rangą od Blanka. Był Austriakiem, człowiekiem bardziej rozgarniętym i wykształconym, no i grzeczniejszym.

Po mojej przymusowej głodowej "kuracji" w "szpitalu" byłem teraz podwójnie głodny. Szczęśliwie zdarzyła się okazja, by dostać trochę więcej jedzenia - resztki z kuchni przeznaczonej dla SS-manów. Otóż Blanke zaczął hodować dwie gęsi na małym podwórku przyległym do stolarni i ułożył się z szefem kuchni dla SS-manów, że będzie otrzymywał resztki dla tych gęsi. Musiałem zatem chodzić co dzień do tej kuchni, by w wiadrze przynosić odpadki dla gęsi. Będąc tak skrajnie głodny, jak byliśmy - nie wahaliśmy się dzielić z gęśmi owe resztki z SS-mańskiej kuchni. Gdybym był większym egoistą prawdopodobnie nie dzieliłbym się tymi resztkami z moimi kolegami. Byłem tak wychudzony i głodny! Mimo wszystko wkrótce, dzięki tym odpadkom z kuchni SS-manów, nabrałem trochę wagi i zdobyłem nieco siły.

Zespół warsztatów - składający się ze stolarni, ślusarni, pracowni elektryków, dekarzy, hydraulików, malarzy, betoniarzy, lastrykarzy i wielu innych pracowni - stawał się coraz bardziej potrzebny Niemcom, ponieważ obóz Auschwitz wciąż się rozrastał. Awansowałem więc, stając się głównym pisarzem wszystkich warsztatów. Przeniesiono moje biuro do małego domku, gdzie zajmowało ono jeden pokój, podczas gdy drugi służył za mieszkanie obydwu SS-manom: Blankemu i Schinnerowi. Pracowałem więc w biurze i miałem do pomocy drugiego więźnia-pisarza. Sprzątał on także biuro oraz pokój SS-manów, do którego ja zresztą miałem klucz.

Byłem więc teraz głównym pisarzem i czymś w rodzaju ordynansa u SS-manów. Musiałem też robić dla nich paczki, które z zagrabionymi rzeczami wysyłali do domów. Blanke był nie lubiany także i przez SS-manów, którzy nawet się go bali. Szczególnie nie znosił go Ślązak o nazwisku Lubusch, który mówił bardzo dobrze po polsku i był życzliwy dla wszystkich więźniów. Pewnego dnia Blanke zniknął i nigdy więcej już go nie zobaczyliśmy. Rozeszła się pogłoska, że został

wysłany na front wschodni. My wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, także Lubusch, który był szefem ślusarni a pomagał więźniom, gdzie tylko mógł. Szczególnie przyjaźnie traktował młodego studenta z Rzeszowa Edka Golińskiego. Edek planował ucieczkę i w tym celu udało mu się przenieść do podoboju Birkenau w Brzezince. Lubusch zaopatrzył go nawet w mundur SS, by mu pomóc w ucieczce. Pewnego dnia Edek uciekł i to wraz z żydowską dziewczyną ze Słowacji Małą Zimtebaum, w której był zakochany. Wszyscy życzyliśmy im powodzenia. Niestety - w kilka dni później zostali złapani przez Niemców na przedwojennej granicy polsko-czechosłowackiej. Przywieziono ich z powrotem do obozu, umieszczono w celach bloku śmierci, torturowano, a w końcu powieszono w obecności zgromadzonych więźniów. Edek - jeden z pierwszych więźniów Auschwitz, był oznaczony numerem 531. Umarł bohatersko, a w śledztwie i podczas tortur nie wydał Lubuscha jako dostarczyciela SS-mańskiego munduru.

Wszystkie warsztaty w obozie były pod zarządem "Zentralbauleitung", to jest Głównego Zarządu Budownictwa w obozie. Instytucja ta miała do dyspozycji dwa duże baraki, położone w pewnej odległości od naszych warsztatów. Pracowało tam grubo ponad stu więźniów-fachowców w różnych dziedzinach: inżynierów, architektów, mierniczych, urzędników. W większości byli to Polacy i Czesi. Funkcje kierownicze pełnili oczywiście SS-mani, byli to jednak specjaliści w różnych dziedzinach. Ponieważ polecenia do wszystkich warsztatów rzemieślniczych wychodziły właśnie stąd, przeniesiono mnie do tego biura. Siedziałem w jednym pokoju z SS-Unterscharführerem (kapralem) Brachtem i Niemcem-cywilem, którego nazwiska nie pamiętam. Ten ostatni był bardzo miłym człowiekiem, który czuł się bardzo nieswojo w tym porzuconym przez Boga miejscu. Pochodził z Wrocławia. Wiele ryzykując przemycił, podczas swoich podróży w odwiedziny do domu, moje listy do rodziców i nadawał je we Wrocławiu. Będąc niezdolnym do służby wojskowej został skierowany do pracy w obozie Auschwitz. Dzielił się swoimi niezbyt obfitymi racjami żywnościowymi ze mną i żydowską dziewczyną, która pracowała jako maszynistka w pokoju obok.

Natomiast SS-Unterscharführer Bracht był Ślązakiem pochodzącym z Gliwic. Mówił trochę po polsku. Był to sprytny "businessman" - posiadacz skonfiskowanego Żydom składu materiałów budowlanych. Jeździł on po całej okupowanej przez Niemców Europie, zajmując się zaopatrzeniem obozowych przedsięwzięć budowlanych, tak więc w swym biurze bywał rzadko. Te wszystkie zaopatrzeniowe zakupy szły do obozu przez jego własne biuro, przynosząc mu znakomity zysk. Okazał się sympatycznym człowiekiem. Gdy przebywał w biurze, większość czasu spędzał na rozmowach telefonicznych albo też na dyskusjach o rozwoju sytuacji na wojennych frontach. Był to już koniec 1943 roku i wojska niemieckie na froncie wschodnim znajdowały się w odwrocie, czym się oczywiście bardzo martwił. Bracht wiedział, że my więźniowie mamy o wiele lepsze i bardziej wiarygodne informacje niż te, które serwowała Niemcom propaganda Goebbelsa. Mieliśmy bowiem najświeższe wiadomości z BBC, które odbierali - za pomocą

reperowanych właśnie radioodbiorników - elektrycy z obozowego warsztatu. Była w naszym biurze wielka mapa Europy i Bracht wołał mnie do niej, polecając zaznaczyć aktualny przebieg wschodniego frontu. To co pokazywałem było zawsze bardziej na zachód, niż to wynikało z niemieckich gazet. Mówił wtedy: "Leo, ty się chyba mylisz!" - ale mówił to bez większego przekonania.

Jak już wspominałem, obok mojego biura znajdowało się pomieszczenie, w którym dziewczęta przepisywały na maszynie. Ścianki dzielące biurowy barak były szklane, więc widziałem wszystko co się tam działo i znałem je oczywiście. Wszystkie one były Żydówkami pochodzącymi z różnych krajów. Znały świetnie niemiecki i potrafiły stenografować w tym języku. Było ich około dziesięciu i wszystkie przeżyły obóz, o czym dowiedziałem się od jedynej Polki wśród nich - Zosi Serafińskiej, którą po wojnie spotkałem w Londynie.

Ku naszemu wielkiemu zadowoleniu wojna szła Niemcom coraz gorzej. Na froncie wschodnim byli w wielkim odwrocie, wypędzono ich z północnej Afryki, a we Włoszech wciąż się cofali. Same zaś Niemcy były bombardowane - i w dzień i w nocy - przez zachodnich sojuszników, którzy teraz panowali w powietrzu. Zbombardowali nawet niektóre urzędnictwa w Oświęcimiu, niestety tak nieszczęśliwie, że zabili kilku więźniów, ale - ku naszej radości - także i trochę SS-manów. Zatoskanie na twarzach SS-manów stawało się powszechne, wywołując radość na naszych twarzach. Nastąpiły także pewne zmiany w obozie. Mieliśmy nowego komendanta. Po raz pierwszy pozwolono nam otrzymywać paczki z domu. Przeszto też stosować zbiorową odpowiedzialność w przypadku ucieczki więźnia. Jednakże terror się nie zmniejszył. Mordowanie Żydów za pomocą gazu w obozie Birkenau - nawet uległo przyspieszeniu. Komory gazowe i krematoria pracowały dniem i nocą. Wyglądało na to, że SS chce dokonać dzieła eksterminacji jak najszybciej. Kontynuowano także zabijanie więźniów za pomocą strzałów w tył głowy z broni małokalibrowej, a odbywało się to przy Ścianie Śmierci. W dalszym też ciągu w obozowym "szpitalu" uśmiercano chorych zastrzykiem z fenolu prosto w serce. Wciąż nie byliśmy pewni tego, że przed nami jest jakaś przyszłość. Byliśmy przekonani, że Niemcy, gdy staną w obliczu ostatecznej klęski, by nie zostawić świadków swej zbrodni, zabiją i tych z nas, którzy jeszcze będą żywi.

Zdając sobie sprawę, że taka możliwość - prędzej czy później - stanie się rzeczywistością, niektórzy z nas zaczęli organizować się w tajnym, obozowym ruchu oporu. Ze zrozumiałych względów tylko niektórzy więźniowie wiedzieli, że tego rodzaju organizacja istnieje na terenie obozu. Więźniem, który ów tajemny ruch oporu organizował był Tomasz Serafiński - numer 4859. O ile wiem, był on zawodowym wojskowym w randze kapitana i służył przed wojną w jednym z oddziałów polskiej kawalerii. Był także wysokiej rangi dowódcą w podziemnym Związku Walki Zbrojnej, poprzedniku Armii Krajowej, która - jak wiemy - była największą tajną organizacją wojskową w okupowanej Europie. Pozwolił się świadomie zatrzymać SS-manom w jednej z warszawskich łapanek i pod przybranym nazwiskiem Tomasz Serafiński, zawieźć do obozu

Auschwitz po to, by na własnej skórze poznać warunki tam istniejące i możliwości zorganizowania obozowego ruchu oporu. Jego prawdziwe nazwisko było: Witold Pilecki. Pracował - tak jak i ja - przez pewien czas w obozowej stołarni, ale jako snycerz. Był to człowiek niezwykle tajemniczy - aż niemal do granic szczególnego mistycyzmu. Rzadko kiedy rozmawialiśmy szerzej o ruchu oporu, ale przecież wiedzieliśmy dokładnie, co się stanie z nami w momencie ostatecznej likwidacji obozu. Zdawaliśmy więc sobie sprawę z beznadziejności naszej sytuacji. Pilecki, razem z młodym więźniem Edwardem Ciesielskim - numer 12969 - uciekł z obozu Auschwitz w 1943 r. (Spotkałem się z nim ponownie w 1945 r. we Włoszech, w Porto S. Giorgio, w sztabie Drugiego Polskiego Korpusu). Mając to wszystko na uwadze zacząłem - nie tylko zresztą ja - obmyślać, już całkiem na serio, sposób ucieczki z obozu.



VIII. UCIECZKA Z OBOZU AUSCHWITZ

Jako pracownik obozowej centrali budowlanej miałem przywilej swobodnego poruszania się po terytorium obozu. Odbierałem i przekazywałem zlecenia pracy różnym instytucjom obozowym. Znałem wielu więźniów i wielu znało mnie. Jako "stary" (to znaczy długo przebywający w obozie) więzień - budziłem zaufanie. W czasie moich wędrówek po obozie zawsze zatrzymywałem się w małej pracowni mieszczącej się na strychu w baraku stolarzy. Pracował w niej rzeźbiarz i snycerz, więzień nr 23483 Alfons Szumiński. By się tam dostać, trzeba się było wspinać po drabinie. Mały pokoiik zajmował tylko on i rzadko ktokolwiek go odwiedzał. Pracował dla swoich SS-mańskich przełożonych, którzy nie pozwalali nikomu wtrącać się do niego. Pochodził z Bydgoszczy i mówił bardzo dobrze po niemiecku. Jedzenie przynoszono mu do pracowni a jako szczególnie cenny dla SS-manów pracownik, otrzymywał mięso i wędliny z pobliskiej rzeźni oraz masło z mleczarni.

Zaczęliśmy z Alfonsem rozmawiać o ucieczce. Był nią także zainteresowany Henryk Kwiatkowski, pracownik z mleczarni oraz mistrz stolarski - Ślązak, którego nazwiska nie pamiętam. Nasz oryginalny plan na tym polegał, aby opuścić obóz udając pracowników, którzy co dzień przychodzili do obozu z zewnątrz i wykonywali prace, dla których brakowało wykonawców wśród więźniów. By tego dokonać, potrzeba było wielu rzeczy - specjalnych przepustek, cywilnych ubrań, rowerów, a także... peruk, bo przecież mieliśmy ogolone głowy. Dostarczenie nam tego wszystkiego było zadaniem trudnym, ale przecież mogliśmy liczyć na pomoc owych polskich pracowników spoza obozu, którzy z kolei albo byli uczestnikami polskich wojskowych organizacji podziemnych, albo przynajmniej mieli z nimi kontakt. Zaczęliśmy więc od peruk! Alfons - jako rzeźbiarz - z łatwością wykonał modele naszych głów w gipsie, które zostały przez owych cywilnych robotników "przeszmuglowane" poza obozowe druty. Zostały one wysłane - wraz z informacją o kolorze naszych włosów - do mistrza perukarskiego w Krakowie. Po kilku tygodniach otrzymaliśmy peruki wraz z klejem do ich przymocowania. Muszę powiedzieć, że nie były to dzieła mistrzowskie, ale przykryte czapką - mogły ujsć! Następną sprawą były paszporty. Przemyciono do nas aparat fotograficzny i porobiliśmy sobie zdjęcia, oczywiście w perukach na głowach. Robotnicy spoza obozu przemycili te zdjęcia na zewnątrz. Z kolei dostały się one do specjalnej komórki polskiej armii podziemnej, gdzie przygotowano znakomicie podrobione przepustki, opatrzone naszymi zdjęciami. Robotnicy z zewnątrz musieli tego rodzaju przepustki okazywać SS-manom-strażnikom przy każdorazowym przekraczaniu obozowej bramy. Kontakty z "cywilnymi" robotnikami, to była domena Ślązaka, którego nazwiska - jak już wspominałem - nie pamiętam. Jego praca obozowa była właśnie tego rodzaju, że kontakty z pozaobozowymi robotnikami nie budziły żadnych podejrzeń. On także załatwiał sprawę rowerów i cywilnych ubrań

dla nas. Rowery zostały dostarczone w ciągu kilku dni. Po prostu kilku robotników przyjechało na rowerach do obozu a wróciło do domu pieszo, czy też koledzy ich podwieźli. Dostarczono także ubrania, a wszystko skryliśmy w pustej ruderze niedaleko baraku stolarzy, zabezpieczając odpowiednio. Gdy wszystko już było gotowe, wybraliśmy pewien dzień wczesnoletni 1944 r. jako termin naszej ucieczki. Pracownicy spoza drutów opuszczali obóz przed czasem sprawdzenia obecności więźniów, zatem powinniśmy mieć dostatecznie dużo czasu, aby oddalić się od obozu tak daleko jak tylko się da.

Kiedy nadszedł wybrany dzień, my trzej, to znaczy Alfons, Henryk i ja, weszliśmy do pomieszczenia, gdzie były schowane rzeczy dla nas i zaczęliśmy się przebierać. Ślązak natomiast miał się zorientować w sytuacji i dołączyć, kiedy uzna, że nastąpiła stosowna do ucieczki chwila. Pełni wewnętrznego napięcia i strachu czekaliśmy na niego - już przebrani - w owej ruderze. Minuty, które nam się wydawały godzinami, mijały a my nie mieliśmy od Ślązaka żadnego znaku. Sytuacja stawała się coraz bardziej groźna, bowiem w każdej chwili - na zasadzie czystego przypadku - mógł naszą kryjówkę odkryć jakiś SS-man, albo - co jeszcze gorsza - zaczęliśmy podejrzewać, że Ślązak zdradził. Wreszcie Alfons zdecydował przywdziać na nowo obozowe odzienie i pójść na poszukiwanie Ślązaka. Za chwilę wrócił z nim samym - trzęsącym się ze strachu jak liść na wietrze. Był skrajnie roztrzęsiony i załamany, bełkocząc tylko, że nie może pójść z nami, bo nerwy odmówiły mu posłuszeństwa. Namawiał nas, byśmy kontynuowali ucieczkę, ale bez niego i zapewniał, że nie zdradzi. Zdecydowaliśmy jednak przerwać naszą akcję. Przebraliśmy się na nowo w obozowe uniformy, poszliśmy wszyscy do pracowni Alfonsa i tam zmusiliśmy Ślązaka do przysięgi, że nas nie zdradzi. Zapewniliśmy go też, że gdyby zdradził, to postaramy się, by nie przeżył obozu, a on dobrze wiedział, że realizacja tego rodzaju groźby nie byłaby w obozie sprawą trudną. Kazaliśmy mu też, by zwrócił rowery i cywilne ubrania a przede wszystkim - by zapomniał o całej sprawie. Spaliliśmy peruki oraz przepustki i tak to niepowodzeniem skończyła się nasza pierwsza próba ucieczki z obozu Auschwitz.

Jednakże nie porzuciliśmy myśli o ucieczce - ani ja, ani Alfons, ani Henryk, chociaż Henryk nawiązał kontakty z inną grupą więźniów przygotowujących się do ucieczki i udało mu się zbiec wcześniej niż nam. Okazało się, że Jan Prejsner (nr 14046), który pracował ze mną jako urzędnik w tym samym baraku, chociaż nie w tym samym pomieszczeniu, był także zainteresowany ucieczką. W czasie wcześniejszej pracy w Ausenkommando, to jest grupie więźniów, którzy wychodzili do pracy poza obóz, nawiązał kontakty z okolicznymi oddziałami Armii Krajowej. Łączność ta była kontynuowana dzięki Zofii Zdrowiak, która mieszkała w pobliskiej wsi Budy Bory, a została przez Niemców zmuszona do pracy jako sprzątaczką w baraku zajmowanym przez hitlerowską partię NSDAP (Narodowo-Socjalistyczną Niemiecką Partię Robotniczą). Barak ten znajdował się wewnątrz wielkiego łańcucha posterunków strażniczych, więc mogliśmy się doń zbliżyć bez asysty strażników z SS, ale jednak - mając dobre uzasadnienie swojej obecności. Zresztą było tam

zawsze pełno SS-manów. Od czego jednak nasza pomysłowość! - Otóż Zosia została nauczona jak psuć zamki oraz urządzenia sanitarne i elektryczne, co wymagało natychmiastowej naprawy, a więc wezwania rzemieślników z obozu dla przywrócenia sprawności tym urządzeniom. Te wszystkie naprawy były oczywiście zgłaszane do biura, w którym Jan był urzędnikiem. Skwapliwie korzystaliśmy z każdej takiej, wcześniej przez nas samych przygotowanej, okazji i któryś z nas zawsze towarzyszył pracownikom udającym się do budynku NSDAP, by naprawić zepsute urządzenie. Wtedy to właśnie kontaktowaliśmy się z Zosią wymieniając informacje oraz instrukcje.

Teraz, kiedy już mieliśmy dobre kontakty z polskim podziemiem wojskowym, z komórkami Armii Krajowej, zaczęliśmy na dobre przygotowywać ucieczkę. Wszyscy trzej - Janek, Alfons i ja - zdecydowaliśmy, że uciekniemy symulując grupę więźniów, którzy pod strażą SS-manów wychodzili do pracy poza obóz. Nawiązaliśmy również kontakt z trzema innymi więźniami, którzy także chcieli zaryzykować ucieczkę, a którzy dzięki swoim kontaktom byli bardzo przydatni w tym naszym przedsięwzięciu. Byli to: Tadeusz Donimirski (nr 2009) - student prawa z Warszawy, Wacław Maliszewski (nr 59195) - także student prawa (obaj pracowali w grupie lastrykarzy) i Tadeusz Żaboklicki, pracujący jako stolarz. Nasz plan ucieczki był prosty - i w przygotowaniu, i w wykonaniu - ale wymagał wielkiego wkładu pracy umysłowej no i - mocnych nerwów. Alfons i ja zostaliśmy wybrani do spełnienia zadania szczególnego. Obaj mówiliśmy dobrze po niemiecku, więc powierzono nam zagranie roli SS-manów wyprowadzających poza obszar strzeżony grupę rzemieślników, którzy mieli rzekomo szklić okna w nowym domu, który zbudowano dla SS-manów w gospodarstwie ogrodniczym Rajsko. Dla wypełnienia tego zadania potrzebowaliśmy przede wszystkim SS-mańskich mundurów naszych rozmiarów. Człowiekiem wyznaczonym do spełnienia tego trudnego zadania był Janek Prejsner. On to przy pomocy swego dobrego kolegi Feliksa Buczyńskiego nawiązał kontakt z więźniem, który pracował w magazynie mundurowym SS. Więzień ten zdołał w ciągu kilku tygodni - oczywiście ryzykując wiele - dostarczyć nam dwa kompletne mundury SS wraz z czapkami i całym oprzyrządowaniem. Mundury te zostały przemyślnie ukryte w pracowni Alfonsa. Później, dzięki pomocy moich przyjaciół, zostały przeniesione do magazynu starych rzeczy i tam schowane. Były aż trzy powody by te mundury tam właśnie schować. Po pierwsze - magazyn starych rzeczy znajdował się blisko miejsca, gdzie mieliśmy się spotkać z więźniami, których niby to mieliśmy wyprowadzić poza obóz pracy, zatem możliwość spotkania prawdziwego SS-mana, zdolnego nas rozpoznać, była niewielka. Po drugie - było to bardzo spokojne miejsce, gdzie bez przeszkód mogliśmy się przebrać w "nasze" SS-mańskie mundury. Po trzecie - mogliśmy tam zostawić nasze obozowe pasiaki nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Poza tym koledzy pracujący w tym składzie starych rzeczy - a byli to Antoni Rosa, Wiesław Loeger i Witold Wierusz - pomogli nam przyszyć do mundurów insygnia odpowiedniej formacji SS. Wybraliśmy dystynkcje podoficerów, którzy byli uzbrojeni

w broń krótką a nie w karabiny, bowiem zdobycie karabinów było dla nas rzeczą całkowicie niemożliwą. Musieliśmy zaś mieć jakąś broń, jeśli chcieliśmy grać rolę SS-manów wyprowadzających więźniów do pracy. Ale - jak nam się udało zdobyć krótką broń?

Obóz posiadał pracownię rymarską (razem z szewską) a Tadeusz Żaboklicki miał kolegę, który tam pracował. Zgłosił się więc do niego z taką oto zmyślną historyjką: Powiedział mu, że nasz szef - SS-Unterscharführer Alfred Schinner - będzie miał niebawem urodziny i dobrze by było, gdyby w charakterze prezentu wykonał dla niego nową skórzaną kaburę na pistolet, bowiem ta, którą posiadał, miała - rzekomo - być już licha, bardzo znoszona. Rymarz oczywiście zapytał: "A jaki jest rozmiar jego rewolweru?" Tadeusz odpowiedział: "Nie wiem dokładnie, ale jest to normalny kaliber ... - No dobrze, spróbuję zrobić, ale nie gań mnie i nie wydaj, jeśli futerał nie będzie pasował". Oczywiście - nam chodziło o to, by ten pierwszy nie pasował, ponieważ były potrzebne dwie pistoletowe kabury! I - równie oczywiście - żadnej z nich nie miał otrzymać Schinner! Kiedy więc pierwszy futerał został wykonany (zapłatę stanowiła odpowiednia porcja chleba i kiełbasy), Tadek powiedział rymarzowi, że jest mu przykro, ale okazał się za mały i prosi o wykonanie większego. - "Prosiłem cię o podanie dokładnych wymiarów!" - powiedział rymarz - ale i tę drugą - większą - kaburę pistoletową wykonał, oczywiście za dodatkową porcję chleba i kiełbasy. Dla tych dwu futerałów Alfons wytoczył z drewna dwie doskonałe imitacje rewolwerów. Sprzyjała nam dodatkowo ta okoliczność, że SS-mani, którzy byli uprawnieni do noszenia broni krótkiej u boku, zazwyczaj owijali pistolety kawałkiem czarnego materiału, by ustrzec je przed rdzewieniem w wilgotnym, zimowym powietrzu tak, że patrząc z boku na otwartą kaburę można było dojrzeć tylko czarny materiał, spoza którego pistolet był niewidoczny. Zrobiliśmy dokładnie to samo z naszymi "pistoletami"!

Następnym krokiem było zdobycie pisemnych rozkazów, które upoważniały SS-manów do wyprowadzenia więźniów poza ogrodzony teren obozu. Alfons znał więźnia pracującego w obozowej drukarni i dzięki niemu zapewnił nam potrzebne formularze w różnych kolorach, ponieważ barwę blankietów, na których wypisywano rozkazy dla SS-manów wyprowadzających z obozu więźniów, zmieniano każdego dnia. Obaj z Jankiem - dzięki naszej pracy - wiedzieliśmy, jaki kolor przepustek był używany danego dnia. Ja natomiast znałem nazwisko a nawet podpis SS-mana, który wydawał przepustki. Był to SS-Unterscharführer (kapral) Kurt Hugo Müller, którego podpisem opatrzyliśmy nasze przepustki, kiedy nadszedł czas ich ostatecznego przygotowania. Oczywiście - prawdziwe przepustki były opatrzone urzędową pieczęcią SS, której my nie mieliśmy, jednak Alfons był przecież rzeźbiarzem, więc wykonał z miękkiego drewna imitację takiej pieczęci. Wypróbowałem ją na dokumentach przechodzących przez moje biuro - nie wzbudzała żadnych podejrzeń. I tak oto minęliśmy kolejny kamień milowy na drodze do realizacji naszego zamiaru - do upragnionej ucieczki z obozu. Ostatnią rzeczą, którą musieliśmy zdobyć była trucizna. Postanowiliśmy jej użyć, gdyby nas złapano. Pomógł nam w tej sprawie Marian

Toliński, farmaceuta, znany w całym obozie, szczególnie wśród starych więźniów. Był to jeden z najsympatyczniejszych ludzi, jakich znałem. Przez swoje kontakty z apteką dla SS-manów zdobył cjanek, który dostarczył każdemu z nas. Mieliśmy go przy sobie - owinięty w kawałek papieru - na tę ostateczną okoliczność!

Po tych wszystkich przygotowaniach byliśmy już gotowi do marszu po naszej drodze ku wolności. Trzeba było tylko przekazać komórkom Armii Krajowej dokładną datę ucieczki i hasło rozpoznawcze. Owym hasłem była melodia kolędy: "Przybieżeli do Betlejem pasterze", którą to melodię miano nam zagwizdać. Były właśnie ostatnie dni września 1944 r., piękne, słoneczne dni. Data naszej ucieczki została ustalona na 28 tegoż miesiąca i nasi przyjaciele po tamtej stronie zostali o niej zawiadomieni. Tego dnia około 13.30, w porze przerwy obiadowej, chcieliśmy wypróbować nasze szczęście! Rano musieliśmy się dowiedzieć, jakiego koloru przepustki obowiązują tego dnia. Wiadomość była niepomyślna: obowiązywał kolor jasnoniebieski a my nie mieliśmy blankietów tego właśnie koloru. Najbliższy mi był kolor jasnozielony, więc postanowiliśmy te blankiety wykorzystać. Wypełniłem je, podpisałem: "Unterscharführer Hugo Müller" i przybiłem pieczęcią z nadzieją, że wszystko skończy się dobrze. Nie najlepiej się jednak wszystko składało, bo w biurze miałem tego dnia mnóstwo zajęć. - Mój szef - wspomniany SS-Unterscharführer Schinner - dostał jakieś specjalne zlecenia i trzymał mnie przy sobie do pomocy. Już była prawie pierwsza po południu, powinienem być w magazynie starych rzeczy i przebierać się w SS-mański mundur, a tu - musiałem wciąż przebywać w biurze i to z Schinnerem na karku! Wreszcie Schinner zdecydował się pójść na obiad, a ja mogłem wpaść po Alfonsa i obaj pobiegliśmy do wiadomego magazynu, by się przeobrazić w SS-manów. Nasi przyjaciele tam pracujący byli bardzo zaniepokojeni, podejrzewając, że zostaliśmy zdemaskowani, a tak samo sądzili czterej nasi koledzy jako szklarze, którzy czekali na placu, gdzie formowano grupy więźniów wychodzących z obozu, z szybami na plecach i narzędziami w torbach. Byli do tego stopnia zdenerwowani naszym opóźnieniem, że kazali Jankowi pójść i sprawdzić, co się wydarzyło. Tymczasem jednak udało nam się wreszcie przebrać w te SS-mańskie mundury. Kiedyśmy się już przebrali, nasi przyjaciele-pracownicy magazynu - zlustrowali nas dokładnie i ocenili, że wyglądamy na prawdziwych SS-manów! Nasze obozowe odzienie zostało schowane, a następnie miało być spalone. Byliśmy więc gotowi do wyjścia z baraku. Nasi przyjaciele poszli na zwiady, upewnili nas, że teren jest "czysty" i pożegnali życzeniami powodzenia. Pomaszerowaliśmy więc zwawym krokiem na spotkanie z naszymi szklarzami. Po drodze spotykaliśmy licznych więźniów, którzy widząc SS-manów pozdrawiali nas w nakazany sposób, to znaczy przez zdjęcie czapek z głów. Tylko jeden, którego później spotkałem we Włoszech, mnie rozpoznał. Powiedział, że byłem wtedy bardzo błady! Nie spotkaliśmy natomiast ani jednego prawdziwego SS-mana, mimo że nasza droga prowadziła obok stołówki dla nich. Odległość, którą musieliśmy przebyć między magazynem a placem zbiórki, wynosiła jakieś 700-800 m. Janek, którego wysłano na rozpoznanie

przyczyn naszego spóźnienia, widząc nas maszerujących zawrócił i dołączył do reszty szklarzy. Wreszcie i my do nich doszliśmy, wydaliśmy polecenia podjęcia narzędzi oraz nosideł ze szkłem okiennym i pomaszerowania przed nami.

Każda grupa, która szła do pracy poza wielki łańcuch obozowych drutów i posterunków strażniczych, oczywiście pod strażą SS-manów, musiała przechodzić przez jedną z bram, wyznaczoną specjalnie do kontroli przepustek. My jednak nie mieliśmy przepustek we właściwym kolorze. Ryzyko było duże, wszak nie trudno byłoby odróżnić kolor jasnozielony od jasnoniebieskiego! Podjęliśmy błyskawicznie decyzję by nie wychodzić przez właściwą bramę i skorzystać ze skrótu, który umożliwiłby nam łatwe dojście do budynku, w którym miano szklić szyby. Wiedzieliśmy, że to skrótowe przejście - w zasadzie przeznaczone dla SS-manów - było często używane przez oddziały udające się do pracy poza teren obozu. I to przejście było także pilnie strzeżone. Zbliżając się doń zauważyliśmy, że służbę pełni tam właśnie Bruno Gray, z pochodzenia Polak, należący do polskiej mniejszości narodowej w Rzeszy przedwojennej. Ścieżka prowadząca przez to przejście do budowanego pomieszczenia prowadziła pod wysoką wieżą strażniczą, na szczycie której stał SS-man uzbrojony w karabin maszynowy. Bruno dał nam znak zezwalający na przejście, a my - jak prawdziwi SS-mani - zaczęliśmy pędzić naszych szklarzy: "Prędzej, prędzej!" Strażnik SS-man - widząc nasze dystynkcje zasałutował krzyżąc głośno: "Heil Hitler!". Odpowiedzieliśmy: "Heil Hitler!" i dodaliśmy coś w rodzaju "Ale ładna pogoda..." - bo rzeczywiście była piękna, a strażnik grzecznie odpowiedział coś w podobnym sensie. Nie sprawdzał nas. Prawdopodobnie nie miał śmiałości. Ze zrozumiałych względów przechodziliśmy pod tą wieżą ze strażnikiem uzbrojonym w broń maszynową w wielkim napięciu.

Nie wiedzieliśmy jednak, że najbardziej niebezpieczny moment miał dopiero nadejść. Gdy wkroczyliśmy na główną drogę prowadzącą z Oświęcimia (miasta) w kierunku południowym ku górom Beskidu Zachodniego (bo w tym kierunku znajdował się dom, w którym niby to mieliśmy pracować), ujrzeliśmy podoficera SS na rowerze, z takimi samymi dystynkcjami jak nasze i z napisem "Streife" na ramieniu. Był to jednoosobowy, wędrowny patrol SS, który miał rozkaz sprawdzać wszystkie grupy więźniów pracujące poza zasięgiem obozowych strażnic. Znajdował się kilkadziesiąt metrów przed nami i jak gdyby zastanawiał się, czy poczekać i nas sprawdzić, czy też jechać tam dokąd zmierzał. Już się prawie zatrzymał, obrócił głowę w naszą stronę, zdawało się, że będzie czekał na nas, ale jednak rozmyślił się i pojechał swoją drogą. Zanim jednak to się stało, my rozmawiając szeptem, zdecydowaliśmy, że gdyby zaczął nas sprawdzać, to go albo zabijemy, albo porwiemy z sobą i nie puścimy, aż się poczujemy całkowicie bezpieczni. Jednak odetchnęliśmy z ulgą, gdy odjechał w swoją stronę! Następny wstrząs - może już nie tak silny - przeżyliśmy, gdy zobaczyliśmy całą kompanię SS-manów, którzy szli na strzelnicę. Przeszli kilka minut przed nami. Nie miało to jednak żadnego wpływu na przebieg naszej ucieczki. Szczęście nam sprzyjało!

Po przekroczeniu głównej drogi wiodącej na południe, dotarliśmy do niewykończonego budynku. Skryliśmy się za tą budowlą, gdzie był teren pokryty rzadkimi krzakami. Rozejrzeliśmy się dokoła, a ponieważ nie było nikogo, zaczęliśmy zmierzać - tak jak to było ustalone - w kierunku rzeki Soły. Roślinność była tam już gęstsza i nasi szklarze mogli porzucić w krzakach swoje szyby i narzędzia. Przeszliśmy kilkaset metrów na południe po zachodnim brzegu rzeki, a następnie weszliśmy do wody i wędrowaliśmy jej nurtem dalsze sto czy dwieście metrów. Ta kąpiel była konieczna, bowiem w ten sposób niszczyliśmy ślady zapachowe, uniemożliwiające wytopienie nas przez psy gończe, gdyby zostały użyte do pościgu. Na szczęście poziom wody w Sole o tej porze roku nie był wysoki. Wreszcie przebrnęliśmy przez rzekę na jej wschodni brzeg i dalej szliśmy na południe ścieżką obok rzeki, ponieważ w tym kierunku spodziewaliśmy się spotkać ludzi z A.K., którzy mieli nam udzielić pomocy. Szliśmy szybko, wciąż w tym zamym ordynku: najpierw "więźniowie", a za nimi "SS-mani". Ujrzeliśmy wreszcie dwoje młodych ludzi leżących na trawie ale nie słyszeliśmy, by gwizdali melodię kołedy. Minęliśmy ich tedy, ale oni natychmiast poszli za nami i ... usłyszeliśmy nieudane próby zagwizdania czegoś. Wtedy Alfons się obrócił i zapytał - oczywiście po polsku: "Co pan usiłuje zagwizdać?" - "Przybieżeli do Betlejem pasterze" - odpowiedział młody człowiek. "No to pan jest tym, na kogo czekamy!" - zakrzyknął Alfons. Ten młody człowiek to był Marian Mydlarz - pseudonim "Krzywonos", natomiast dziewczyna to Zosia Gabryś - pseudonim "Wera", a oboje należeli do oddziału A.K. noszącego nazwę "Sosenka". Dowódcą tego oddziału był Jan Wawrzynek, przedwojenny oficer zawodowy Wojska Polskiego w randze porucznika. Nasi opiekunowie poprowadzili nas jeszcze trochę dalej w kierunku południowym, umieścili pomiędzy dość rzadkimi krzakami i kazali czekać do zmierzchu, kiedy to ma nas stąd zabrać dowódca oddziału "Sosenka", i odeszli, zostawiając nas samych. Podczas tego oczekiwania wśród krzaków słyszeliśmy odgłosy obozowych syren, co oznaczało, że nasze zniknięcie zostało odkryte i że poszukiwania się rozpoczęły. Byliśmy jednak w odległości ok. 10 km od obozu, a wieczór zapadł niebawem.

Gdy się ściemniło przyszedł dowódca "Sosenki", dał nam trzy ręczne granaty i dwa pistolety, a kiedy już zrobiło się całkiem ciemno, kazał iść za sobą. Po jakimś czasie doszliśmy do wieśniaczej zagrody, gdzie spotkaliśmy naszą łączniczkę z partyzantki, Zosię Zdrowiak. Tam mogliśmy też zrzucić nasze SS-mańskie mundury czy obozowe odzienie i przebraliśmy się w przygotowane dla nas, zwykłe ubrania, bardzo skromne zresztą. Obozowe łachy zostały natychmiast spalone, natomiast mundury SS dobrze schowane, bo mogły się przydać przy innej okazji. Gospodyni tego domu i tej zagrody, Helena Jedlińska, poczęstowała nas zupą, a na cześć naszej ucieczki wypiliśmy wszyscy po kieliszku wódki. Po krótkim odpoczynku nasz przewodnik "Krzywonos" poprowadził nas przez pola rozciągające się za wioską ku góróm. Szliśmy przez całą noc. Rankiem doszliśmy do podnóża gór i tam spotkaliśmy partyzancki patrol. Stanowili go dwaj wcześniejsi uciekinierzy z obozu Auschwitz: Henryk Kwiatkowski, o którym już wspominałem wcześniej i Stanisław

Furdyka. Dowódcą zaś oddziału partyzanckiego, działającego na terenie Beskidu Żywieckiego, był Józef Barcikowski "Chiromanta", także były więzień obozu. W ogóle na 100 partyzantów należących do tego oddziału było ok. 20 uciekinierów z obozu Auschwitz.

Trzeba tu powiedzieć, że w ciągu niemal pięcioletniego istnienia obozu Auschwitz w Oświęcimiu usiłowało zeń uciec 667 więźniów. 270 spośród nich schwytano i prawie wszyscy oni (z wyjątkiem Niemców) zostali straceni. Zatem reszcie, to jest 397 więźniom ucieczka musiała się udać. Jednak ich dalsze losy - z wyjątkiem kilku - są bardzo mało znane.

Wracam do naszych własnych losów. Wkrótce po spotkaniu wspomnianego patrolu doszliśmy do głównego obozu partyzanckiego. Tam zostaliśmy przesłuchani, a następnie wyposażeni w broń. Ci zaś, którzy nigdy nie służyli w wojsku, zostali pouczeni jak mają się tą bronią posługiwać. Byliśmy teraz naprawdę wolni i mogliśmy bronić się sami. Byliśmy też gotowi do walki z Niemcami, aby pomścić miliony niewinnych ofiar, aby zapłacić za bezprzykładne okrucieństwo i skrajną niesprawiedliwość, jakie musieliśmy od nich wycierpieć.



Furdyka. Dowódcą zaś oddziału partyzanckiego, działającego na terenie Beskidu Żywieckiego, był Józef Barcikowski "Chiromanta", także były więzień obozu. W ogóle na 100 partyzantów należących do tego oddziału było ok. 20 uciekinierów z obozu Auschwitz.

Trzeba tu powiedzieć, że w ciągu niemal pięcioletniego istnienia obozu Auschwitz w Oświęcimiu udało się uciec 667 więźniów. 270 spośród nich schwytano i prawie wszyscy oni (z wyjątkiem Niemców) zostali straceni. Zatem reszcie, to jest 397 więźniom ucieczka musiała się udać. Jednak ich dalsze losy - z wyjątkiem kilku - są bardzo mało znane.

Wracam do naszych własnych losów. Wkrótce po spotkaniu wspomnianego patrolu doszliśmy do głównego obozu partyzanckiego. Tam zostaliśmy przesłuchani, a następnie wyposażeni w broń. Ci zaś, którzy nigdy nie służyli w wojsku, zostali pouczeni jak mają się tą bronią posługiwać. Byliśmy teraz naprawdę wolni i mogliśmy bronić się sami. Byliśmy też gotowi do walki z Niemcami, aby pomścić miliony niewinnych ofiar, aby zapłacić za bezprzykładne okrucieństwo i skrajną niesprawiedliwość, jakie musieliśmy od nich wycierpieć.



IX. PARTYZANTKA

Życie w partyzantce to oczywiście także nie było życie łatwe! Wymagało skrajnie ciężkiego znoju, a poza tym groziło w każdej chwili śmiercią, albo dostaniem się do niewoli. Nasz oddział przynależał do 85 Obwodu Armii Krajowej o pseudonimie "Bagno", a jego terenem operacyjnym był Beskid Zachodni, tj. tereny wokół Żywca, Andrychowa, Kęt i Oświęcimia. Były to obszary bezpośrednio włączone przez okupanta do Rzeszy, co czyniło nasze zadania i działania jeszcze trudniejszymi. Przed wojną były to tereny rdzennie polskie, nie posiadające mniejszości niemieckiej, jednak w ciągu okupacyjnych lat władze niemieckie wysiedlały ludność polską, a odebrane Polakom domy i posiadłości oddawały Niemcom sprowadzanym z Rumunii, okupowanych terenów ówczesnego Związku Radzieckiego, czy z innych krajów. W pierwszej kolejności konfiskacie podlegały fabryki, warsztaty, większe majątki ziemskie i lepsze gospodarstwa chłopskie, które oddawano niemieckim rodzinom, oczywiście po wyrzuceniu z nich prawowitych polskich właścicieli. Zatem naszym głównym zadaniem bojowym na tym obszarze było przekonywanie - za pomocą środków stosowanych w czasie wojny - niemieckich osadników, że przywłaszczyli sobie cudzą własność. Nasze marzenia i ambicje szły dalej: Bardzo chcieliśmy oswobodzić więźniów obozu Auschwitz, jednak zdawaliśmy sobie sprawę, że nasze niezbyt liczne i niedostatecznie wyposażone oddziały nie są w stanie stawić czoła tysiącom doskonale uzbrojonych SS-manów, którzy strzegli obozu. Zrezygnowaliśmy więc z tych nierealnych planów i skoncentrowaliśmy się na przedsięwzięciach, które siały strach wśród niemieckich osadników i okupacyjnych funkcjonariuszy państwowych. Czyniliśmy to z dobrym skutkiem, bowiem na drogach pojawiły się tablice z niemieckimi napisami ostrzegające, że w najbliższym sąsiedztwie znajdują się "bandyci" - jak nas nazywano. O to nam właśnie chodziło! Było to więc przede wszystkim działanie psychologiczne. Prawie nikogo nie zabiliśmy, ponieważ baliśmy się odwetu na polskiej ludności, która tu była wciąż liczna, natomiast staraliśmy się napędzić Niemcom jak najwięcej strachu. Akcje odbywały się wyłącznie nocą i to w małych grupach - najwyżej czterech czy pięciu partyzantów.

Jak już wspominałem, w naszym oddziale było około stu mężczyzn, z tego mniej więcej jedną piątą stanowili byli więźniowie obozu Auschwitz. Reszta - to byli ludzie, którzy dotarli do oddziału partyzanckiego bardzo różnymi życiowymi drogami, a nawet różnili się narodowością. Mieliśmy Polaków, których po zmuszeniu do przyjęcia obywatelstwa niemieckiego wcielono do armii niemieckiej, a którzy później stamtąd uciekli. Jeden z nich przybył nawet razem z najnowocześniejszym karabinem maszynowym! Było także w naszym oddziale dziesięciu Rosjan. Trzech z nich to żołnierze radzieccy, których zrzucono z samolotów na spadochronach poza linią frontu, by tam, na tyłach niemieckich wojsk, prowadzili akcję sabotażową. Rosjanie - tak jak i większość z

nas - byli ubrani po cywilnemu, ale ci trzej - czemu się trochę dziwiliśmy - nosili mundury marynarskie: granatowe płaszcze i czapki, czarne, wysokie buty i mieli broń maszynową. Czy prowadzili na własną rękę akcję sabotażową - tego nie wiem, w każdym razie wyglądali na bardzo zadowolonych z tego, że mogli się przyłączyć do naszego oddziału. Byli również wśród Rosjan uciekinierzy z obozów jenieckich czy pracy przymusowej. Był także radziecki oficer-pilot, strącony nad terytorium okupowanym przez Niemców, a także - funkcjonariusz NKWD (późniejsze KGB) w cywilnym ubraniu. Inni Rosjanie, którzy się go panicznie bali, ostrzegali nas przed nim. Jednak większość naszego oddziału stanowili oczywiście Polacy, przeważnie młodzi ludzie, którzy uciekli do nas przed aresztowaniem przez Gestapo albo przed wywiezieniem na przymusowe roboty w głąb Niemiec. Mieliśmy także kilku wspaniałych przewodników spośród miejscowych górali. Do dziś dnia jestem pełen podziwu dla ich nadzwyczajnych umiejętności odnajdywania właściwej drogi w ciemnościach nocnych wśród górskich bezdroży i w leśnych gęstwinach. Jak już wspominałem, dowódcą naszego oddziału był Józef Barcikowski, były więzień obozu Auschwitz nr 66 750. Przed wojną był oficerem Wojska Polskiego w randze porucznika, a nosił partyzancki pseudonim "Chiromanta". Znałem go trochę jeszcze z Warszawy a później dobrze z obozu. Natomiast wraz z innymi oddziałami stanowiliśmy większą jednostkę Armii Krajowej o kryptonimie "Garbnik", dowódcą którego był porucznik Czesław Świątecki - "Surma".

Codziennie dni partzanta nie były łatwe. Byliśmy bardzo lekko odziani, a wkrótce po naszym przybyciu do oddziału pogoda się zmieniła - była przecież jesień - nastąpiły chłody i deszcze, więc zaczęliśmy bardzo dotkliwie odczuwać niedogodności życia w wysokogórskich lasach. Nie było w naszym obozie szałasów ani ziemianek, przebywaliśmy więc dzień i noc pod odkrytym niebem. Spaliśmy na gołej ziemi, bez koców, blisko siebie, by się wzajemnie ogrzewać. Dzień i noc nosiliśmy to samo odzienie. Wiele razy leżeliśmy w kałużach wody albo też budziliśmy się przykryci grubym kozuchem śniegu. Wędrowaliśmy przeważnie nocą. Musieliśmy w czasie marszu nieść nie tylko broń maszynową, ręczną, granaty itd., ale także amunicję, garnki do gotowania i w ogóle całe wyposażenie. Na stromych, górskich zboczach, w środku nocy, często ślizgaliśmy się, upadaliśmy albo też pozostawaliśmy w tyle, gubiąc nasz oddział. Oczywiście w takich przypadkach przewodnik wracał po zagubionych i przyprowadzał ich z powrotem do oddziału.

Broń i amunicję dostarczano nam z Anglii drogą zrzutów z samolotów. Armia Krajowa - jak wiadomo - podlegała legalnemu polskiemu rządowi emigracyjnemu w Londynie, a ten zawarł odpowiednie umowy z władzami brytyjskimi. Samoloty - zazwyczaj z polską załogą - przylatywały nad wyznaczone terytorium i zrzucały tam wszelkie wojskowe zaopatrzenie, które następnie zbierano i rozdzielano pomiędzy poszczególne oddziały. Datę, godzinę i miejsce takiego zrzutu przekazywano z Londynu przez radio - oczywiście w zaszyfrowanej formie. Czym i jak się żywiliśmy? Przede wszystkim rekwirowaliśmy żywność w majątkach ziemskich i dużych gospo-

darstwach, które - po wysiedleniu Polaków - władze okupacyjne oddały Niemcom a także zabieraliśmy ją z niemieckich magazynów. Gdy zabraliśmy krowę, świnie, czy też mąkę albo cukier z magazynu - wydawaliśmy pokwitowanie. W razie konieczności musieliśmy zwracać się z prośbą o żywność do polskich chłopów, ale im płaciliśmy, a pieniądze na to otrzymywaliśmy z Londynu. Mimo to - często byliśmy głodni, a gorące posiłki były wielką rzadkością.

Kiedy zaczynała się prawdziwa zima, stawało się coraz chłodniej, a śnieg był coraz gębszy, zaczęliśmy poszukiwać schronienia bardziej stosownego niż baldachim stworzony przez korony drzew. Udało nam się znaleźć niezajęty myśliwski domek, w niższych partiach gór, nad strumieniem i - postanowiliśmy przemienić go na naszą "stałą" siedzibę. Najpierw zbudowaliśmy, z drewnianych kłód, małą wieżę strażniczą, a następnie wykopaliśmy tunel, który łączył brzeg strumienia z piwnicą wspomnianego domku. Mieliśmy zatem mieszkanie tak komfortowe, o jakim - w naszych ówczesnych warunkach - nawet, zdawałoby się, śnić nie mogliśmy! Jednakże był to niezbyt wielki dom, jak na tak liczną grupę ludzi. Żyliśmy tam więc w wielkim ścisku. Było wprawdzie ciepło i zacisznie, ale i duchota panowała niewyobrażalna! Myć i golić się musieliśmy w strumieniu - po przełamaniu lodu, który go pokrywał. Mogliśmy także - nocą - gotować sobie i przynajmniej od czasu do czasu nacieszyć się ciepłą strawą. Ja jednak - wraz z kilkoma kolegami - byłem często wysyłany do wykonywania różnych zadań. Schodziliśmy więc z gór na niziny i wędrowaliśmy nocą od jednego zaprzyjaźnionego domu polskiego do drugiego, często podchodząc aż pod sam Oświęcim, w bliskie sąsiedztwo obozu Auschwitz.

Pamiętam jeden przypadek, kiedy to dwóm moim kolegom udało się oswobodzić dwóch więźniów obozu Auschwitz - ich kolegów - podczas przewożenia przez tych ostatnich żywności z głównego obozu w Oświęcimiu do podobozu w wiosce Budy. Jechali wozem konnym, a byli pilnowani przez dwóch esesmanów. Bohaterami tej akcji byli: Antoni Wykręt - były więzień nr 618, który w partyzantce przyjął pseudonim "Kirgiz" (podczas służby w polskim Drugim Korpusie we Włoszech zmienił swoje nazwisko na Andrzejewski, a teraz mieszka gdzieś we Włoszech) oraz Stanisław Furdyna (także uciekinier z obozu Auschwitz, nr 193), który w naszym oddziale posługiwał się pseudonimem "Śmiech". Nawiązali oni przez sekretne linie akowskie kontakt ze swoimi kolegami, pozostającymi wciąż w obozie - Stanisławem Zygułą (więzień nr 682) i Marianem Szajerem (nr 17036). Chodziło oczywiście o uwolnienie Zyguły i Szajera. Pracowali oni obaj w tzw. "Tierpflegerkommando", to znaczy w grupie, która zajmowała się obsługą zwierząt, więc ustalono, że zostaną porwani w czasie przewożenia żywności między obozem głównym a podobozem w Budach. Kiedy wszystkie terminy i okoliczności zostały ustalone, Antek i Stach, obaj w mundurach SS i z odpowiednimi fałszywymi dokumentami, zaczęli się obok drogi, którą musieli przejeżdżać więźniowie wraz z eskortującymi ich SS-manami. Gdy ujrzeli zbliżający się wóz, wybiegli mu naprzeciw głośno wołając, że prawie cały dzień szukają tych oto więźniów, których mają dostarczyć do obozowej komórki Gestapo. Uwiarygodnili sprawę okazaniem

falszywych dokumentów, więc SS-mani z eskorty bez wahania przekazali im więźniów, zadowolając się pokwitowaniem, które Stach wystawił podpisując się: "Hauptscharführer Kirchner", bo taki podoficer rzeczywiście pracował w obozowym Gestapo. W ten sposób Zyguła i Szajer zostali uwolnieni, chociaż wolność dla Mariana Szajera nie trwała długo.

1 grudnia 1944 r. Alfons Szumski i ja zeszliśmy z gór i udaliśmy się do bezpiecznego domu Zdrowiaków we wsi Brzeszcze-Bór. Wcześniej znaleźli się tam Stanisław Furdyna, Antoni Wykręt, Marian Szajer i Stanisław Kwiatkowski. Furdyna oczekiwał na kontakt z pewnym SS-manem, Ślązakiem z pochodzenia, którego znał z obozu i któremu nieopatrznie zaufał. SS-man ów obiecał dostarczyć mu broń automatyczną. Była to jednak zasadzka! Na szczęście dla mnie i dla Alfonsa Stach Furdyna poradził nam, byśmy wracali do obozu, bo dom Zdrowiaków jest załoczony a my i tak nie znamy tego SS-mana, który miał dostarczyć broń. Tak więc 2 grudnia wróciliśmy do naszego oddziału. Mieliśmy wielkie szczęście, bowiem 3-go tegoż miesiąca dom został otoczony przez silnie uzbrojoną kompanię SS. W czasie krótkiej bitwy zginęli Stach Furdyna, Marian Szajer i Stanisław Kwiatkowski. Antoni Wykręt skrył się w piwnicy, jednak został tam oczywiście odkryty i rozpoznany jako więzień obozu Auschwitz. Związano mu ręce, wrzucono go na ciężarówkę i pod silną strażą wieziono do obozu. Udało mu się jednak uwolnić ręce i całkowicie zaskoczyć strażników skokiem - na łeb na szyję - z tyłu jadącej ciężarówki. W czasie owego skoku poranił sobie twarz, złamał ramię (obojczyk), ale nie bacząc na to poderwał się do biegu i pędził tak szybko jak tylko mógł. Na szczęście było już ciemno i SS-mani zrezygnowali z pościgu. Udało mu się dotrzeć do życzliwego nam domu rodziny Niklów w Świdzinie. Otrzymał tam pomoc lekarską i po kilku dniach mogliśmy go już z Alfonsem przewieźć w całkowicie bezpieczne miejsce - niedaleko naszej górskiej kwatery. Był bardzo szczęśliwy. My też, bo przecież udało się nam opuścić zagrożony dom na kilkanaście godzin przed śmiertelnym niebezpieczeństwem!

Wiele razy spotykaliśmy różnego rodzaju pułapki i zasadzki, które Niemcy zastawiali na nas, ale jedna z nich szczególnie utkwiała w mojej pamięci. Byliśmy w czwórkę wysłani do wypełnienia jakiegoś zadania, a ja byłem dowódcą. Kiedy wykonaliśmy to, po co nas wysłano, była już głęboka noc. Do naszego obozu było bardzo daleko, a my byliśmy bardzo zmęczeni, wręcz wyczerpani. Była zima, grudzień, na ziemi leżała gruba warstwa śniegu bardzo utrudniająca pieszą wędrówkę. Postanowiliśmy przerwać nasz marsz i zorganizować jakąś podwodę. Wybraliśmy jedną z zagród po drodze zakładając, że gospodarzem jest Polak. Zaczęliśmy stukać do drzwi, następnie do okien i wreszcie jakiś głos odezwał się w środku - na szczęście po polsku. Poprosiliśmy o podwiezienie nas końmi, na co gospodarz - stosunkowo młody człowiek - od razu się zgodził. Ubrał się, poszedł do stajni, wyprowadził konie i zaprzągnął je do wiejskich, płaskich sań. Wsiadliśmy i kazaliśmy wielce uprzejmemu wieśniakowi by - unikając głównych dróg - zawiózł nas aż do podnóża gór. Siedząc na saniach okryliśmy kocami nie tylko siebie, ale i naszą broń maszynową, nasze steny.

Zbliżając się do gór musieliśmy jednak przejechać przez środek jakiejś wioski. Mimo nocnych ciemności widoczność - dzięki bieli śniegu - była nienajgorsza. Gdy już byliśmy w środku wsi, zauważyliśmy, że podwórza oraz dróżki dojazdowe do zagród - po obu stronach drogi - były wypełnione czołgami pułku SS, który widocznie tu kwaterował. Gdybym powiedział, że byliśmy przerażeni, to i tak powiedziałbym o wiele za mało! Jednak ponieważ byliśmy już w środku wioski, kazałem naszemu woźnicy kontynuować jazdę. Na szczęście nie było wystawionych wart, albo też może wartownicy się pospali, dość że przejechaliśmy spokojnie. Na końcu wioski droga skręcała ku szosie i właśnie wtedy, kiedy się do niej zbliżaliśmy, z przeciwnej strony niemiecka ciężarówka wojskowa zjeżdżała z szosy na tę naszą drogę. Droga w tym miejscu była dość wąska, więc ciężarówka musiała się zatrzymać. Wsiadł z niej SS -Hauptscharführer (starszy sierżant) z wyraźnym zamiarem zwymyślenia nas - co najmniej. Gdy jednak zobaczył pięciu młodych mężczyzn siedzących na saniach - zmienił zamiar i nie wyrzekł ani słowa. Oczywiście domyślił się, że jesteśmy uzbrojeni i że łatwo mogliśmy go zabić. Po wjechaniu na szosę, która była pusta, niebawem dotarliśmy do podnóża gór, gdzie zsiadliśmy z sań, dziękując gorąco naszemu woźnicy za pomoc. Ruszył w powrotną drogę do domu, przed nami zaś była jeszcze długa górską ścieżka, po której wspinaliśmy się do miejsca zakwaterowania naszego oddziału.

Niebawem, na początku stycznia 1945 r., nasz oddział znalazł się na ziemi niczyjej pomiędzy wojskami niemieckimi a radzieckimi. Następnie - gdzieś po połowie stycznia - przyszli Rosjanie. Wiedzieliśmy, co sądzić o "wyzwolicielach", więc rozwiązaliśmy nasz oddział i każdy partyzant udał się do domu, czy też tam, gdzie mógł znaleźć jakieś schronienie. Ja wraz z moimi obozowymi kolegami wróciłem do Oświęcimia, gdzie zarejestrowaliśmy się jako byli więźniowie obozu Auschwitz i otrzymaliśmy dokumenty potwierdzające ten fakt. Widząc zaś, że dokonana się tylko zamiana jednej brutalnej okupacji na inną, opuściłem - wraz z kilkoma kolegami - Polskę. Nie obyło się to bez dalszych dramatycznych, chociaż już nie tak tragicznych, przygód. Jednak to już zupełnie inna historia.

Przypomnienie i spisywanie wojennych doświadczeń, a szczególnie moich przeżyć z obozu Auschwitz w Oświęcimiu, było zadaniem trudnym i bolesnym. Zadane dawno temu ciężkie urazy psychiczne niejako odnawiały się w czasie pisania o nich. Jednakże, przynaglany przez moich amerykańskich przyjaciół, zgodziłem się, chociaż z trudem, spisać niektóre z moich wojennych i obozowych przeżyć. Uczyniłem to w przekonaniu, że moje pisanie skłoni czytelnika do refleksji i - jako groźne ostrzeżenie - przyczyni się, choćby w minimalnym stopniu, do zapobieżenia możliwości powtórzenia się tego rodzaju powszechnej zagłady - holokaustu - kiedykolwiek w przyszłości.

Spis Treści

Wstęp	5
Świadek czasu nieludzkiego	5
I. Wybuch II Wojny Światowej	9
II. Jeniec wojenny	11
III. Pierwsze aresztowanie	13
IV. Generalna Gubernia	16
V. Drugie aresztowanie	20
VI. Więzienie na Pawiaku	21
VII. Obóz koncentracyjny Auschwitz w Oświęcimiu	24
VIII. Ucieczka z obozu Auschwitz	39
IX. Partyzantka	47

ROTARY CLUB
MEDFORD 1
OR-USA

„Jajko” oddziału Londyn Koła AK

Dzień 14 maja '95 był spotkaniem Akowców i sympatyków na dorocznym, tradycyjnym „Jajku” Oddziału Londyn AK, w Polskim Ośrodku Katolickim Putney. Prezes F. Paulińska przywitała licznie przybyłych uczestników uroczystości, po czym ks. dr J. Gula, kapitan AK, odmówił modlitwę. Po podzieleniu się jajkiem odśpiewaliśmy „Wesołym nam dzień dziś nastał”, przy akompaniamencie harmonii, na której grał p. A. Pajak. Przez mikrofon zapowiadał i inicjował śpiewy kol. A. Wilowski.

Urozmaiceniem herbatki był gość z Kraju, Akowiec z Grudziądza, kol. Zawacki, kuzyn słynnej koleżanki „Zo” Zawackiej z Torunia. Zaproszony do mikrofonu opowiedział o swojej ucieczce z obozu w Oświęcimiu.

Spotkanie uprzyjemniła loteria bogato zaopatrzona, która przysporzyła, jak zawsze, dużo

radości i emocji. Fanty były wartościowe. Zarząd Oddziału Londyn Koła AK dziękuje za nie laskawym ofiarodawcom. Dziękujemy także organizatorom spotkania za wprowadzenie serdecznej atmosfery i przygotowanie bufetu (ze wspaniałym tortem kol. W. Solińskiej). Za doskonałe ciasta własnego wypieku Bóg zapłać ofiarodawczyniom. Panom i Paniom dziękujemy za pomoc w roznoszeniu ciast i napojów, a potem w uporządkowaniu stołów. Nie sposób wymienić wszystkich nazwisk, chcemy wspomnieć, że nie mamy problemu z pomocą w pracy, gdyż coraz częściej włączają się do pomocy żony naszych kolegów. Tym razem żony braci Tutaków prześcigały się w pracy, za co im serdecznie dziękujemy.

Do miłego spotkania następnym razem!

Zarząd Oddziału Londyn
Koła AK

11/1

Do techniki - Zawacki - L. M. M. M.

NOWOŚCI

ROK ZAŁOŻENIA 1967

GRUDZIĄDZKIE

GAZETA POMORZA I KUJAW



8.09.98 ^{11/2}

WTOREK

CENA 70 groszy
NAKLAD 130 000

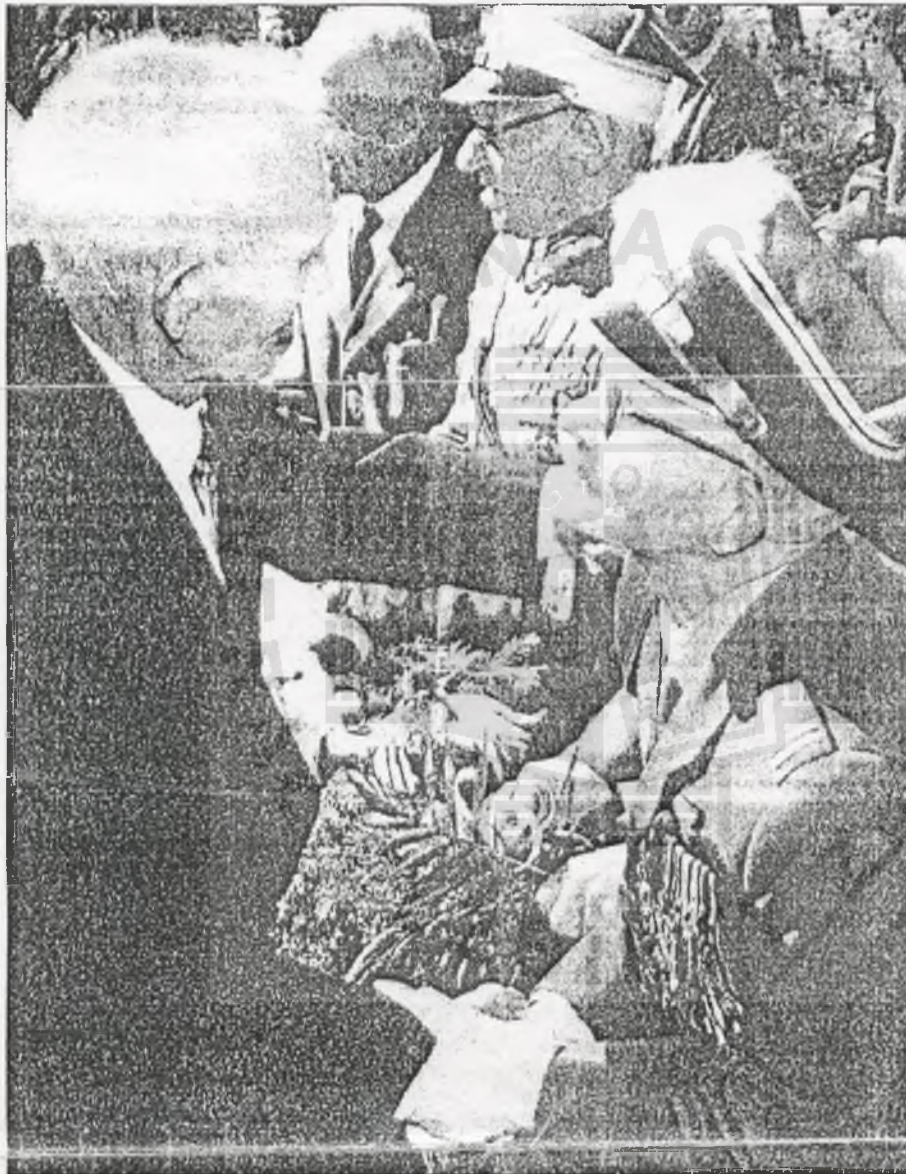
K.Mi.

Wpłynęło dnia 19.09

Ldz 873/1624.PP

www.nowosci.com.pl

ROK XXXI NR 210 (8604) [WI]



Serdeczny uścisk ulański

Fot. ROBERT C. OSSOWSKI

Pamięci ostatniej szarży „błękitnych ulańców”

Krojanty '98

Dwa dni trwały obchody 59. rocznicy szarży pod Krojantami. Do Grudziądza i w Bory Tucholskie przyjechali uczestnicy tamtych wydarzeń wraz z rodzinami i przyjaciółmi. Gośćmi honorowymi byli: jeden z dwóch dziś żyjących oficerów spod Krojant, dowódca II szwadronu 18 Pułku Ulańców Pomorskich, Honorowy Obywatel Grudziądza, rotmistrz major Jan Ladoś oraz pułkownik Roman Bąk Bąkowski, wychowanek majora.

Właśnie Janowi Ladosiowi, dziś 92-latkowi, który woli, by tytułować go rotmistrzem, tak jak w 1939 roku, meldowali się przybyli na uroczystość ulani z całego świata. Główna część obchodów odbywała się przy pomniku postawionym niedaleko miejsca potyczki, przy drodze Chojnice - Czarsk. W brzozowym lesie, pod obeliskiem, przed którym odbito ślady końskich kopyt, w taki sam słoneczny dzień, jak 59 lat temu, odbyła się msza w intencji poległych i żyjących bohaterów spod Krojant.

(Dokończenie na str. 16)



Cukier dla każdego konia z rotmistrzowskiej ręki

Fot. ROBERT C. OSSOWSKI

Krojanty '98

(Dokończenie ze str. 1)

Po mszy rotmistrz Ładoś przyjął meldunki przybyłych na uroczystości klubów jeździeckich z całej Polski. Żaden z koni nie odszedł sprzed pomnika bez kostki cukru podanej z rotmistrzowskiej ręki.

W drodze na pole bitwy ułani i goście zatrzymali się w Chojnicach, gdzie na cmentarzu znajduje się grób poległych pod Krojantami.

Szarża, która miała miejsce 1 września 1939 roku, przeszła do historii jako jedna z ostatnich szarż ułańskich, podczas której polscy kawalerzyści pokonali mających przewagę zbrojną Niemców.

- Pod Krojantami, wbrew uparcie kolportowanej opinii nie było czołgów, z boku polany stały opancerzone transportery, które narobiły nam najwięcej złego, bo miały za-

instalowane CKM-y - wspomina bohaterską bitwę rotmistrz Jan Ładoś. - Pod osłoną lasu podeszliśmy konno na tyły Niemców, którzy nacierali na nas z południa. Zaskoczyliśmy batalion piechoty osłaniany przez transportery. Wzgórze przeszliśmy galopem i runęliśmy cwałem na zupełnie zaskoczonych Niemców, którzy uciekali w panice. Transportery wycofały się, a my rznęliśmy uciekających w popłochu żołdaków niemieckich. Myśleli, że cała czteropulkowa brygada kawalerii na nich szarżuje, a nas było tymczasem 350 konnych - opowiada weteran.

Dalsze uroczystości miały miejsce w szkole podstawowej w Nowej Cerkwi, im. 18 Pułku Ułanów Pomorskich, gdzie zwiedzano izbę pamięci. Tu rotmistrz Ładoś zwrócił uwagę, iż proporzycyk pułku na lancy jest zbyt nie-

bieski, a powinien być błękitny. Od tego koloru wziął się przydomek grudziądzkich ułanów - „błękitni”. W izbie znajduje się też cykl obrazów Zygmunta Szycha, leśnika spod Łeby, przedstawiający różne epizody walki w pierwszym dniu wojny, w tym szarżę pod Krojantami.

Wczoraj rotmistrz Jan Ładoś i plk Roman Bąk Bąkowski spotkali się z uczniami Szkoły Podstawowej nr 20, która nosi imię 18 pułku Ułanów Pomorskich. Szczególne wrażenie na uczniach wywarł ubrany w mundur, w oficerkach, z szabelką i odznaczeniami plk Roman Marcelli Bąk Bąkowski. - To dzięki waszym ojcom, dziadkom i pradziadkom, którymi miałem zaszczyt dowodzić, wygraliśmy tę szarżę - powiedział uczniom rotmistrz.

IZABELA GAJEWSKA

II/13

verte

x) szkoła w dzielnicy Grudziądz, która otrzymała to imię, gdy ministrem Edukacji był syn naszego kolegi szkolnego z Grudziądz, dr. Mstolda Kuler.
x) Szarża z Gim. Mat. Pręps im. Pol. Chrobrego do której dołączył ze mną także Leonard Zawacki.

H. Mikulski

nie zapowiedziana wizyta obcego bardzo go zaskoczyła, przyjął uciekiniera do swego mieszkania.

Dusikowie ukrywali Jasińskiego prawie dwa tygodnie. Dopiero w pierwszych dniach lipca nadarzyła się okazja dołączenia Staszka do grupy łączników krakowskiej bojówki PPS.

Marsz pod opieką przez Zator i Chrzanów do granic Generalnej Guberni, a potem brzegiem Wisły do Krakowa trwał dwie noce. Jasiński, z odparzonymi i okrwawionymi stopami, dotarł w bezpieczne miejsce, to znaczy do mieszkania Józefa i Marii Wiśniewskich przy ul. Bocheńskiej.

Po kilkunastodniowym odpoczynku, zaopatrzone w dobrze podrobione dokumenty, odtransportowany został, zgodnie ze swoim życzeniem, do Warszawy.

Walczył później w powstaniu. Przeżył.

zob. książka „Ucieczki
oświęcimskie

Tomasz Sobaniski

teczka Leonard Zawacki

11/4

PRZYBIEŻELI DO BETLEJEM

Ryk oświęcimskiej syreny o nietypowej dla fajerantu porze stawiał zwykle w stan pogotowia całą załogę SS. Tak było również 28 września 1944 roku, około godziny piątej po południu, gdy zdyszany szef obozowych warsztatów, unterscharführer Schinner, zameldował w komendanturze o zniknięciu dwóch podległych mu więźniów — pisarzy z Bauleitung, biura budowlanego, oznaczonych numerami 14046 i 13390. Zarządzono natychmiastową zbiórkę wszystkich drużyn roboczych, przeliczono więźniów; w kierunku warsztatów pojechali na rowerach funkcjonariusze gestapo. Nim jednak zdążyli konkretnie ustalić, że uciekinierami, o których

meldował Schinner, są Polacy: Jan Prejzner i Leonard Zawadzki, wybuchła nowa bomba. Zniknęli jeszcze dwaj więźniowie: kapo szklarczy, stary oświęcimiak, noszący numer 2009, Tadeusz Donimirski, i jego podopieczny z numerem 59195, Waclaw Maliszewski. Wiadomość o tym wyprowadziła z równowagi dowództwo garnizonu SS. Wściekał się komendant Oświęcimia, Richard Baer, rzucił przekleństwa jego zasznik lagerführer Hössler, szalał wśród więźniów jeden z największych katów obozu, rapportführer Kaduk, nie pozostał w tyle arbeitsdienstführer Seel.

Grupy robocze zaczynały schodzić z miejsc pracy do obozu. Jednym z ostatnich komand było Bauleitung. Stało ono przy bramie wejściowej, gdzie zgromadziła się niemal cała esesmańska świta i przedstawiciele Politische Abteilung, w bardziej jednak uszczuplonym składzie, niż tego oczekiwano. Po dokładnym przeliczeniu więźniów okazało się, że drogę na wolność wybrali jeszcze: Tadeusz Zaboklicki, nazywany przez kolegów „Ghandim”, nr 21668, zatrudniony w stolarni, i Alfons Szumiński, nr 23483, prowadzący w Zimmerei pracownię rzeźbiarską.

Rachunek był więc prosty: w jednym dniu zbiegło sześciu więźniów. Wszystko wskazywało na znowę, na zorganizowaną i przemyślaną akcję, opartą na kontaktach z zewnątrz. Zgodnie z rozkazem szefa obozów koncentracyjnych i z regulaminem SS wszczęto energiczne poszukiwania. Do nagonki za zbiegami wprężnięto dodatkowo oddziały esesmańskie z Brzezinki, łącznie z Hundestaffel, dysponującą przeszkolonymi psami, telefonicznie powiadomiono okoliczne posterunki policji i żandarmerii.

W jaki sposób sześciu zbiegów opuściło teren obozu i co się potem z nimi stało?

Już latem 1941 roku sformowane zostało tzw. Schlakenkommando, grupa robocza więźniów wyjeżdżająca samochodem ciężarowym do Brzeszcz. Trwająca wiele tygodni praca przy kopalnianej hałdzie pozwoliła więźniom na nawiązanie pierwszych kontaktów z cywilną ludnością. Były to przeważnie kilkunastoletnie brzeszczańskie lub przecieszyńskie dziewczęta albo starsze kobiety, ryzykujące podrzucanie żywności, tytoniu, ewentualnie lekarstw. Niekiedy spadała na ich plecy kolba karabinu, ale nie zaprzestawały swych niebezpiecznych eskapad, a z biegiem czasu zaczęły nawet odbierać nielegalną korespondencję i przysyłać ją rodzinom więźniów. Przy takiej to właśnie okazji Jan Prejzner poznał piętnastoletnią Zofię Gawron, aresztowaną potem przez Wilhelma Bogera w jej domu w Brzeszczach, późniejszą więźniarkę Oświęcimia, Brzezinki i Ravensbrück.

Prawdopodobnie już wtedy, w 1941 roku, można było znaleźć sprzyjającą okazję do ucieczki, ale istniała odpowiedzialność zbiorowa i świadomość narażenia innych współwięźniów na niechybną śmierć nakazywała pozostać na miejscu i dzielić ich los.

Zgoła inne warunki nastąpiły po trzech latach. Jan Prejzner, pełniąc funkcję pisarza w warsztatach mógł stosunkowo łatwo poruszać się podczas pracy w obrębie wielkiego łańcucha straży. Gdy to było konieczne, wychodził również ze swym szefem Schinnerem lub z przydzielonym mu wachmanem w teren pozaobozowy, do Bierunia, Pław, Rajska, Brzeszcz, do Brzezinki i do Bud, gdzie np. miejscowy leśnik przygotowywał dla warsztatów obozowych wy-

brane uprzednio drzewo. Te nie budzące najmniejszych podejrzeń wycieczki, połączone z biegiem czasu z planowanymi spotkaniami (jeśli naturalnie pozwalały na to warunki terenowe, a esesman nie był zbyt wielkim służbistą i nie gardził prezentami), pomogły nawiązać łączność z wolnym światem.

Mieszkanca Bud-Boru, Zofia Zdrowak, przemycająca grypsy i żywność, pracowała w kręgu dużego łańcucha straży. Była sprzątaczką w baraku NSDAP, usytuowanym przy szosie wiodącej z obozu, wzdłuż Soły, ku miastu Oświęcim. Przy jej pomocy zdołano utworzyć stały, pewny i dobrze zakonspirowany kanał.

Początkowo łączność ze Zdrowakówną utrzymywał zaprzyjaźniony z Prejznerem Stanisław Furdyna, pracownik obozowego składu materiałów budowlanych, szykujący się wraz z czterema kolegami, Henrykiem Kwiatkowskim, Stanisławem Malińskim, Antonim Wykrętem i Stanisławem Zakrzewskim, do wyjścia za druty. Kiedy ucieczka wymienionych stała się 9 września faktem dokonanym, nić organizacyjną przejął Jan Prejzner.

Zofia Zdrowak tak potrafiła pokierować czyjąś ręką, że psuł się kran, przestawała działać uszkodzona instalacja elektryczna lub zaczął przeciekać dach z papy i któryś z więźniów-warsztatowców Bauleitung musiał usunąć usterkę. Z fachowcem instalatorem, dekarzem, czy też elektrykiem przychodził pisarz komanda, Jan Prejzner. Nic już wtedy nie stało na przeszkodzie, by wysłać ewentualnie odebrać pocztę adresowaną do lub od dowódcy podoświęcimskiego oddziału Armii Krajowej „Sosienki”.

Tą drogą uzgodniono sposób następnej po

Furdynie zbiorowej ucieczki więźniów, również przy użyciu mundurów SS.

Prejzner i jego koledzy, a było ich razem sześciu, postanowili zorganizować dwa mundury, co oznaczało możliwość wyprowadzenia z lagru czterech więźniów przez dwóch rzekomych esesmanów. Takie bowiem były proporcje: do czwórki więźniów przydzielano z reguły dwóch eskortujących, zaopatrzonych w odpowiednią przepustkę, której kolor zmieniany był każdego dnia.

Przyszli zbiegowie z góry wytypowali kandydatów do maskarady. Wybór padł na dobrze władających językiem niemieckim Leonarda Zawadzkiego i Alfonsa Szumińskiego. Pierwszy pochodził z Grudziądza, drugi z Bydgoszczy. Oni też otrzymali zadanie zorganizowania kolorowych przepustek z esesmańskiej drukarni. Tadeusz Donimirski i Wacław Maliszewski mieli przygotować narzędzia do szklenia okien i dwie skrzynki z szybami, słowem, upozorować pełną gotowości drużynę roboczą glaserów. Tadeusz Żaboklicki musiał zadbać o uzupełnienie umundurowania rzekomych esesmanów, a Janowi Prejznerowi przypadł w udziale obowiązek dostarczenia kolegom mundurów i utrzymania aż do dnia ucieczki stałego kontaktu z podobozowym oddziałem Armii Krajowej.

Dobry los zrzędził, że w połowie września samoloty alianckie uszkodziły barak NSDAP, w którym pracowała Zofia Zdrowak. Przez kilkanaście dni więźniowie, wśród nich także Jan Prejzner, naprawiali szkody. Była więc wspaniała okazja do codziennej wymiany listów z Janem Wawrzyczką, dowódcą „Sosienek”. Ustalono termin ucieczki na 28 września, sposób przejęcia grupy zbiegów i hasło: zagwizdanie na

nutę kolędy **Przybieżeli do Betlejem**. Akcja miała się rozpocząć przed zakończeniem przerwy obiadowej, około godziny pół do drugiej.

Największą trudność stanowiło zorganizowanie mundurów. Zdobył je w końcu Prejzner przy pomocy Feliksa Buczyńskiego z komanda dekarzy, który skontaktował go ze swym kolegą pracującym w SS-Unterkunft, magazynie odzieżowym.

Mundury ukryto w składzie drewna, tam też, korzystając z pomocy Wiesława Loeglera, Antoniego Rosy i Witolda Wierusza, można było naszyć dystynkcje, a w dniu ucieczki przebrać się i wyjść na miejsce zbiórki, wyznaczone przy drodze wiodącej obok kuchni SS w kierunku Rajską — Gärtnerei (ogrodnictwa). Mniej kłopotu, niż można było przypuszczać, sprawiło zdobycie pistoletowych kabur. Nie wiadomo, czy więźniowie z obozowej garbarni uwierzyli w bajeczkę, że kabury są potrzebne na prezent imieninowy dla szefa warsztatów, unterscharführera Alfreda Schinnera. W każdym razie zamówienie wykonali dość szybko i dostarczyli je na umówione miejsce, otrzymując wynagrodzenie w postaci kiełbasy.

Równie szczęśliwie pokonana została następna przeszkoda; kolorowe blankiety przepustek, uprawniających esesmanów do wyprowadzenia więźniów za teren obozu, znalazły się w rękach Zawadzkiego i Szumińskiego. Należało tylko zorientować się, jaki kolor przepustek wyznaczy w dniu ucieczki komendantura.

Inny rodzaj formularzy, wystawiany dodatkowo więźniom-warsztatowcom, udającym się do pracy zleconej, wypełniał sam Prejzner. Był przecież pisarzem Bauleitung. Podpisy swego

szefa i jego zastępcy potrafił wykaligrafować równie dobrze jak swój własny.

Przyszli uciekinierzy zdobyli też z apteki SS sporą porcję cyjanku potasu. W razie niepowodzenia mógł się przydać...

28 września o oznaczonej porze wszyscy uczestnicy ucieczki stawili się w punkcie zbornym, by pod eskortą współtowarzyszy wyruszyć w drogę do Rajską. Marsz grupki szklarzy nie zwracał młóczyjej uwagi, zwłaszcza że odbywał się w asyście strażników, a przy tym boczną drogą, wiodącą do zabudowań ogrodnictwa w Rajsku. Całe zresztą szczęście, gdyż w tym samym czasie głównym traktem przy rzece Sole maszerowała kompania esesmanów, podążająca widocznie do strzelnicy w pobliskich Wilczkowicach. Świadczyły o tym niesione przez hitlerowców tarcze i skrzynie z amunicją.

Nadchodził moment kulminacyjny: przejście linii posterunków nie przy szlabanie na głównej szosie, lecz w pobliżu ogrodów należących do obozowego gospodarstwa Rajsko.

Jeden z idących na przodzie więźniów zagadnął gromkim głosem stojącego wysoko na budce esesmana, czy przypomina sobie, jak byli razem na Aussenkommando, odkomenderowani do miejsca pracy położonego daleko od obozu. Nim pytający otrzymał odpowiedź, posypały się na niego słowa nagany, której udzieliła mu dwuosobowa eskorta. Ponieważ dosadne epitety połączone były ze szturchańcami, stojący na budce wartownik spojrzał tylko od niechcenia na blankiet przepustki i, ubawiony, nie interesował się dalszymi losami czterech szklarzy i ich opiekunów. Gdy zdawało się, że najgorsze mają już za sobą, w perspektywie ukazał się jadący na rowerze esesman, z bie-

lejącą na rękawie opaską, prawdopodobnie z napisem „Streife”. Taki emblemat upoważniał go, a nawet zobowiązywał do kontroli nie tylko więźniów, ale też esesmanów. Gdy napięcie osiągnęło zenit, kolarz skręcił w lewo, do bramy ogrodnictwa, i zniknął wśród krzewów.

Wtedy dopiero nerwy odmówiły posłuszeństwa i podjęcie z miejsca dalszego szybkiego marszu okazało się niemożliwe. Mała chwila wytchnienia, krótki odpoczynek wśród drzew, trwający może kilkadziesiąt sekund, były tym relaksem, który później pozwolił pokonać niebezpieczny, otwarty teren i zbliżyć się do wilkiny obrastającej brzeg Soły. Tam zbiegowie ukryli szklarski rynsztunek i wzięli kurs na południe, w kierunku wsi Skidzin.

Na przodzie szli odziani w mundury Zawadzki z Szumińskim, za nimi czterech ich towarzyszy. W pobliżu Skidzina trzeba było forsować niezbyt głęboką Solę. Prawy brzeg rzeki, niemal zupełnie łysy, pozbawiony drzew i krzewów, nie stanowił dogodnej trasy przemarszu, natomiast po przeciwległej stronie, tam gdzie mieli oczekiwać łącznicy, zbiegowie znaleźli naturalną osłonę. Żółtozielone krzaki i syjące jesiennym liściem drzewa wchłoneły sześć przemyskających się postaci.

Trzysta lub czterysta metrów przed mostem w Łękach Prejzner i jego towarzysze natknęli się na dwoje młodych ludzi. Przez moment nikt nie wyrzekł słowa. Dopiero po chwili chłopak zagwizdał, niby to oddalając się od napotkanych, melodię kolędy. Otrzymał odzew. Marian Mydlarz — „Krzywonos” i jego towarzysza Zofia Gabryś — „Wera” przywitali nowych kandydatów do oddziału „Sosienki”. O zmroku zaprowadzili byłych oświęcimiaków na kwaterę

41/18
w Łękach-Zasolu. W domu Heleny Jedlińskiej nastąpiło spotkanie zbiegów z Zofią Zdrowak i drugą łączniczką spod obozu, Bronisławą Dłuciak. Tam też Jan Prejzner i jego koledzy otrzymali cywilne ubrania, by po kilku dniach móc przedostać się do partyzantki. W góry prowadził ich początkowo Marian Mydlarz, a później Stanisław Furdyna i Henryk Kwiatkowski.

Dowódcą oddziału partyzanckiego w Beskidzie Żywieckim był Józef Barcikowski ps. „Chirromanta”, również oświęcimski uciekinier. W dowodzonym przez niego oddziale AK przebywało w listopadzie i grudniu 1944 roku około dwudziestu b. więźniów Oświęcimia i Brzezinki, którzy zbiegli z obozu.

1/19

ALMANACH GRUDZIĄDZKI

KLUB ABSOLWENTÓW
I UCZNIÓW SZKÓŁ ŚREDNICH GRUDZIĄDZA
Z LAT 1920-1956

JUBILEUSZ 20-LECIA DZIAŁALNOŚCI KLUBU
1974-1994 R.



LEONARD TEODOR ZAWACKI

por. w st. spocz., więzień Oświęcimia, partyzant A.K., oficer Drugiego Polskiego Korpusu w Italii. Obywatel USA.

Urodził się w Grudziądzu 20.01.1916 r. Ojciec był pracownikiem PKP. Bohaterska „ci-
chociemna”, kapit. A.K. pseudo „Zo” jest siostrą stryjeczną naszego bohatera.

Maturę zdał w r. 1937 w Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Grudziądzu. Rozpo-
czął studia w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie. W r. 1938/39 odbywa obowiązkową służbę wojskową. Kończy kurs podchorążych rez. w stopniu plutonowego podchor.
z przydziałem do 64 p.p. w Grudziądzu. Zgodnie z kartą mobilizacyjną miał się zgłosić do
Rembertowa, gdzie organizowano zmotoryzowane oddziały artylerii przeciwpancernej.
Mimo przeszkód, które spowodowały bombowce nieprzyjacielskie, dotarł do Warszawy,
by wziąć udział w szeregach jej obrońców. Po kapitulacji dostaje się do niewoli, ucieka
z transportu kolejowego w Toruniu do Grudziądza. Już w październiku został aresztowany
przez Gestapo, po kilku tygodniach po interwencji rodziny, został zwolniony i wysiedlony
do Generalnej Guberni. Tak znalazł się w Warszawie, gdzie spotkał kolegę z Grudziądza
Jana Cybulskiego, ściganego przez Gestapo. Obaj włączyli się do pracy organizacji za-
konnospirowanych, Na skutek jakiejś „wpadki” został aresztowany i uwięziony na Pawiaku
(1.XI.1939 r.) przez 5 miesięcy. W pierwszych dniach kwietnia 1940 r. wywieziono go do
Oświęcimia, gdzie przebywał przez okres ponad 42 miesięcy. Tu poznał piekło na ziemi,
jakie hitlerowcy przygotowali dla przeciwników Rzeszy. Leonard Zawacki z autopsji po-
znał całe okrucieństwo, bezwzględność, która panowała w tej „fabryce śmierci”, jaką był
obóz w Oświęcimiu.

Był świadkiem masowych egzekucji, był zmuszany do ciężkiej pracy fizycznej, cierpiął
głód, doświadczył wszystkiego złego za wyjątkiem śmierci, której cudem wielokrotnie
uniknął.

Dzięki pracy w stolarni poznał zabudowę obozu, następnie pracował jako siła pomocni-
cza w administracji, gdyż znał język niemiecki. To wszystko pozwoliło mu zrealizować
plan ucieczki z obozu. Co należy uznać za wyczyn godny stworzenia filmu na powyższy
temat. W dniu 28.09.1944 r. L. Zawacki z więźniem Alfonssem Szumińskim (z Bydgo-
szczy) przebrani w mundury SS udając strażników, wyprowadzili z obozu 4 więźniów
rzekomo do robót szklarskich. Ucieczka udała się i wszyscy uciekinierzy zostali przyjęci
do oddziału „Garbnik”, który należał do 85 Inspektoratu AK, działającego na Podbeski-
dziu.

Zawacki brał udział w wielu akcjach bojowych i został awansowany na stopień pro-
ruchnika. Po wkroczeniu Armii Czerwonej Oddział AK rozwiązał się, a ppor. Zawacki nie
powrócił do Grudziądza lecz udał się nielegalnie na zachód. Już 10.08.1945 r. znalazł się
w Monachium, następnie dociera do Drugiego Korpusu Polskiego w Italii, którego do-
wództwo znajdowało się w Porto San Giorgio. Tu został powołany do służby w Drugim
Korpusie. Prawie rok przebywał w stoniecznej Italii, pełniąc obowiązki służbowe jako ofi-
cer. W drugiej połowie 1946 r. Drugi Korpus ewakuowano do Anglii, gdzie ppor. Zawacki
został zdemobilizowany. Otrzymał stypendium i zaczął studia w School of Foreign Trade,
po ukończeniu którego rozpoczął pracę zarobkową. W roku 1951 korzystając z Uchwały
Kongresu USA składa jako b. żołnierz wniosek o prawo osiedlenia się. Wniosek został

zatwierdzony pomysłnie i w październiku odleciał samolotem do Nowego Jorku. Tu dzięki
pomocy przyjaciół, przeszedł ciężki okres adaptacji do nowych warunków. W końcu ze-
swoją małżonką Fredą osiedlili się w stanie Connecticut, gdzie wytrwała pracą zdobyła sta-
nowisko dyrektora oraz uznanego eksperta w dziedzinie reasekuracji.

Swoje przeżycia z lat okupacji opisał w książce p. t. „Wspomnienia wojenne
1939-1945” w języku angielskim. Powyższą książkę przełożył na język polski Stefan
Melkowski — Toruń 1993.

Państwo Zawaczy w r. 1985 po sprzedaniu posiadłości w Stanford osiedlili się w Ash
land w stanie Oregon, gdzie obecnie zamieszkują.

Osoba Leonarda Teodora Zawackiego zasługuje na włączenie go do „Panteonu” zasłu-
żonych Grudziądzan — Absolwentów Szkół Średnich Grudziądza z lat 1920-1939.

Czesław Opalko

11/12



1974 r. — 1994 r.



Z żałobnej karty

8 lipca 2001r. dotarła do Torunia i Grudziądza smutna wiadomość o śmierci w dalekim Oregonie Grudziądzanina Leonarda Teodora Zauackiego.

L. T. Zauacki był do tej pory jedynym, którego biogram znalazł się za życia w Roczniku Grudziądzkim, w rubryce Ludzie naszego regionu. Jest w gronie następujących osób: Mikołaj z Ryńska, Mikołaj Kopernik, Ludwik Rydygier, ks. Władysław Łęga, Wiktor Kułerski, Wojciech Łożyński, Stanisław Węcowski, Mieczysław Łyskowski, Bonifacy Łazarewicz, Stanisław Różanowicz, prof. inż. Alfons Hoffman, Władysława Staruszkiewicz, Jan Michal Rakowski, dr Jan Sujkowski, Henryk Gąsiorowski, dr med. Kazimierz sen. Marzinek, Zbigniew Kruszeński, Adam Karp - Woskowiak, Jan Balcer, Adam Wołnikowski, dr Leon Klemens Polewski, Julian Szcichowski, dr Salomea Sujkowska, prof. dr hab. Jerzy Danielewicz, inż. Józef Włodek.

Przedstawiony dobór osób na przesłrzeni 40 lat wydawania Rocznika Grudziądzkiego najlepiej świadczy o zasługach Zmarłego. Leonard T. Zauacki urodził się

Jak wynika ze „Wspomnień...”, Zmarły głęboko wterzył w Opactwo Boską. Dlatego też przypominając z Jego bogatego życiowego wydarzenie, które dla Niego samego posiadało ogromne znaczenie. Przebywał On w jednym bloku ze sw. o. Maksymilianem Marią Kolbe. Oto bezpośrednia relacja L. T. Zauackiego o niecodziennym apelu w Auschwitzu:

Podczas pełnego wteczornego apelu, latem 1941r., w którym oczywiście uczestniczyłem, okazało się, że poszukiwana zbiegłego więźnia były - na szczęście dla niego - bezowocne, że ucieczka udała się. W więzieniu, który mieszkał w tym samym bloku co i ja. Niestety Niemcy w tym właśnie czasie zaczęli stosować odpowiedzialność zbiorową i za ucieczkę więźnia i - w wypadku odhrycia takowej - wycierali od dziesięciu do dwudziestu innych więźniów z tego samego bloku i traktowali jako zakładników. Podczas tego właśnie przeżycia, wteczornego apelu szef obozu SS - Hauptsturmführer Fritsche przechadzał się pomiędzy rzędami, patrząc nam groźnie w oczy i wybierając spośród nas dziesięciu więźniów, jako zakładników, którzy mieli zostać zgładzeni w odwiec za tę ucieczkę. Mnie także - w przerażający sposób - spojrzat w oczy, zatrzymat się, ale nie wybrał i poszedł dalej.

Te straszne chwile będą pamiętat do końca życia. Wśród zakładników znalazł się Franciszek Gajowniczek, więzień nr 5659, zawodowy podoficer przedwojennego Wojska Polskiego. Był to człowiek żonaty i miał dwoje dzieci. Gdy został wybrany, zaczął płakać i głośno lamentować, że już nigdy nie zobaczy swojej rodziny. Wówczas uściqł Franciszkanin, ojciec Maksymilian Kolbe, więzień nr 16670 i poprosił szefa obozu o to, by mógł pójść na śmierć zamiast Gajowniczka. Było to wydarzenie zupełnie nieoczekiwane w obozie Auschwitz, gdzie każdy więzień walczył w sztywni środkami i sposobami o przedłużenie życia chociaż o miesiąc, chociaż o tydzień, chociaż o dzień. Zaskoczony Fritsche zgodził się i dziesięciu więźniów - wśród nich ojciec Kolbe - zaprowadzono do bloku II - „bloku śmierci”. Zostali tam wpełnięci do tzw. „stojącego bunkra” (Stehenbunker), który stanowiła cela o powierzchni metr na metr, około dwóch metrów wysoka, bez okien. Więźniów wiskano przez male drzwki pod podłogą. Mogł - ze względu na ciemność - tylko stać. Nie otrzymywali ani jedzenia ani picia. Pozostawiono ich tam aż do głodowej śmierci. Herotczna decyzja Franciszkanina z Niepokalanowa i jej następ-

stwa - uszytko to działo się o kilkanaście, może kilkadziesiąt metrów ode mnie, bo ojciec Kolbe mieszkał w tym bloku co ja, jednak nie widzialem tego w sposób bezpośredni, a może po prostu nie zauważyłem, gdyż każdy z nas myślał wtedy przede wszystkim o sobie. Jednak wkrótce dowiedziałem się o tym, bo nawet w obozie Auschwitz - w tej fabryce śmierci, gdzie życie ludzkie miało wartość barłki mydlanej - nie można było tego nie zauważyć. O ile wiem, była to jedyna tego rodzaju decyzja w całym ciągu przerażających dzieł obozu Auschwitz w Oświęcimiu. W 1922r. ojciec Maksymilian został kanonizowany - ogłoszony świętym przez Kościół katolicki.

Po obozowej gehemie i innych doświadczeniach wojennych Leonard T. Zauacki swoje życie zawodowe i w znacznym stopniu osobiste poświęcił ludzkom poszkodowanym przez los w czasie pokoju, pracując w touarzystwach ubezpieczeniowych.

Cześć Jego Pamięci

Koło Miłośników Dziełców Grudziądza

Polskie Towarzystwo Historyczne

Oddział w Grudziądzu

Państwo Krystyna i Stefan Melkowszczy z Torunia



Zawacki Leonard Teodor ps. „Zawieja”, „Laluś” (1916–2001), żołnierz ZWZ–AK, oficer II Polskiego Korpusu we Włoszech.

Urodzony 20 I 1916 w Grudziądzu; syn maszynisty kolejowego Teodora i Bronisławy z d. Behrendt; brat stryjeczny Elżbiety Zawackiej ps. „Zo”. W roku szkolnym 1938/1937 zdał maturę w Gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Grudziądzu i rozpoczął studia ekonomiczne w Szkole Głównej w Warszawie. W latach 1938–1939 odbył zasadniczą służbę wojskową i ukończył kurs podchorążych rezerwy w stop. plut. pchor. z przydziałem do 64 pp w Grudziądzu.

Zmobilizowany, został wysłany przez sztab 16. Pomorskiej Dywizji do pomocy w organizowaniu zmotoryzowanej jednostki artylerii przeciwlotniczej w Rembertowie pod Warszawą. Dnia 1 IX 1939 przez Działdowo, Brodnicę dotarł do Warszawy. Nie mógł utworzyć oddziału, ponieważ większość jednostek wyruszyła na front. Skierowany do Mińska Maz., walczył tu od 13 IX 1939. Jeniec wojenny, po kapitulacji Warszawy, przez obóz w okolicach Pruszkowa, transportem dotarł do Torunia, skąd zbiegł do Grudziądza. Tu zatrzymany przez SS-manów, uniknął jednak aresztowania. Pod koniec października 1939 został aresztowany przez Selbstschutz i jako zakładnik uwięziony w dawnej bursie (tzw. Internat Kresowy) w Grudziądzu. W 2. połowie listopada tr. został zwolniony dzięki pomocy Brunona Szymańskiego i staraniom rodziny. Otrzymał jednak nakaz opuszczenia Grudziądza i udania się do GG. Od grudnia przebywał w Warszawie, utrzymując się z drobnego handlu. Dzięki doskonałej znajomości j. niemieckiego został pomocnikiem niemieckiego prawnika, administratora budynków mieszkalnych skonfiskowanych Żydom. Do ZWZ został wprowadzony w maju 1940 przez Jana Cybulskiego, przybr. nazw. Stefan Przybylski, ukrywającego się w Warszawie członka grudziądzkiej organizacji konspiracyjnej „Rota”. Zaprzysiężony przez kpt. Wojciszewskiego, przyjął ps. „Zawieja”. Do jego zadań należało m.in. zbieranie broni z magazynów ukrytych na peryferiach Warszawy i przewożenie jej do schowków w centrum miasta. Został aresztowany w nocy z 31 X na 1 XI 1940 w mieszkaniu przy ul. Smulikowskiego 13. Podczas rewizji funkcjonariusze gestapo szukali broni i konspiracyjnych wydawnictw. Przewieziony zaraz na Pawiak, spotkał się ze Zdzisławem Zajączkowskim (z Grudziądza). Podczas przesłuchań w al. Szucha pytany był o kontakty z J. Cybulskim i Z. Zajączkowskim. Jako więzień polityczny przybył do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu 5 IV 1941 transportem z Warszawy (nr oboz. 13390) i przebywał tam do 28 IX 1944. Był świadkiem m.in. obozowego apelu, kiedy o. Maksymilian Kolbe zdecydował się na śmierć za Franciszka Gajowniczka. Należał do konspiracyjnej organizacji obozowej kierowanej przez Witolda Pileckiego, występującego w obozie pod na-

IV/15

zwiskiem Tomasz Serafiński. Pracę w stolarni, potem głównego pisarza warsztatów obozowych wykorzystał do zorganizowania udanej ucieczki z obozu. Zofia Zdrowak pośredniczyła w nawiązaniu kontaktu z dowódcą oddz. AK krypt. „Sosenki”. Dnia 28 IX 1944 wraz z Alfonsem Szumińskim (więzień, pochodził z Bydgoszczy), przebrani w mundury SS-manów wyprowadzili, do rzekomych prac szklarskich poza obozem, czterech więźniów (Tadeusza Donimirskiego, Wacława Maliszewskiego, Jana Prajsnera, Tadeusza Żaboklickiego). Łącznicy Zofia Gabrys ps. „Wera” i Marian Mydlarz ps. „Krzywonos” przerzucili zbiegów do podoświęcimskiego oddz. AK krypt. „Sosenka”, którym dowodził Jan Wawrzyczka, a stamtąd do oddz. part. „Garbnik”, gdzie dowódcą był Czesław Świątecki ps. „Surma”, a później Józef Barcikowski ps. „Chiromanta” (także zbieg z obozu w Oświęcimiu). Przyjął ps. „Laluś” i jako żołnierz oddz. „Garbnik”, Insp. 85 krypt. „Bagno” na Podbeskidziu brał udział w wielu akcjach bojowych, awansując na stop. ppor. na początku 1945. Po wkroczeniu ACz oddz. się rozwiązał, a L.Z. w związku z sytuacją polityczną w kraju 7 VII 1945 przekroczył nielegalnie granicę z Czechosłowacją. Przez Niemcy dotarł do Włoch i wstąpił do II Korpusu Polskiego gen. W. Andersa. Służył w Oddz. Informacji Wojskowej do ewakuacji Korpusu do Anglii w 2. połowie 1946. Został wówczas zdemobilizowany.

W obawie przed represjami nie powrócił do Polski. Ukończył studia ekonomiczne w London School of Foreign Trade. W Londynie też się ożenił. W 1951 jako były żołnierz złożył wniosek o prawo osiedlenia się w USA, korzystając z uchwały Kongresu. Początkowo zamieszkał w stanie Connecticut, potem w Oregonie. Pracował w bankowości, a następnie w reasekuracji. W 1984 przeszedł na emeryturę ze stanowiska wicedyrektora firmy reasekuracyjnej. Był zaangażowany w pracę polonijną i społeczną, m.in. w Klubie Rotary w Medford (Oregon). Kilkakrotnie odwiedził Polskę, a w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku był jednym z inicjatorów powołania Toruńskiego Klubu Rotariańskiego. W 1990 przekazał do zbiorów Fundacji „Archiwum Pomorskie Armii Krajowej” w Toruniu trzy mapy sytuacyjne obozu w Oświęcimiu i Brzezince z 1942 i 1944. Zabrał je z obozu, wracając pod koniec stycznia 1945 z oddz. part. Wspierał finansowo Miejską Bibliotekę w Grudziądzu. Przeżycia okupacyjne spisał w książce pt. *Wspomnienia wojenne (1939–1945)*, której polskie wydanie w przekładzie Stefana Melkowskiego ukazało się w 1993. Zmarł 8 VII 2001 w Ashland (Oregon). Urna z prochami spoczęła 23 VIII 2001 w grobowcu rodzinnym na cmentarzu parafii pw. Najświętszego Serca Jezusowego w Grudziądzu.

Odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP.

APAK, T.: Zawacki L. (biogram, Opałka Cz.); Melkowski S., *Rocznik Grudziądzki*, t. XI, Grudziądz 1994, s. 216–223; tenże, *Z żałobnej karty*, *Goniec Grudziądzki* 2001, nr 14; *Sł. konsp. pom...*, cz. 3, s. 49; Zawacki L., *Wspomnienia wojenne (1939–1945)*, Toruń 1993 (przekład Melkowskiego S.); Opałka Cz., *Almanach Grudziądzki z 1994* (biogram).

Słow. biogr. konspiracji

pomorskiej 1939–1945, Toruń 2004,

cz. 6

Izabela Chmielewska

197

III/3. Materiały dotyczące okupacji
- Zawacki Leonard Teodor:

1. Oboz koncentracyjny Oświęcim -
władze obozowe - lista sponędrono,
pras S. Zawackiego, rękop. ołówki +
kserokop.

k. z o. 1-4



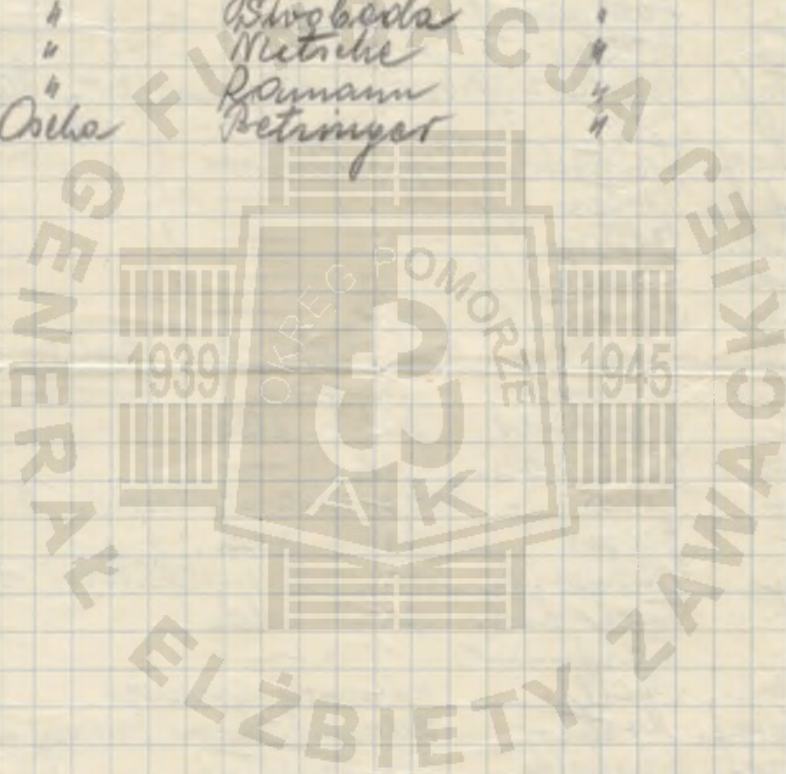
Obor koncentrationnyj Obozrenij

11/3/1

Wische oboroze

44	- Ostuf.	Jiz. komendant obozr / obozr /	1
44	- " -	Arbeiderschul - " -	2
44	- Stuf.	Beer - " -	3
44	- Stuf.	Frietch / Lagerführer / obozr /	1
44	- " -	Funzier / " -	2
44	- " -	Hoffmann / " -	3
44	- Ostuf.	Schüler / " -	4
44	- Stuf.	Schwarz / Arbeitsgemeinschaft / obozr /	1
44	- Ostuf.	Bell / " -	2
44	- Stuf.	Salituch / Reppertführer / " -	1
44	- Ostuf.	Friech / " -	2
44	- Ostuf.	Leitzing / " -	1
44	- Ostuf.	Kadock / " -	3
44	- Ostuf.	Stieritz / " -	1
44	- Ostuf.	Quabner / sect. obozr / polit. obozr /	1
44	- " -	Werner / " -	2
44	- Ostuf.	Kerschner / polit. obozr. /	
44	- Ostuf.	Lachmann / " -	
44	- Ostuf.	Fries / Arbeitsgemeinschaftführer. /	1
44	- " -	Bagget / polit. obozr. /	
44	- Ostuf.	Grimmerich / Arbeitsgemeinschaftführer /	1
44	- Ostuf.	Tsch. Ind. / polit. obozr. /	
44	- " -	Kaufmann / " -	
44	- Ostuf.	Moll. / Kamerny obozr /	
44	- Ostuf.	Kretzer / administrat. / mery po zylor /	
44	- Stuf.	Bischoff / Sanitäre /	
44	- Ostuf.	Schlachter / Bombardier /	1
44	- Ostuf.	Wothmann / Zugs " /	2
44	- Ostuf.	Kerschner / " -	
44	- " -	Dejaco / " -	
44	- " -	Krang / " -	
44	- " -	Fellok / " -	
44	- Ostuf.	Grenberg / Kontrolleur /	
44	- " -	Koracht / " /	
44	- " -	Schmitt / " /	
44	- " -	Pankwitz / " /	
			Wieselburo an d. Inland
			Kr. Schilke Niederrhein

	Wille	Zentralband	
44 - Ocha	Rumert	—	11/13/2
44 - Ucha	Werner	4	
44 - "	Kubster	4	
44 - Ocha	Krosmann	4	
44 - Rottf.	Schwarz	4	
44 - Ström.	Zelayka	4	4 Olsberg 137
44 - Ucha	Dempfer	4	3ahnstettian
44 - "	Taddiken	4	1 Grob-Iscolle bei
44 - "	Lopa	4	Palme - Kammer
44 - "	Bischofada	4	
44 - "	Nutche	4	
44 - "	Ramann	4	
44 - Ocha	Petringer	4	

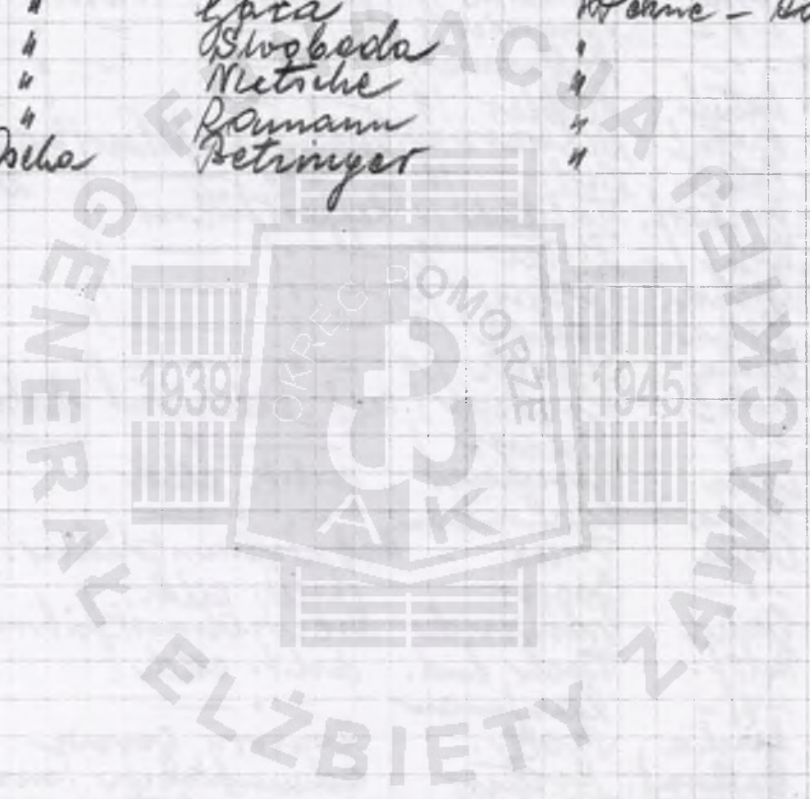


Obor koncentracijny Osvjencim

Wojacke oberore

44	- Ostbrab.	Joh. Komendant oborn	/coricia/	1
44	- "	Arb. Schmal	- " -	2
44	- Stabuf.	Beer	- " -	3
44	- Artuf	Frieterh	/legerfihrer / Dr. K. W. W. W.	1
44	- "	Furmer	- " -	2
44	- "	Hoffmann	- " -	3
44	- Ostuf.	H. H. H.	- " -	4
44	- H. H. H.	Schwarz	/Arbeitsdienstfihrer / polit. Kommandant	1
44	- Ostuf.	Sell	- " -	2
44	- H. H. H.	Talitsch	/Reppertfihrer	1
44	- Ostuf.	Frieter	- " -	2
44	- Opeha.	Leitw.	- " -	1
44	- Utscha.	Kadise	- " -	3
44	- Utscha.	Stenier	- " -	1
44	- Ostuf.	Grabner	/sect. eiddienst / polit. Kommandant	1
44	- "	Schwarz	- " -	2
44	- Otscha	Zinschauer	polit. eidd.	1
44	- Utscha	Lachmann	- " -	1
44	- Otscha	Fress	/Arbeitsdienstfihrer.	1
44	- "	Zagger	polit. eidd.	1
44	- Otscha	Grimmerich	/Arbeitsdienstfihrer	1
44	- Ruff.	Tach. Ind.	polit. eidd.	1
44	- "	Kanlman	- " -	1
44	- Otscha	Moll.	Kamery Gornic	1
44	- Otschauf.	Kreter	admiral'ska / meny po zjedr	1
44	- Stabuf.	Bischoff	Banimopektor	1
44	- Ostuf.	Schlachter	Banlester	1
44	- Otschauf.	Zent	- " -	2
44	- Ostuf.	Zinschauer	- " -	1
44	- "	Dejaco	- " -	1
44	- "	Kranz	- " -	1
44	- "	Fellok	- " -	1
44	- Utscha	Grenberg	Centralbeul	1
44	- "	Boracht	- " -	1
44	- "	Schummet	Wieselburg an d. Inland	1
44	- "	Furmer	Kr. Schilke Niederelam	1

44 - Oscha	Wilke	Centralband
44 - Utscha	Rymert	— " —
44 - "	Werner	"
44 - "	Kulstra	"
44 - Oscha	Kroschmann	"
44 - Pottf.	Schwarz	"
44 - Stahm.	Zlawka	" Olshaus 137
44 - Utscha	Seyler	" Zehnstein
44 - "	Taddiken	" Grob-Heide bei
44 - "	Lara	" Pohna - Ramow
44 - "	Strobeda	"
44 - "	Netsche	"
44 - "	Romann	"
44 - Oscha	Petringer	"



IV/11. Korespondencja biuro - Zawacki
Leonard Teodor:

1. Listy Bogumity Zawackiej - Kryje do
E. Zawackiej z 19.03.1987 (mlp. oryg.)
i 15.12.1988 (mpis); odwzow. notatki
E. Zawackiej. k. 3 s. 1-3
2. Brudnopis listu E. Zawackiej do
Leonarda, mlp. oryg. bez daty k. 1 s. 4-5
3. Listy Bogumity Zawackiej - Kryje
do E. Zawackiej z 3.01. i 15.01. 1989,
mlp. oryg. k. 2 s. 6-9
4. List Leonarda do E. Zawackiej
- dot. m. im. Franka Surmy i Rotary
Clubu, mlp. oryg.; brak p. 2 k. 1 s. 10
30.11. 1989
5. Brudnopis listu E. Zawackiej do
Leonarda z 8.12.1989, mlp. oryg. k. 2 s. 11-12

Lupat, 1987.03.19^{14/11/1}

Wielce szanownej Pani Profesor i naszej
starojej Siostry,
przeżywamy wyrazy naszego podziwu i
dumy, oraz z najlepszymi życzeniami
z okazji Młodzie.

Wiedziałam film p.t. „kry pseudonim „L”
z którego treści zapoznałam się wstępnie,
wstępnie, dopiero w konkretnym odcinku, po-
niemniej zbyt późno przeczytałam program
telew. na niedziele, odkrył nam po tylu
latach nieswiadomości tych wydarzeń,
tak osiunk, wspomnień i bohaterskich,
ukoronowanych najwyższym uznaniem i
odznaczeniami najwyższej rangi.

No przecież, ktoś zajął się wydoby-

IV/1/2

nieu na forum publicus tyle bolatorow,
odragi i wysiten.

Chwata i cwic' Ci sa to leuowus Jani
i Luszako.

Tejnieisy pokton Skrada Ci
Rozumita z Lurackich
Romanowa Doyce - wdowe.

cboko Tedora i Baowistowy z Bekrendka,
syne Piotra Lurackiego i Augy
z Kaporwickich,
brata Karola - Jani ojca.

Zam. w Sopocie 81-815

M. H. Abraham 28^a m. 10.

SOPOT, dnia 15.12.1988 r,

Szanowna Pani Docent!

W/11/3

Zwracam się z uprzejmą prośbą o darowanie chwili uwagi na temat, który dotyczy będzie mojego Brata, który napisze o ówwej sprawie do Pani Docent a o której ja wstępnie pragnę Panią zaznajomić. Chodzi mianowicie o przynależność i działalność mojego Brata w Armii Krajowej, za którą to działalność był więźniem "Gestapo", na Al. Szucha, więźniem Pawiaku a w końcu, skazany do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, skąd uciekł w przebraniu jako "SS-Mann", zabierając z sobą pięciu towarzyszy niedoli obozowej. Pan Sobański opisuje / zresztą dość pobieżnie / w swoich opowiadaniach pod tytułem "Ucieczki Oświęcimskie" o ucieczce mojego Brata w krótkim opisie p.t. "Dzisiaj w Betleem".

Po ucieczce z Oświęcimia Brat mój nadal działał aktywnie na partyzancie jako oficer A.K. Po wielu perypetiach, Brat mój udał się w r. 1945 poprzez Czechosłowację do Włoch, wstępując do Armii Gen. Andersa a po rozwiązaniu tejże, już pozostał na Zachodzie. W chwili obecnej mieszka w stanie Oregon, zaś ponad trzydzieści lat mieszkał i pracował w Nowym Jorku U.S.A. Moim wielkim pragnieniem jest uzyskanie dla mojego Brata t. zw. "Krzyża Oświęcimskiego", na który tak bardzo zasłużył. Nie chodzi o ewentualne korzyści które z tego tytułu może mają powiązania, - nie wiem tego - chodzi o ten przez Niego tak bardzo zasłużony dowód uznania za odwagę, narażanie życia, wyprowadzając w jasny dzień z ampuką cjankali w ustach, pięciu kolegów, po prawie natychmiastowym alarmie w obozie, poprzez ~~w~~ wertepy, wpływ rzeką Solą słysząc za sobą szeregi goniących ich, rozświeczonych wilezurów. Rzeka zatarka ślady, była zbawienna. Tak bardzo pragnęłabym móc Bratu ten Krzyż przekazać.

Łączę kopię zaświadczenia wystawionego przez Dyrektora Państwowego Muzeum w Oświęcimiu p. Kazimierza Smolenia, na dowód prawdziwości słów zawartych w tym piśmie. W razie nieużyteczności kopii, uprzejmie proszę o zwrot, aby się nią móc posłużyć u ewtl. wskazanej mi przez Panią Docent Instytucji.

Pragnę jeszcze dodać, że Brat mój abonuje gazety polskie z Londynu /Tydzień Polski/, z których dowiedział się o działalności Pani w powstałym w Toruniu Klubie Historycznym, gromadzącym znajomości historii antyhitlerowskiego ruchu oporu na Pomerzu.

W nadziei pozytywnego ustosunkowania się do mojej prośby, z góry dziękuję, łączę wyrazy szacunku oraz bardzo serdeczne życzenia radosnych Świąt Bożego Narodzenia, oraz błogosławionego Nowego Roku 1989.

księżka dla Pani Docenta

Bogumiła Kryża
z domu Zawaacka
córka Teodora i Bronisławy
wnuczka Pietra i Anny
zd. Kopowska z Sumina
zam. 81-825 SOPOT
ul. A. Abrahama 28/A m.10

*Szanowna Pani (czy nie Krzyżowska?)
Dziękuję za list. Wiedziałam, że masz w swoim kolekcjonerskim albumie w KSiP, ale nie miałam zasłony o tym. Chciałabym zobaczyć, w Brat Pani był w Oświęcimiu, kiedy tam ginął mój Brat Egon.*

Dowiedziałam się, jak załatwić sprawę Krzyża Oświęcimskiego. O to Brat mój nie występował do Ambasady Polskiej w KSiP. Musiałby Pani wystąpić o to do Komitetu w Warszawie, ale to przed nią załatwić.

Pragnę Bratu napisać, że podobnie jego relacji ze strasznego w PK i przedstawić mu informacje dotyczące jego osoby. Wskazuję na ul. Wronia 28/A m.10

Drogi Leo nowodni

14/1/4

Dzisiaj za telefon, od wam
skutecznej blizony.

Przepraszam ci odelrilej prasy
monografii Tomi i prasy
z mapy w polsce

~~Dobrze monografii w polsce~~

Przepraszam

Te sprawa najwazniejsza -
eto wam tom eloj w polsce.
Leczenie naszy reformy

Z Trojedy telefe zoomuista, in
elucilicisni tej w polsce w re-
krosie prasy elucilicisni
przez prasy w krotkiach prasy

W Tomi prasy wprowadzen kilka
elucilicisni febrak ale jest on
prasy w polsce w polsce
(nie nam o gale, ktory ma od
in dem gale prasy)

Ps czy Robe de prasy jest
z prasy z prasy?

POSTAGE
PAID
SINGAPORE
NO. 110

2 Tomi ^{talarii} ~~by~~ talarii ^{W/11/5} medt
epis preevles meuryz
hoblewsdy.

Z musow M idaf wryz m
sprawoz, ka ktowz decyade byz
zwracit Trozj
Me Pouorn gedy obecnie durs
Indusci podob dser Spara Paccana
ale kormie decyady i o meury-
wray nowym kultury
otiz jak wro, dwoz Phavore
x meury narwclawa kulbure
w XV wiek bylri zywa
ry ideadei Tak
fals jak XV wiek
w meuryzobny narbure
thot w wywcl
parobienel w wrodz
kndes

SIBS

If undelivered, please return to:
WORLD PUBLICATIONS DISTRIBUTORS PTE. LTD.
215 Intrepid Warehouse Complex, Ubi Avenue 4, Singapore 1440.

PRINTED MATTER

Lpöt, 1989. 01.03.

Moje, bratku Lusyuko

11/1/6

Najserdecziej dziękuję za list oraz wskazówki, jakie należy
przebiec starania w celu uzyskania Kopca Wiercińskiego. Wysładam
jis co należy mojemu bratu i myśle, że bardzo się ucieszyła
z wiadomości, że jednak z tym kolektorem był drugo.
Krocz czasu, w pewnym odległym miasteczku oglądałem telewizor
i jis w pobliżu, nadgrzałem i zobaczyłem „20” oporządający swoje
funkcje i wielkie wyścigi: osiggniczia. Byłem niepostrzeżenie, że
nie widziałem przestępstwa. Potem jis, wyszytawszy o „Losech”
wystuchetałem je dokładnie i ze złości w oczach. Byłem tak po-
ruszony i taka dumna, że zaraz dostałem ten wyraz w liście
adresowanym właśnie do mł. Gagarina. Na porcie w księżce
delekt. w. Toruń znalazłem taki Twój adres, adres. bezwzględnie
pisałem tam jako do Pani Łocant, ale takse do Lusyuki. Dzia-
łem nadzieję, że jis na ten list otrzyma jakiś znak życia, ale
daremnie. No, myśle, stawia ludzie lubią może żyć w odosobnie-
niu i samotności. Był mi jednak smutno. W drugim liście przyjs-
tałem formie oficjalnej, ale jestem przekonany, że nawiążę kontakt.
Jest nas tak mało, a ja to w ogóle jestem osamotnionym powierza
było nas dwoje, ale do faktu byłem od młodych lat próbowałem ubez-
wodzić Kochanogo Lala, tak po naszym i zwiq. Co można napi-
sć na jednej kartce papieru, skoro się wie tak wiele i ma dobre
pamięć z której dyprawdy nic nie ubyło. Może ci Kochana
Lusyuko przypadnie droga do Trójmiasta, znajdzie wtedy serdeczny,
siostanę Joscine w moim domu. Mierkiem zupełnie same, ale
ja lubię samotność. Mimo to, mam wspaniałych przyjaciół i oni
często i chętnie u mnie Joscine. Była, że niekiedy daleko w Świet,
który jest taki piękny. I wieszacie temu odwiedam z Hiszpanii
(umówiłam się tam z Poratoy i
Bratem)

14/1/7

a jui w lutym będe w Kwajcarie. Zapraszam brata do Oregonu.
Mieszka i w forach i w San Francisco. będe po zdjsciach - prze-
wspomiale. Nie bylam tam jeszcze, poniewaz przebywa tam dopiero od
1 lat. Odwiedzalam po kiedy mieszkam w N. Yorku
Jeszcze chodzi o mnie to ja nie bylam hiera w czasie okupacji.
Bylam mloda, znałam perfect jzyk niemiecki, miałam
tak wiec z tej nieustraszonosci i odwagi jakie cechuje Zarachid,
ten wielki fut kaptur i kolosalny refleks a nawet kapot.
Pracowalam w szpitalu (z nekami pracy) wojskowym - niby
w kuchni. Rzytm bylam na chirurgii wrod rannych - dzisiaj
tam wysoudowalam, przekierowalam, wiejeden sity scielony ^(do wchranek) do
lak zostal zatrzymany w szpitalu, niby jako koniecny
i niesastepny, wiejednemu wywołano sytuacje pan-
nicum i trzeba bylo amputowac palec prawej ręki -
zatrzyki z nefty, byle obopak nie posadzi na front.
A kaicu i jestepo wywinchoto a jak jui Lol nciak
z bżig ciunia i zaszedo po sukac' w Gondsiedku, to
wykryto ta powieszanie, trzeba bylo pracowac pług,
potem szpital polowy ze kory, ze nie skorzystalam
z ewakuacji - musiatam byc na miejscu. Piosz tak
chaotyycznie i poraz piegowy. Wier jak wiejedne spom-
ny byly odbierane w A. w. Italinizmie. Ja sie ne-
ret nie przyzwalam do sżubny zdrowie w okresie kie-
dy pod kory Suierci trzeba sie bylo rejestrowac' w 1945r
Ci obopoy o amputowanych palcach i nogach i tak potam
spingli. Przejoram, ze zabieram eses moimi wymu-
niami. Czyj sama, lub kto' wpis do przejznie i
wydat drukiem? Tak bardzo bym to chciała zdobyć oile
jui wyzedo drukiem - Sciskam serdecznie Bogusia L.

SOPOT, 1989.01.15.

W/1/8

Łochane moja Elni, zaproszenie,
sziszki serdecznie za list, oraz wszystkie serdecznie
z której się zapoznają. Wie przesłanej osu, tej karty
świata. Dobra Boże! Lepiej podjęty co trzeba martwić.
Mój telefon: 51-62-51.

A teraz objasnij, w czym ci mogę tutaj pomóc? Czy
nawiszyć kontakty, co prowadzić. Znam ogromny polski
kasub, bywałem u różnych wielkich gospodarzy, na ple-
baniach. Nigdy nikt z nich nie mówił na temat kon-
spiracji. Iłbo się bali mówić, albo mieli niekorzystne
obojętnie. Teraz może ktoś by się wypowiedział. Znam
wielkiego patriotę - księdza br. Filipa Mastaka i innego,
ks. karkowskiego. Ten pierwszy, chyba też coś prowadzi.
Mogę zejść z nim w kontakt i poprosić o co będzie
potrzeba, i co w ogóle przydadzą się w naszym Muzeum
Świętos.

Zacznę sprętać w stoni zdjęć i znaleźć zdjęcia brata
z okresu jego pobytu w Osiecinie, zdjęcia ze szkoły
Podchorążych. A może jego listy z Osiecinia? Chciałby
je 1-3. Mam wszystkie! To zabierz mi sporo osu, bo
jest tego masa w ogólności. Zawsze chętnie poradzę, do
liczbań na to, że kiedyś się przydadzą. Jak to sprawa-
dkę wyśle razem z kwestionariuszem.

Niech ci ktoś ten list przeczyta i odpowiedź dyktuj a
sama nie pisz i nie czytaj.

Ten mój braciarek (D. Leonard -) Teodor choruje na „fibromięsie”.
 On tylko zawsze telefonuje, napromadzi wiadomości w ten
 sposób, aby przyjechać. Myślę, że wynika to z tego, że nigdy
 sam pisze dużo nie musi - robi to jego sekretarka.

On był jak to się u nich zwie: „vice-prezydentem” w jakimś
 opromieniu koncertu. Od 1 lat jest na emeryturze, ale nadal
 czynny jako ekspert - rzeczoznawca, rozrywa przy pracy firmy
 wisc cipple w chodzie, w samolocie, w hotelach.

Wiem jego życie i praca dotycząca skupacji i przed,
 doskonale i chyba się tym zajmuje sama, odtrawia
 je ekspozycja z paucji a przy pomocy pamiętników
 które prowadziłem już w okresie młodzieńcym.

Tyle me nasie, sprze miemy, mostem, serdecnym
 miśnik trójka kuryka
 Bogusia

P.S. Czy Ty masz monografię rodziny Zawackich z Ławdy?
 Opracowany przez Rafała T. Priuka? Coś to tam jest, ale
 moim zdaniem nie dość wnikliwie i rzetelnie opracowa
 Waz Kurya w *Wiedzy (?) pod Rydzyszczu kł. Stefan Bzepek
 (wzatta de domu Zawacka?) Aż coś tam formadzi od lat. Pijs
 się w pierwsz, że se mają nrozymywanam kontakt z Kurjami.
 do zamępijcia i krótko jeszcze tak., wojna! I wrypoko
 już to innymi stronami.

*
 Ławdy

Ashland 12/30/89

11/1/10

Droga Elibieto,

Przebieg tego listu jest
p. FRANK SURMA, który jest
reprezentantem ROTARY Clubu
w MEDFORD, OREGON, USA.

Pan Surma stara się znaleźć,
na miejscu, możliwości
organizowania podobnego
klubu na terenie Łódzka.

Jeśli możesz, proszę udzielić
mu pomocy w tym kierunku.

Z góry Ci za to serdecznie
dziękuję.

Mae pozdrowień

Leonard J.

Drogi Leonardzie,

HMK

Torun 8 X 1989
14/11/89

Telefonałam do pani p. Szwed, że jej dnie w Toruniu około 20 dni
Przygłobowałam dla niego sprychnięcie, że już rozumiem
Ważne mieć ^{na razie} relator Unio. Mirk. Kop. ^{reumat.} prof. Kulewski ^{2 mar. 89} z Górnego
specjalizujący się w sprawie kształcenia naukowców.

prof. Wypracowała zajmujący się samowydaniem tezyt.

i prof. archiwistyki U.M.K. i kilku innych, ja same jestem
prawa i prawnictwo i prof. architektury ^{mał. architektura} i in.

an doc. telepedagog. andragogiki (oswiate dorosłych nie odczytać) ^{praca}
myślę, że stworzymy coś przy pomocy, m.in. obajmye dniach odzwany ^{leża}
niezależnie ~~zanim~~ ^{zanim} powstanie ⁽⁵⁰⁰⁾

Telefonałam do p. Szwed i zapytać danych.

To jest sprawa nr 1 do Ciebie

Sprawa nr 2 dla pani osobicie jeszcze ważniejsza. Od kilkunastu
lat prowadzi badania i zbieram materiały ^{dotyczące} P.K., w tym
określni Pawonkię. Mam pokasne archiwum, gotowe materiały do
publikowania. Zakończyłem Klub w 1987 w Klub historyczny, który dobrze
prosperuje. ~~Opis z mojej i termid. i publikacji~~

Teraz udało się utworzyć wronie (o 40 lat za późno) S ZAK wronie

Wielka Historia S ZAK
pisz mi do orientacji ZAK
1511, 1512, 1513, 1514, 1515, 1516, 1517, 1518, 1519, 1520, 1521, 1522, 1523, 1524, 1525, 1526, 1527, 1528, 1529, 1530, 1531, 1532, 1533, 1534, 1535, 1536, 1537, 1538, 1539, 1540, 1541, 1542, 1543, 1544, 1545, 1546, 1547, 1548, 1549, 1550, 1551, 1552, 1553, 1554, 1555, 1556, 1557, 1558, 1559, 1560, 1561, 1562, 1563, 1564, 1565, 1566, 1567, 1568, 1569, 1570, 1571, 1572, 1573, 1574, 1575, 1576, 1577, 1578, 1579, 1580, 1581, 1582, 1583, 1584, 1585, 1586, 1587, 1588, 1589, 1590, 1591, 1592, 1593, 1594, 1595, 1596, 1597, 1598, 1599, 1600

10/11/12

Jeżeli jest wyprzedzającym i przewodzącym Komisji d/ fundacji Ardenii i Marim PK. Stawiamy nam już fundację u całej Polce. ~~Można~~ ^{Statut} Fundacji wstawić uwalniając. Teraz musimy się zająć rzeczami.

Otoż proponuję Ci, abyś był członkiem zarządczym i fundatorem. Nie znam przepisów, jak powinno wyglądać sprawozdanie fundatora obywatela USA. Aby mi przekazać sprawę, musimy zobaczyć napisanie

to się zadecyduje w domu

oświadczenie (także jeżeli rozważam do niego fundatora)

(jako rat)

Tylko nie walczy wypadek dla niewyższej podpis

Leonardzie, proszę Ci, nie uważaj mnie za uciążliwy. Ta fundacja, to głównie adresem materiału jest ostatni dar, jeżeli nie stawy akcecy możemy stawić dyskusję. Fundacja PK jak np Ossolinem, powinna trwać dłuższy lat, jak nie już mi będzie.

muszę mieć już założone w Polce

PS Jeżeli jedne niedzielną fundację będzie wsta i jedne z filii Torun zamiesz prosi w oświadczeniu, że fundacja swój dar ma filii Torun w Torun. Wiem, że istnieje Fundacja PK w Londynie i z nią współpracujemy, ale

IV/2. Korespondencja - uzupełnienie relacji
o Zawacim Leonardzie Teodorze:

1. Piśmo Fundacji do H. Skowronskiej,
Biblioteka Miejska w Grudziądzu,
data wyjścia - L.dz. 195/Pom.-410/04,
pis kserokop. oryg. k. 1 o. 1

2. Piśmo H. Skowronskiej do
Fundacji z 18.02.2004, pis
oryg. k. 2 s. 2-3



IV/12/11

FUNDACJA

ARCHIWUM I MUZEUM POMORSKIE ARMII KRAJOWEJ

TORUNSKO-WOJASKOWEJ SŁUŻBY POLEK



BIURO FUNDACJI • 87-100 TORUN • UL. WIELKIE GARBARY 2 • TEL./FAX (0-56) 65-22-186
http://www.um.torun.pl/AK, e-mail: AK@um.torun.pl, fapak@wp.pl
KONTO: WIELKOPOLSKI BANK KREDYTOWY SA W TORUNIU • NR RACHUNKU 82 1090 1506 0000 0000 5002 0244

- maizewne
wpięty prąg
L. dz. 195 / 30m - 110/09

Pani
mgr Karola Skowrońska
Biblioteka Miejska
ul. Legionów 28
86-300 Grudziądz

Szanowna Pani Dyrektor!

Jestem dokumentalistką Fundacji i piszę do Pani w imieniu Pani Profesor Elżbiety Zawackiej i Pani Prezes mgr Doroty Zawackiej-Wakarecy. Jak zapewne jest Pani zorientowana, prowadzimy szeroką działalność wydawniczą i bardzo zależy nam na nawiązaniu współpracy. Obecnie przygotowujemy m.in. wydanie cz.6 „Słownika biograficznego konspiracji pomorskiej 1939-1945” oraz kolejny tom pt. „Sylwetki kobiet żołnierzy”. W związku z tym prosimy Panią o napisanie biogramu śp. Leonarda Zawackiego i ewentualne propozycje nazwisk kobiet-żołnierzy, których losy mogłyby być opisane w „Sylwetkach” (biogramy będą honorowane).

Poza tym jesteśmy zainteresowani materiałami śp. Leonarda Zawackiego, które znajdują się u Państwa oraz ewentualną współpracą w zakresie ich wyeksponowania.

Jeżeli to możliwe, to chciałabym także Panią prosić o pomoc w nawiązaniu kontaktu z kombatantkami w Grudziądzu.

Łączę serdeczne pozdrowienia od Pani Profesor Elżbiety Zawackiej.

Z poważaniem

Elżbieta Skerska



BIBLIOTEKA MIEJSKA
im. W. Kulerskiego

86-300 GRUDZIĄDZ, UL. LEGIONÓW 28
TEL. (056) 46 202 01, 46 202 02, FAX 46 137 83

↓ data X - 95/2004

11/2/2

Grudziądz, 18 lutego 2004 r.

FUNDACJA	
"Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek" w Toruniu	
Wpłynęło dnia:	15.02.2004
L. dz.	302/Pan-46/04
Załączniki:	
Referent:	

Pani Elżbieta SKERSKA

Fundacja Archiwum i Muzeum
Pomorskiej Armii Krajowej
oraz Wojskowej Służby Polek
ul. Wielkie Garbary 2
87-100 TORUŃ

Szanowna Pani !

Serdecznie dziękuję za list, a szczególnie za miłe pozdrowienia od Pani prof. Elżbiety ZAWACKIEJ. Odwzajemniam się równie serdecznymi pozdrowieniami.

Co do meritum – obszerny biogram śp. **LEONADRA ZAWACKIEGO** został opublikowany przez dr Stefana Melkowskiego w *Roczniku Grudziądzkim – tom XI, (Polskie Towarzystwo Historyczne Oddział w Grudziądz, Grudziądz 1994) ss. 216 – 223*. Pan Stefan Melkowski jest osobą najbardziej kompetentną, aby po uzupełnieniu o nowe fakty taki biogram przekazać Państwu.

Znałam śp. Leonarda Zawadzkiego bardzo krótko, od 1994 roku, tj. promocji w Grudziądzu Jego książki *Wspomnienia Wojenne 1939 – 1945* (tłum. Z ang. S. Melkowski).

Poza tą publikacją nie mamy w naszych dokumentach, ani zbiorach innych materiałów związanych z Panem Leonardem.

Korespondowaliśmy pocztą elektroniczną, co roku wysyłałam Panu Zawackiemu nowe publikacje o Grudziądz, albumy, foldery, wycinki prasowe, itp., informowałam Go o życiu miasta, a w szczególności Biblioteki Miejskiej. Żywo interesował się rozwojem Grudziądza, działalnością kulturalną, słowem wszystkim tym co wiązało się z Jego rodzinnym Miastem.

14/2/3

Każdego roku, będąc w Polsce, odwiedzał Bibliotekę, przesyłał co roku datki za nowe zbiory, a kiedy zmarł przekazano naszej Bibliotece Jego zapis testamentowy.

Po złożeniu prochów śp. Leonarda Zawackiego w rodzinnym grobowcu na grudziądzkim cmentarzu w Tarpnie staram się, by były tam znicze i kwiaty.

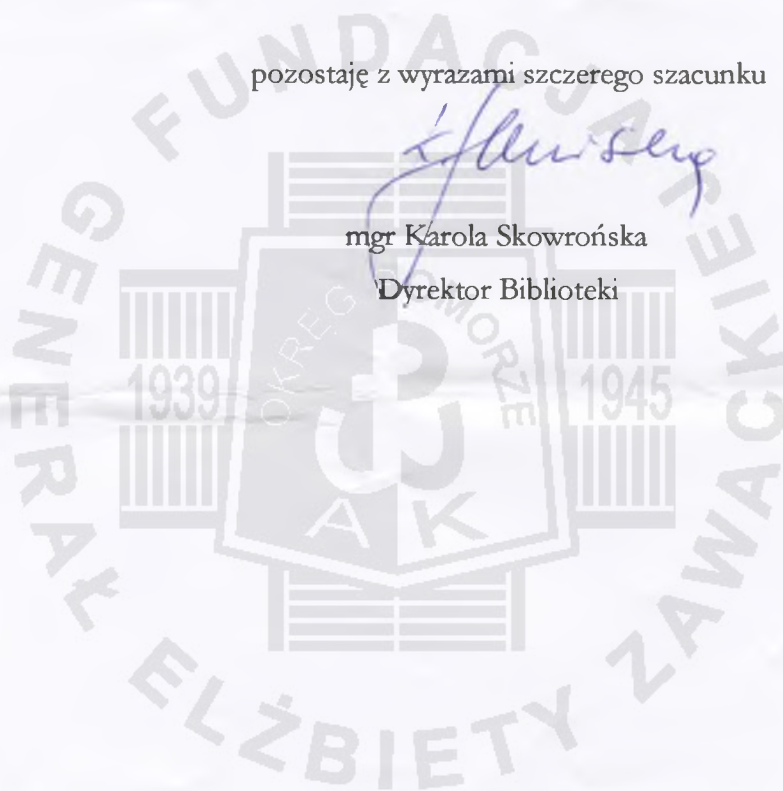
Niestety, ja nie mam osobistego kontaktu z kombatantkami w Grudziądzu. Podaję Pani adres osoby, która ma szerokie kontakty wśród grudziądzkich kombatantów::

Franciszek CHOMICZ, ul. Dywizjonu 303, nr 2/14, 86 – 300 Grudziądz – prezes Związku B. Żołnierzy Armii Krajowej.

Przesyłając Państwu jak najserdeczniejsze pozdrowienia

pozostaję z wyrazami szczerego szacunku


mgr Karola Skowrońska
Dyrektor Biblioteki

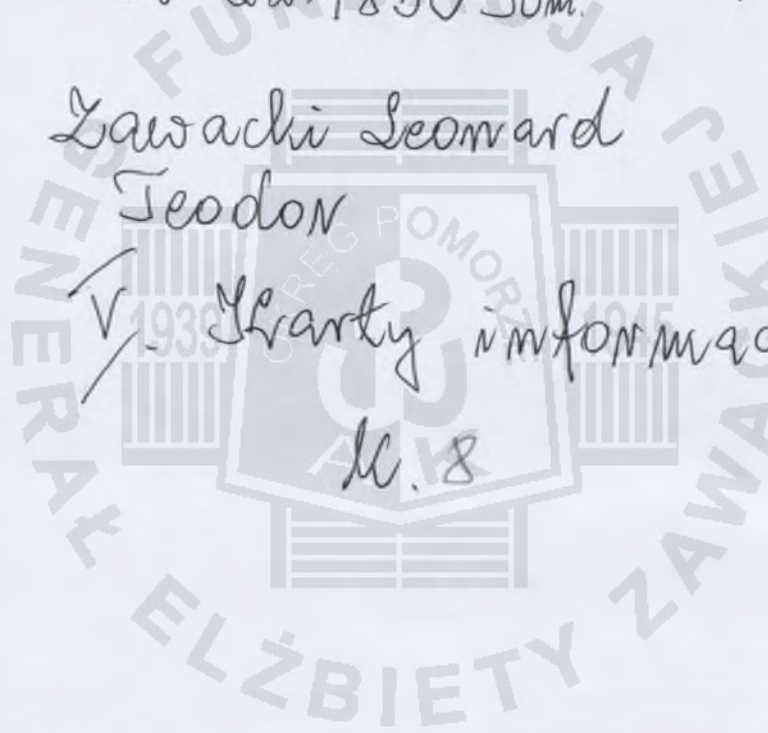


T:U-221/830 Pom.

poza Pom.

Zawacki Leonard
Teodor

✓ 1936 Marty informacyjne
K. 8



M. 221

AK w-uc
poza Pom.

Zawacki Teodor
mieszkaniec gospodarstwa na M. Szucho
skazany do obozu w Białej, skąd
uciekł w pobraniu SS-ów, zabierając
z sobą 5-ciu współpracowników

AK

Ind.

terka L Zawacki

329/17

3

Uptka z rozmozy

z Leonardem Zawackim 16-05-91

- LZ przekazał swoje relacje do Archiwum Fundacji (obserwuj relacje w fizykin Aug. Jankowski)
- LZ przekazał 100 del. na Fundacji
- przekazał wielkie mapy dawn. LZ za- konserwować sw. tuii przez Arch. Państw. przekazał LZ jako pełnomocnika
 - odmaki pamiętników AK na Pami.
 - 10 bin letywn 1/9
 - 10 brosur "AK na Pami."
 - 10 graf. K. G. Stanukiewicz
 - 3 eps "Walki Podziemi..."dla LZ, dla Biuletynu, dla Mu- stytutu Pitta i New York
- Kontakt do Gatzewskiego, ze w lipcu ma pobrać kiesz.
- umożliwić sprawę Bakirawa. Kiesz, pełnomocny Przewodniczący LZ przysłać informacje

Klub Roboty

3

tel II Leonarda - 3 XII 89

prośbę, że 20 XII będzie w Toruniu

p. Franciszku Smrma z Oregona

(miłośnik polski - Finnaer)

podaj telefon przewodniczącego Klubu

Roboty w lwie - p. Sredniawa (żona

lekarke) tel 40-71-94

Prosi o przygotowanie kontaktów

do p. Smrmy, Pyte, czy Uniwersytet
vntel.

verte
prosiada aparat jakby Telex do notowa-
nia numerów do kłubi.

Zatelefonowalam do p Średniary, poin-
formowałam o 2-stopniowej legalizacji klu-
bu (samą Polacy) około 25 osób

Powiadziłam, że przekazyję jej telefon
p do Kosińskiego, która do niego za-
drżami.

++ Zawacki Leonard - Grudzi. 4
Teodor - poza Pom.
2. Korpus

zm. 8.07.2001 w USA
m. Ashland (Oregon).

zob. Pismo Głowa Teren. Św. Ko. I AK
w Tomuin z 2.08.2001. -
- st. org. kombatanckie.

leż. XI'09

28 08 2001
28 92/A Pom/

5

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że w dniu 8 lipca 2001 roku zmarł w USA Nasz Drogi Wujek śp.

LEONARD TEODOR ZAWADZKI

Msza święta żałobna odprawiona zostanie w dniu 23.08.2001 r. o godz. 11.00 w kościele p.w. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Grudziądzu.

Ceremonia pogrzebowa odbędzie się tego samego dnia po mszy świętej na cmentarzu przy ul. Grudziądzkiej.

RODZINA

Pograżeni w głębokim smutku przyjęliśmy wiadomość
o śmierci naszego drogiego kolegi i przyjaciela,
obywatela USA polskiego pochodzenia

Ś†P

LEONARDA TEODORA ZAWADZKIEGO

byłego por. WP w kampanii 1939 roku, oficera AK,
byłego więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu,
działacza organizacji polonijnych,
członka Rotary Klub, wielkiego patrioty,
człowieka o nieposzlakowanej opinii, uczciwego
i zawsze gotowego do niesienia pomocy potrzebującym.

Zmarły cieszył się wielkim autorytetem i uznaniem
godnie reprezentując najlepsze polskie wartości za granicą.

Rodzinie i bliskim zmarłego wyrazy serdecznego współczucia

Koledzy i przyjaciele

GAZETA WYBORCZA Wtorek 21 sierpnia 2001 www.gazeta.pl

NOWOŚCI 12.07.2001

FUNDACJA

R

1135/A4

8 lipca 2001 r. zmarł w Ashland (Oregon USA)

Śp. Leonard Teodor Zawacki

ur. w Grudziądzu 20 stycznia 1916 r.

Żołnierz Września 1939 r., ZWZ – AK oraz II Korpusu Wojska Polskiego we Włoszech. Więzień Obozu Auschwitz w Oświęcimiu. Autor „Wspomnień wojennych 1939-1945”. Emigrant w USA. Wybitny specjalista w dziedzinie ubezpieczeń i reasekuracji, Członek Klubu Rotary w Medford (Oregon) oraz inicjator powołania Klubu Rotary w Toruniu. Odznaczony m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Zasługi RP. Prawy, dobry i szlachetny człowiek.

PRZYJACIELE I KOLEDZY z KLUBU ROTARY w TORUNIU

ELŻBIETY ZAWACKIE

a ++ ^{Leonard} Zawacki Teodor

pole Pom
2W2-AK

8

Dnia 8 lipca br. w miejscowości Ashland (USA, stan Oregon), zmarł **Leonard Teodor Zawacki**. Urodzony 20 stycznia 1916 r. w Grudziądzu, podczas kampanii wrześniowej walczył w jednostkach artylerii ppanc.; brał udział w obronie Warszawy. Do ZWZ-AK wstąpił w Warszawie w 1940 r. Aresztowany przez gestapo 31 X 1940 r., więziony był na Pawiaku, a następnie osadzony w Oświęcimiu, gdzie więziono go do września 1944 r., kiedy to wraz z pięcioma innymi więźniami, w przebraniu SS-mana uszedł z obozu. Po ucieczce z Oświęcimia podjął ponownie służbę konspiracyjną w oddziale partyzanckim AK „Sosenka”, a następnie „Garbnik” na Podbeskidziu. W sierpniu 1945 r. opuścił Polskę i wstąpił do PSZ na Zachodzie, do 2 Korpusu. Zdemobilizowany w 1946 r. w Anglii, ukończył studia w School of Foreign Trade. Od 1951 r. zamieszkał w USA, gdzie zmarł.

„Biuletyn” nr 2/41/2001r. (wyd. Fundacji)
nr. II, 102

Zawacki Leonard J.

